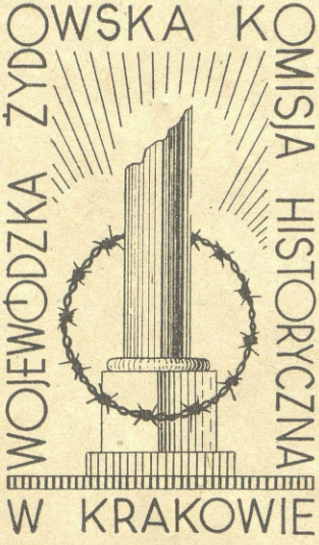

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Centimetres
Inches


WOJEWÓDZKA ŻYDOWSKA KOMISJA HISTORYCZNA
W KRAKOWIE

DOKUMENTY ZBRODNI I MĘCZEŃSTWA

KSIĄŻKI WOJEWÓDZKIEJ ŻYDOWSKIEJ KOMISJI
HISTORYCZNEJ W KRAKOWIE
Nr 1

DOKUMENTY ZBRODNI I MĘCZEŃSTWA

KOLEGIUM REDAKCYJNE:
MICHAŁ M. BORWICZ
NELLA ROST
JÓZEF WULF

KRAKÓW 1945

CENTRALNY KOMITET ŻYDÓW POLSKICH
WOJEWÓDZKA ŻYDOWSKA KOMISJA HISTORYCZNA W KRAKOWIE

PRAWO PRZEDRUKU I PRZEKŁADU —
NAWET W WYJĄTKACH — ZASTRZEŻONE

949/2



M-03822

DRUKARNIA I POD ZARZĄDEM PAŃSTW., KRAKÓW, WIELOPOLE 1.

Instytucja, która wydaje tę książkę, ma na celu zebranie i przekazanie wszystkiego co dotyczy dziejów Żydów pod okupacją hitlerowską. Obok autentycznych aktów, publikacyj i wszelkiego rodzaju eksponatów, posiadamy już obecnie dużą ilość pamiętników, listów, raportów, utworów literackich itp. pisanych jeszcze w okresie konspiracyjnym przez bezpośrednich uczestników i świadków odnośnych wydarzeń. Niezależnie od tego — od chwili powstania naszej komisji — prowadzimy wywiady z setkami osób, których pełne i autentyczne (podpisane wobec świadków) zeznania są w naszym posiadaniu.

Na niniejszą książkę złożyły się fragmenty pewnej ilości zeznań. W ich wyborze kierowaliśmy się chęcią dania czytelnikowi obrazu bodaj pobieżnego i cząstkowego, lecz obejmującego najważniejsze odcinki męczeństwa Żydów. Zeznania i opracowania poświęcone określonym tematom i mniej fragmentaryczne znajdzie czytelnik w dalszych publikacjach. Ponadto: książka niniejsza zawiera tylko dokumenty niemieckich zbrodni i żydowskiego męczeństwa. Dokumenty czynnej walki i twórczości ogłosimy oddzielnie.

Zadanie nasze jest olbrzymie, olbrzymi jest bowiem krwawy plon niemieckiej zbrodniczości ubiegłego sześciolecia. Jeżeli możemy poszczycić się przy tym rezultatami wybiegającymi daleko poza możliwości wyznaczone b. skromnymi środkami materialnymi, zawdzięczamy je ofiarnemu współdziałaniu naszych bliższych i dalszych współpracowników. Przy odbieraniu zeznań, których fragmenty złożyły się na niniejszą książkę, pracowały koleżanki: Dora Agatstein, Laura Eichhornowa, Maria Hochberg-Mariańska, Iza Lauer i kolega Natan Gross. Dzięki zorganizowanej przez nas sieci korespondentów i dzięki czynnym członkom zorganizowanego przez nas „Towarzystwa Przyjaciół Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej", oraz „Koła Młodych", docieramy możliwie najdalej.

Wszystkim wzmiankowanym składamy na tym miejscu serdeczne podziękowanie.

KOLEGIUM REDAKCYJNE

Społeczeństwo żydowskie poniosło klęskę — tragiczną, druzgocącą, fizyczną klęskę. Siedem milionów istnień żydowskich znikło z powierzchni Europy, w której w ciągu tysiąca lat tworzono i budowano kulturę, głoszono hasła ludzkości i braterstwa. Niemiec pokonał milionowe rzesze bezbronnych ludzi, przerażonych kobiet, rozełkanych dzieci. Uczynił to w sposób niesamowicie skomplikowany, wśród zgiełku broni wojennej, poza drutami sterroryzowanej Europy. Dokonał tego na oczach świata.

Pozostały strzępy rodzin, ludzie, którzy widzieli i przeżyli dziwnym zbiegiem okoliczności piekło niemieckie, ludzie, w których opustoszałym wnętrzu skrzepło na zawsze poczucie ciężkiej krzywdy. Dzieje ludzkie po wieczne czasy obciążą hańbą pamięć faszystowskich Niemiec, zanurzonych w krwi niewinnych męczenników żydowskich.

Żeby dokonać światowego mordu Żydów, trzeba było stworzyć wielki aparat myśli, woli i techniki. Geniusz rasy teutońskiej dokonał tego sprawnie i w terminie. Ludzi zamienił w katów, pojęcie prawa w aberrację legalną, z porozumienia z techniką skonstruował masowe instrumenty mordu. Armia sadystów ufna w swoją potęgę nienawiści, zalała miasta i miasteczka w Polsce, głosząc „wojnę żydowską" przeciwko bezbronnym, słabym i niewinnym i mobilizując wszystko, co nikczemne, zbrodnicze, zachłanne i nierozumne w zwyrodniałej duszy niemieckiej.

Działalność mordercza rozpoczęła się niemal od

pierwszej chwili wkroczenia niemców na ziemie polskie. Była ona od razu stylowa — niemiecka. Upokarzająca, sadystyczna i bestialska. W miasteczkach zapłonęły bóżnice, w których niemcy palili żywcem modlących się Żydów. W wodach rzek topili masy Żydów wyganianych z miast, na ulicach naigrawali się z pracownika żydowskiego, bezcześcili w najohydniejsze sposoby kobietę żydowską. „Juden ohne Rechte" — ukute hasło miało być podstawą niszczenia Żydów, których programowo należało naprzód materialnie zniszczyć, duchowo splugawić, w godności ludzkiej złamać doszczętnie, a później zabijać na różne efektowne, emocjonujące zboczeńców i — tanie sposoby.

Są dane, wskazujące na stopniowy rozwój morderczej myśli wytracenia Żydostwa u niemieckich teoretyków zbrodni. Jakkolwiek od pierwszej chwili niemcy wcielali w życie antyżydowskie idee narodowo-socjalistycznego programu, bili, zabijali, palili, topili, gwałcili, kradli, grabili pojedynczo i masowo, na wsi i w mieście, bezcześcili świętości, naigrawali się i znęcali potwornie, uzbrojeni w psychopatię, pejcz i broń, — postanowienie zgładzenia z tej części świata, którą zawładnęli, wszystkich Żydów, wytępienie kobiet, wymordowanie wszystkich dzieci, słowem plan powszechnej zagłady Żydostwa, — był prawdopodobnie wynikiem rozwoju sytuacji polityczno wojennej, w przewidywaniu własnej klęski i hańby, w przeczuciu niesławnego końca faszystowskich zbrodniarzy niemieckich.

Triumf nad roztrzaskanymi główkami dziecięcymi, radość oglądania morza czarnej krwi, wybuchającej z poduszonych płuc milionów Żydów w komorach gazowych, rozkosz słuchania jęków i płaczów w bezsilnej rozpaczy pędzonych na śmierć świadomie i nieodwołalnie, miały przesłonić w psychice niemca postępujący upadek jego siły, śmieszność buty, dziejową kompromitację humorystycznej ideologii „Herrenvolku".

W ślad za tym można rozróżnić stadia żydowskiego męczeństwa pod mordercą niemieckim. Pierwszy okres, aż do wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej, byłby przedpieklem żydowskiego losu.

Niemcy odseparowali społeczeństwo żydowskie od otoczenia. Zrobili to faktycznie, albo mniej lub więcej symbolicznie. Były więc różne formy nakazanej przez niemców separacji. Były miasta o ghetcie zamkniętym, otoczonym murem kształtu nagrobka żydowskiego, mówiącym za siebie, zza którego zasadniczo nie wolno było wychodzić, a w pewnym okresie było niemożliwością wyjść, — były miasta z ghettem otwartym, bez muru i drutu kolczastego, były wkońcu miasta, gdzie cały szereg ulic było zamkniętych dla Żydów. Kara śmierci stanowiła jedyny wymiar kary przewidziany w specjalnym kodeksie karnym. Okres upokarzającego oddzielenia Żydów od otoczenia, zmusił ich do opanowania swojego stanu ducha, do przygnębienia i cierpienia, ale nie pozbawił ich nadziei przetrwania tej jedynej w swoim rodzaju udręki fizycznej i moralnej.

W tym okresie Żyd w swoim otoczeniu pozwala sobie jeszcze na przejawy optymizmu i aktywności, leczy i uczy swoje dzieci, ima się ciężkiej pracy bez skargi, znosi nienaturalną ciasnotę mieszkaniową, zapomina o swoim stanie zdrowotnym, zachowuje zewnętrznie i wewnętrznie postawę człowieka i czeka w napięciu nerwów, ale w głębokiej wierze, że koszmar niemiecki zapadnie się wkońcu w bezhistoryczną samotność, osądzony i ukarany przez trybunał świata.

Tak było do czasu pierwszego „wysiedlenia“ „akcji“, to znaczy w niemieckiej semantyce, — do pierwszego masowego mordu przeprowadzonego w swym bestialstwie w sposób nie do uwierzenia. I w tej nawet chwili nikt prawie nie wierzył, że jest możliwe wysłać tysiące, setki tysięcy i miliony na zbiorową, bezapelacyjną śmierć przez uduszenie w specjalnie wybudowanych, schowanych przed światem, tajemniczych ko-

morach gazowych. Nawet fakt znikania wywiezionych osób, zupełny brak jakiejbądź wieści od kogokolwiek z nich nie przekonał społeczeństwa żydowskiego. Jednostki przeczuwały i rozumiały mord i śmierć, lecz ogół łudził się, że jest to zsyłka na pracę na wschód, ale nie na ostateczną zagładę starców i młodych i kobiet i dzieci.

Rok 1942 jest męczeńskim grobem dla wielu milionów Żydów.

Resztki młodych, pojedyncze dzieci i starcy w roku 1943 wstępują w proces powolnego konania w obozach pracy i obozach koncentracyjnych.

W tym stadium nie ma już złudzeń. Jest tylko wyścig woli życia, instynktu życia i siły, które stanowić będą o przetrwaniu w wypadku, gdy ostrze niemieckiego mordu nie ugodzi bezpośrednio i indywidualnie. Kto potrafi znieść straszliwy głód, zimno, brud, plagi fizyczne, męczarnie pracy, wieczne i wymyślne znęcanie się moralne i fizyczne, asystowanie przy chłoście, wieszaniach, grzebaniu żywcem, paleniu żywcem, kto potrafi zdobyć się na ogromną siłę, lub ostateczną obojętność, ten zdoła przetrwać. Ale i forma życia w obozie nie miała oznaczać pozostawienia Żydów ich własnemu losowi. Odbywają się selekcje, tzn. w niemieckim hitlerowskim języku zbrodni: wysyłka na śmierć przez nich wybranych, czasem według kryterium wyglądu, wieku, pracy, a czasem przekazania kontyngentu na stracenie wolą, kaprysem, lub skinieniem palca komendanta obozu.

Cienie ludzkie pozostałe przy życiu, po obozowej męczarni, w garstce, naogół znaczone głęboko chorobą organiczną, słaniają się pod ciężarem przeżyć przeszłości. Czy można mówić jako o ludziach w pełni życia o tych, którzy przez długie lata ocierali się nieustannie o nędzę, rozpacz i męczeńską śmierć? Czy mogą wydrzeć z siebie wspomnienie samotnej śmierci rwącego się do życia dziecka, oderwanego od rodziców

w śmiertelnym strachu, zakatowanego męża lub żony, spalonych lub zaduszonych starych rodziców?...

Widma i żywe dokumenty. Fragmenty ich zeznań publikujemy. Podajemy je w oryginalnym tekście bez zmian i przeobrażeń. O tym, co przeżyli lub co widzieli, mówią ludzie różnego poziomu, kultury i wieku, własnym językiem, we właściwej im formie. Podajemy zeznania, by poinformować świat, na mocy świadectwa prawdy, o charakterze i rozmiarach zbrodni niemieckiej w stosunku do żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Jest zjawiskiem znanym i aż nadto zrozumiałym, że świat człowieka, świat mózgu myślącego i serca odczuwającego nie może uwierzyć, że znalazł się ktoś noszący miano człowieka, co nakazał zbrodnię i tacy, co ją wykonali z lubością i gorliwością.

Ci, którzy składali te zeznania, przeżywając niemiecką katorgę w swoich wspomnieniach jeszcze raz. zadawali pytanie: Czy świat w to potrafi uwierzyć?

Zamierzeniem instytucji, która zbiera materiały dokumentarne i je publikuje, jest — przedstawienie prawdy nie stylizowanej, lecz prostej i niezmienionej, wydobycie jej na jawne światło dzisiejszego dnia. Wybraliśmy epizody z różnych aktów gehenny niemieckiej, z terenu obozów, miast i miasteczek i przeżyć dzieci.

Miasta i małe miasteczka w pierwszym trzyletnim okresie, aż do 1943 roku, obejmowały niemal całe Żydostwo; po „wysiedleniach" czyli wytępieniu gazem, resztki niedobitków zapędzone za drut obozowy w drobnej części pozostały przy życiu. Każdy niemal ocalony z zalewu niemieckiego Żyd przeszedł naprzód miasta, a później obóz. Pamięta więc nastrój, warunki życia, przemiany gospodarcze, represje niemieckie, niszczenie sporadyczne, akcje zbiorowe, branki, zarządzenia antyżydowskie, coraz częstsze i okrutniejsze fazy antysemickiego nastawienia niemców, szyderstwo i naigra-

wanie się, preludia do wysiedleń, zbezczeszczenie dostojeństwa pracy, głód, nędzę, działalność „Arbeitsamtu" oficjalnej giełdy domniemanego bezpieczeństwa życia, nastrój chwilowego odprężenia po wysiedleniu. Z zeznań dotyczących życia Żydów w mieście w czasie niemieckiej okupacji przemawia do nas falowanie nastrojów od krańcowego optymizmu do zupełnej martwoty i determinacji wobec oficjalnego już i pojętego wreszcie planu zupełnej „Ausrottung", a więc do narodzin pełnej świadomości nieuniknionej zagłady. Ze zwierzeń świadków wyłania się ustawiczny wyścig życia i śmierci.

Z miast szły resztki Żydów do obozów, czyli do miejsc i systemu ograbienia człowieka z jego godności, możności życia, sił, zdrowia i woli życia. W jaki sposób niemcy pozbawiali człowieczeństwa w obozach, o tym mówią nam ogłoszone fragmenty zeznań. Opowiadają o tym ludzie różnej wrażliwości psychicznej, różnej siły fizycznej, różnych zdolności przystosowania się do warunków żydowskiego życia obozowego.

Dzieci żydowskie były wrogiem Nr. 1 faszysty niemieckiego. Były one od chwili powstania w mózgu hitlerowskim planu wyniszczenia skazane na śmierć z najwcześniejszym terminem wykonania wyroku. I dzieci o tym wiedziały. Broniły się przed tym, rozpaczały, albo zachowywały się bohatersko. Opowiadają nam o wszystkim bez obsłonek i bez zahamowań. Nieliczny ich odsetek pozostał przy życiu. Rzeczywistość w przeżyciach dzieci wyłania się ku nam bez upiększeń, w całej swej potwornej nagości. Relacje dzieci podajemy dokładnie i w tych samych słowach, w jakich opowiadają. Opowiadają one teraz, po przebytych i przeżytych wstrząsach i zdarzeniach, w wieku często już dojrzalszym, bo 14-tu i 15-tu lat, ale ich przeżycia sięgają 2-ch lub 3-ch lat wstecz. Prawie wszystkie, opuszczone po wymordowaniu rodziców, ratowały się same, decydowały o swoim losie, samotne błąkały się po świecie lub w obo-

zach, pomysłowe w wynajdowaniu drogi ocalenia, w walce o życie i chleb; tylko forma pozostała dziecinna...

W nieubłaganej walce z faszyzmem, niechaj bezpretensjonalne zeznania ofiar hitleryzmu dadzą pierwszy szkic i pierwszy materiał dla wiedzy o historycznej tragedii Żydów.

Ci, którzy składali zeznania i ci, którzy je przyjmowali, zeszli daleko poniżej dolnej granicy ludzkiego cierpienia. Toteż nie ból ich ma przemówić, ale prawda o zbrodni niemieckiej i męczeństwie żydowskim.

W OBOZACH

PŁASZÓW

NATAN MAREK

Goeth

Obóz położony był na górze, otoczony gęsto drutem kolczastym, co 100 metrów była wieżyczka z *wachmanem*, ciężkim karabinem maszynowym i reflektorem. Zrobiło to na nas straszne wrażenie. Idąc dalej, zobaczyliśmy naszych braci, którzy już od stycznia pracowali przy rozbieraniu cmentarza i rozbijaniu murów. Nad nimi ustanowiony był jeden *capo*, którego zadaniem było wyciągnąć jak najwięcej *Leistungu* przy użyciu kija i gumy. Doszliśmy do wielkiego placu apelowego, na którym były już ustawione pierwsze 2 tysiączki, rozmieszczone po barakach mieszkalnych. W naszym baraku było 300-tu ludzi. Spaliśmy na gołych pryczach, przykryci płaszczami. W nocy spadł ulewny deszcz i oziębiło się. Nazajutrz rano zobaczyliśmy fury z tobołkami pościeli; walizek nie było. Komendant obozu Goeth uznał, że walizki w życiu obozowym są zbyteczne.

SS-mani przeszukiwali prycze, inni odbierali zegarki i pieniądze, a dwóch przeszukało piec, w którym znaleźli cztery pięciozłotówki. Pokazali je z ironicznym uśmiechem Goethowi, a ten zapytał: *Wer hat denn das versteckt?* Nikt się nie zgłosił. Wtedy powtórzył pytanie, dodając, że winowajca dostanie 25 kijów, ale życiu jego nic nie zagraża. Nikt się nie przyznał. Śmiertelna cisza zaległa barak. Goeth zwierzęcym wzrokiem oglądał ludzi, którym krew uciekła z twarzy. Następnie zapytał, czy wszyscy już wszystko oddali. Odpowiedzieli chórem: *ja*. Następnie zapytał blokowego, dlaczego nie uważał na piece i nie dopilnował, by tam niczego nie schowano. Ten twierdził, że musiało to być schowane dawno, bo jego łóżko znajduje się koło pieca i byłby zauważył, gdyby ktoś tam coś chował. Nie przekonało to barbarzyńcy. Rozkazał mu zdjąć spodnie i położyć się na stole. Zobaczył wtedy, że ten był już raz karany, kazał mu się ubrać i wyjść przed barak. Przerażony blokowy

upadł wtedy na kolana i wołał: *Herr Chef, ich bin unschuldig.* Nie pomogło. Widząc, że Goeth przywołuje psa, nieszczęśliwy wyszedł przed barak, Goeth podążył za nim i za chwilę rozległ się strzał. Po powrocie Goeth zbił wszystkich pejczem po głowie, mówiąc: *ich werde euch schon helfen.*

Goeth miał ogromnego psa Rolfa. Musiano go nazywać *Herr Hund.* Na zawołanie Goetha: *Rolf, friss,* albo *Rolf, Jude,* bestia rzucała się na swą ofiarę, obalała ją na ziemię i rozszarpywała jej ciało. Gdy Goeth nasycił wzrok swój mękami swojej ofiary, dobijał ją dwoma strzałami. Szczuł psa na ludzi pracujących powoli lub niedokładnie, albo na *capo,* którzy nie byli dość okrutni wobec ludzi pracujących.

Goeth mieszkał w domu murowanym, otoczonym drutem kolczastym i strzeżonym stale przez dwóch ukraińców, *wachmanów.* Kucharz jego opowiadał, że żarł on na śniadanie 1 kg mocno pieprzonego mięsa *(Tatarenstück)* i pił wyborne wina i likiery.

Ludzie, widząc beznadziejność położenia, poczęli uciekać. Pierwsze ucieczki nie pociągnęły za sobą ofiar spośród innych, ponieważ wiadomości o ucieczce nie docierały do Goetha. Lecz to trwało niedługo. Goeth wydał rozkaz, że za każdego zbiega zabije dziesięciu więźniów. Rwący się do życia, nadal uciekali, co pociągało za sobą dziesiątki ofiar, wybieranych na ogólnych apelach. Wieczorem tego dnia nie pozwolono obozowcom wejść do baraku, lecz spędzono ich na *apelplac,* gdzie ustawiono również wszystkie inne placówki. Na środku *apelplacu* stali nieszczęśliwi ludzie, spośród których trzech uciekło, a Goeth zapytał ich *Betriebsordnerów* o okoliczności ucieczki. Zbił ich pejczem i zagnał do ludzi stojących na *apelplacu.* Następnie wybrał dziesięciu ludzi z placówek, do których należeli trzej zbiegowie i kazał ich rozstrzelać.

Pewnego ranka zaszedł na *apelplacu* wypadek, który nas wszystkich przeraził. Goeth przyszedł po nieprzespanej nocy pijany, by przyjrzeć się robotnikom. W ręku miał gruby pejcz. Podszedł do jednej grupy i zapytał, komu się nie podoba to, co on robi. Odpowiedzi nie było, a ludzi ogarnęło przerażenie. Wtedy Goeth wybrał sobie jedną ofiarę i temu wprost powtórzył pytanie, gdy zaś nadal nie otrzymał odpowiedzi, wycią-

gnął go z szeregu i zaczął okładać pejczem w ciągu 15 minut, wrzeszcząc: *du verfluchter Hund* i zastrzelił go. Następnie podszedł do drugiego, znowu go bił i leżącego zastrzelił. Goeth powiedział, że mógłby wszystkich położyć *(umlegen)* i nicby mu się nie stało.

Pewnego dnia powróciwszy z pracy do obozu, zobaczyliśmy ludzi od budowy baraków, którzy swoje ubrania, a raczej łachmany pomalowali w czerwone pasy wzdłuż i wszerz. Był to nowy wybryk Goetha. Komendant baraku ogłosił, że w nocy wszyscy mają pod karą śmierci malować ubrania w żółte pasy i oznaczyć swoją bieliznę gwiazdą Dawida. W nocy też przyszli umęczeni malarze, którzy przez całą noc malowali ubrania. Rano mimo woli wybuchnęliśmy śmiechem. Wyglądaliśmy jak cyrkowcy. W drodze do pracy ludzie się z nas śmiali i było nam smutno...

W międzyczasie Goeth przeniósł swą siedzibę do willi, którą odnowił i wprowadził tam swoją kochankę, Ruth. Założył sobie też psiarnię, do której sprowadzał co jakiś czas kilka nowych psów.

Sytuacja nasza pogarszała się z dnia na dzień. Goeth awansował na *Obersturmführera* i nie chcąc brudzić więcej rąk swoich krwią żydowską zlecił to Johnowi. Ten chodził stale z lornetką, obserwował pracujących, a gdy niedość szybko się uwijali, podchodził do grupy, wybierał kilku mocnych chłopców i zabierając ich na „górkę" — strzelał. „Górka" wyznaczona została na miejsce egzekucji. Była ona położona między obozem a *Neues Gelände*. Miejsce egzekucji było we wgłębieniu między dwoma wzgórzami. Trudno było widzieć, co się tam dzieje. Rozkaz Goetha brzmiał, że nie wolno leczyć postrzelonych. W Sądny Dzień strzelano na „górce" ludzi wysegregowanych, a na drugi dzień przywieziono na „górkę" całą placówkę 60 ludzi za to, że z ich grupy uciekło 23-ch ludzi. Placówka ta była skoszarowana na Grzegórzkach i były możliwości ucieczki.

Z końcem grudnia dowiedzieliśmy się, że Goeth wydał rozkaz kopania wielkich stawów, by na wypadek pożarów w barakach warsztatowych woda była pod ręką. Chciał męczyć ludzi. Pogoda była okropna, całymi dniami padał deszcz. Zaczęły

się roboty przy stawach. Pracowano — po całodziennym dniu pracy w warsztatach — od godz. 6-ej wieczorem do godz. 12-ej w nocy. W barakach warunki życia były straszne. Światła nie było, wszy mnożyły się. Nikt nie mógł oczyścić z nich swej koszuli. Musieliśmy wywozić wśród największych bagien mokrą ziemię taczkami, a goniono nas przy pracy i bito jak psy. Wreszcie chwycił mróz i ziemia stała się twarda. Waliliśmy kilofami bez wytchnienia. Spadł także śnieg, który przysporzył nam znowu roboty. Dostałem takie bicie pejczem, że sądziłem, iż nie przetrzymam.

Landsdorfer stawał się coraz większym okrutnikiem. Nazywano go *Meszulach*, bo zjawiał się jakby spod ziemi i zaczynał w morderczy sposób bić pałką po głowie, oczach i twarzy. Ofiarze swojej rozkazywał: *Nimm die Brülle ab* i bił tak długo, aż bity padał na ziemię bez życia. Tak samo bił kobiety.

Pewnej niedzieli, z początkiem maja 1944 roku odbył się przed południem apel, który blokowi nazwali przeglądem higieny więźniów. Głuchy niepokój ogarnął wszystkich. Czekano bez ruchu przeszło dwie godziny. Dzień był zimny. Gestapowiec Blanke ubrany był we futro. Na drodze ukazało się auto Goetha, które pędem wjechało na *apelplac*. Gestapowcy naradzali się między sobą. Kobiety zeszły z *apelplacu* do baraków. Widzieliśmy, jak ludzie na przodzie rozbierali się. Na *apelplac* wniesiono stolik z kartotekami i ustawiono go z boku.

L. 216

HENRYK STARK

Selekcja dzieci

Nie mieliśmy czasu długo rozmyślać nad naszą smutną dolą, bo wkrótce zostaliśmy ustawieni w piątki i gęsto obstawieni czarną policją, której dzikie twarze budziły w nas przerażenie. Karabiny zaopatrzone w bagnety, skierowane na nas jak gdybyśmy byli najniebezpieczniejszymi zbrodniarzami, skazanymi na śmierć. Ile było wśród tych „zbrodniarzy" malutkich dzieci, a ilu starców! Staliśmy tak kilka minut, aż zjawił się w otoczeniu świty sam komendant *lagru, Hauptsturm-*

führer Goeth. Zjawienie się jego dopełniło grozy położenia. Wygląd jego był niesamowity.

Przedstawienie mogło się zacząć. Nasi oprawcy rozeszli się między szeregi i odczytywali nazwiska starców, ludzi źle wyglądających, tzw. *muzułmanów* i dzieci od 10 do 16 lat. Młodsze znajdowały się w *Kinderheimie*. Wywołani musieli opuścić szeregi i ustawić się osobno. Rozgrywały się sceny tragiczne, rozlegały się rozdzierające krzyki ojców, matek i dzieci. Zdawaliśmy sobie dokładnie sprawę, co czeka odstawionych na bok. Nasi kaci działali bez litości. Na każde słowo błagalne o litość odpowiadano biciem laskami i pejczami. Krew się lała. *SS-manki* i *SS-mani* szaleli, doprowadzali okrutne dzieło do końca. Matkę, chcącą iść za dzieckiem, lub ojca za synem, odpychali. Okrucieństwo i sadyzm dochodziły do szczytu. Po paru godzinach ukończyli swą pracę i całą kolumnę ludzi odczytanych ze spisu wyprowadzili z *apelplacu*. Zdaleka dolatywały krzyki dzieci „mamusiu ratuj" i „tatusiu chodź ze mną!" Ale to nie koniec piekielnego widowiska. Nowy rozkaz. Wszyscy pozostali mają usiąść na ziemi. Przez megafony puszczono muzykę drażniącą w sposób nie do zniesienia nasze rozszarpane nerwy. Muzyka ta miała zagłuszyć płacze i krzyki malutkich dzieci z *Kinderheimu*, których pełne auta ciężarowe przejeżdżały przez *apelplac*. Był to punkt kulminacyjny szatańskiego okrucieństwa niemieckich bandytów. Matki rzucały się w kierunku aut, tu i ówdzie odważniejsze głośno się odgrażały. Pałki, kije i kolby karabinów przytłumiały wszystko. Przedstawienie się skończyło. Nasi władcy zadowoleni z dokonanego czynu opuścili *apelplac*, a my złamani fizycznie i moralnie dostaliśmy rozkaz rozejścia się. Z tysięcy piersi rozlegało się głośne łkanie i płacz, który pomięszany z muzyką megafonu roznosił się daleko poza obóz.

Lb. 130

Inż. JAKUB STENDIG

Egzekucje

Po południu około godziny 4-ej ruszył długi pochód liczący około 8.000 ludzi do obozu pracy, późniejszego obozu znisz-

czenia. Tym razem nie noszono rodałów, jak to oddaje malarz Hirschenberg w swoim obrazie „Czarny sztandar", chociaż niewątpliwie i rodały schowane były w plecakach. Ale najciekawsze, że w plecakach niektórych odważnych ryzykantów-ojców znajdowały się dzieci. Tym podróżnym plecakowym niewątpliwie dano środek nasenny, by się płaczem nie zdradziły, bo też ojcostwo i macierzyństwo urosło w tych dniach do rozmiarów bohaterstwa. Byłem świadkiem rozmowy pary rodziców, która układała się co do wyboru, kto ma zostać z dzieckiem w ghetcie, a kto ma przejść do obozu. Matka przekonywała ojca, że jedna ofiara wystarcza, że on sam w życiu zapewne da sobie radę, prędzej przetrwa okropności obozu, że nie jest do pomyślenia, by ona rozłączyła się z dzieckiem, więc po co mają się oboje poświęcić. Tak szły rozważania, na pozór bez głębszego wstrząsu.

My, jużeśmy się oswoili ze śmiercią. Jest to u nas zjawisko codzienne. Wyrywa się spośród nas najlepszych, najdroższych, niespodzianie, za nic. Może na chwilę tylko odpoczął, oparł się tylko o łopatę, lub przysiadł na moment na krawędzi taczki, którą sapiąc i dysząc pcha przed sobą w górę, naładowaną ciężkim blokiem nagrobków. Mógł też mieć *ein verschwitztes Gesicht*, jak razu pewnego rzekł Goeth do dwóch młodych Żydów stojących w szeregu, gotowych do odmarszu na swoją placówkę. Wywołał ich podczas apelu porannego z szeregu i położył z rewolweru na miejscu, na oczach tysięcy więźniów.

Zdarzyło się razu pewnego, że 16-letni więzień Haubenstock zanucił sobie piosenkę ukraińską, zdaje się „Czubczyk". Może nawet nie wiedział, że śpiewa, może zupełnie nieświadomie śpiewał i nie wiedział co śpiewa. Posłyszał pieśń ktoś, komu się wydała komunistyczną i oskarżył chłopca o komunizm. Został biedak wciągnięty do tej samej celi, w której siedział już inny Żyd, a po kilku dniach ustawiła stolarnia na linii czołowej męskich baraków wzdłuż ongiś zachodniego muru cmentarza Abrahama dwuosobową szubienicę wysokości trzech metrów. Na środku pod szubienicą ustawiono podium z wejściem od tyłu. Do górnego oczepu wkręcono dwa silne haki. Nie poszły w tym dniu placówki wieczorem do baraku, naka-

zano im zajść na plac apelowy. Cisza grobowa zaległa obóz. Serca zamierały na myśl o tym, co zaraz nastąpi. Przed czoło dziesięciotysięcznego czworoboku, zachodzi świta oficerska gestapo z *Oberführerem* Schernerem na czele. Kilkudziesięciu „czarnych" w półkolu otacza świtę, odgradzając ją i osłaniając od tłumu. Gdy wszystko było gotowe, wyjął Scherner pismo, z którego odczytał dwa wyroki śmierci przez powieszenie za komunizm na 16-letniego Haubenstocka i za sabotaż na inż. Krautwirtha. Po chwili do szubienicy podprowadzono 16-letniego chłopca, który wszedł schodkami na podium, gdzie założono mu pętlę na szyję. Podium było tak wykonane, że z wysunięciem górnej podstawy wisielec musiał zawisnąć na sznurze ze spuszczonymi nogami, a po odcięciu ciało spaść miało do paki. Stanowisko moje było dość dalekie od miejsca stracenia. Nie widziałem twarzy straceńca, a gdybym nawet stał blisko, nie potrafiłbym patrzeć w obłędne oczy, które szukały ratunku. Wraz ze szarpnięciem podstawy podium spod nóg, wisielec spadł jeszcze żywy, ze sznurem na szyi do paki. Z ust Goetha padła jakaś groźba pod adresem wieszającego, a ten szybko wyciągnął straceńca i jeszcze raz zawiązał mu sznur. Nieszczęśliwy chłopak błagał Goetha o darowanie mu życia. Goeth rozkazał dokończyć dzieła. Tym razem sznur wytrzymał i ciało zawisło w porządku.

Inż. Krautwirth, drugi straceniec, zdecydował się zakończyć życie jeszcze zanim przyjdzie na niego kolej. Nie chciał stać się marnym widowiskiem dla dziesięciu tysięcy swoich współbraci. Dwoma zdecydowanymi cięciami żyletką przeciął sobie żyły obu rąk i padł bez przytomności. Tak więc na szubienicę zawleczono już martwe ciało.

Pewnego wieczora wracała do baraku placówka „Bonarka", 60-ciu ludzi, młodzi mężczyźni i młode kobiety. Nieśli do baraków plecaki pełne chleba i żywności dla więźniów. Gestapo zatrzymało placówkę i przeprowadziło rewizję. Gestapowiec Willy melduje Goethowi, że rewizja dała wyniki dodatnie. Goeth wydał wyrok: *das ganze Gesindel umlegen.* Natychmiast zaalarmowano z *Wachkaserne* pluton „czarnych", który obstawił 60-kę i w szybkim marszu piątkami odprowadził na „Hujową górkę", gdzie wysieczono całą grupę kaemami.

Na ogół w 1944 roku po każdej egzekucji następowało palenie zwłok. Ogniska te były w obozie widowiskiem niemal codziennym. Opodal pracowali normalnie więźniowie i tak oswojono nas z tymi widokami, że palenie wydobytych 8 tysięcy ofiar z rozkopanych grobów w Płaszowie nie przeszkodziło nikomu w pracy, dokonywanej pod okiem i batem *SS-manów.*

Lb. 386

Adw. STEFAN SALOMONOWICZ

Kary. Norma

Była też u nas kompania karna, do której przydzielano za byle jakie przewinienie. Kompania ta pracowała w kamieniołomach. Praca trwała od 4-ej rano do 10-ej wieczorem. Odbywała się tylko biegiem i biada człowiekowi, który nie nadążył. Natychmiast kamieniowano go. Ludziom przysługiwała tylko połowa racji wyżywienia. Pracowały tam również kobiety. Za błahe przewinienie, jak spóźnienie się na *apelplac,* karano *Stehbunkrem.* Była to komórka takich rozmiarów, że ofiara mogła tam tylko stać. Po całodziennej, ciężkiej pracy, po wielogodzinnym staniu na *apelplacu,* prowadzono więźnia do bunkru, gdzie pozostawał do następnego dnia aż do apelu i pracy. Naogół *Stehbunkrem* karano w nocy, gdyż w dzień trzeba było pracować. Najczęściej karano więźniów i więźniarki biciem szpicrutą w goły tyłek, wymierzając 25 do 50 i czasami do stu razów. Torturowano też więźniów szczuciem psów tresowanych specjalnie w tym celu. Psy wyrywały kawały mięsa z żywego ciała więźnia. Były też stosowane i różne inne tortury; każdy z oprawców miał swoją metodę sadystyczną. Ja osobiście dostałem kopnięcie ciężkim butem w jądra i okolicę nerek.

Na *apelplacu* selekcja. Kilku starszym kobietom udało się uciec i nie poszły na apel. Po skończonej selekcji wszystko wróciło do pracy i te, którym udało się uniknąć selekcji, powychodziły z kryjówek i wróciły do pracy. Po godzinie wpadli do obieralni John, Willy i pies. John oglądał dokładnie wszystkie kobiety i wybrał te, które ze względu na wygląd i wiek oba-

wiały się selekcji i ukryły się. Nie zapomnę nigdy, jak jedna z nich, błagając o litość, załamała ręce, tak, że zatrzeszczało jej w stawach.

Kucharka Goetha ugotowała mu za tłustą kapustę. Ponieważ Goeth żarł dużo, był bardzo gruby, twarz miał pokrytą wrzodami, przestrzegał więc diety. Za tę kapustę kucharka i kilkanaście kobiet personelu dostało po 50 razów na obnażony tyłek.

Do obieralni przyszedł Goeth ze swoją przyjaciółką, wymalowaną na złoto i różowo, w pięknej letniej sukni i zażądał, żeby mu podać ziemniaki. Chciał ustanowić normę w obieralni ziemniaków. Podano mu ziemniaki na talerzu. Kochanka Goetha wzięła najlepszy nóż, który jej podał *capo* obieralni i oskrobała bardzo prędko kilka ziemniaków. Goeth patrzał na to, trzymając w ręku zegarek, zważył ziemniaki, obliczył ile kilogramów można oskrobać w ciągu godziny i w ten sposób określił normę na 12 godzin, nie biorąc pod uwagę odpoczynku, coraz większego zmęczenia i okoliczności, że kobiety same przynosiły wodę i ziemniaki z dużej odległości, a obrane i obmyte kartofle zanosiły do kuchni.

Pewnego razu Goeth zadzwonił do swej gospodyni z jakimś poleceniem. Chodziło o wyprasowanie ubrania. Gospodyni w nadmiarze gorliwości, chcąc prędko wykonać zlecenie, odłożyła słuchawkę. Goeth widocznie chciał jeszcze coś dodać i wściekły, że ktoś śmiał odłożyć słuchawkę nie wysłuchawszy go do końca, wydał rozkaz natychmiastowego rozstrzelania jej. Szła na miejsce stracenia konwojowana przez ukraińców, którzy mieli wykonać wyrok. Szczęśliwie spotkała przyjaciółkę Goetha, która ją wybawiła od śmierci.

Lb. 65.

ARTUR FEILGUT

Epizod

W Sądny Dzień 1942 roku rozkazano mi sortować zegarki, złote i pieniądze, które pochodziły z transportu po wysiedlonych Żydach. W ciągu jednego dnia od 8-ej rano do 8-ej wie-

czorem naliczyłem 250 tysięcy złotych monet, wysortowałem 2 kg złota i 1400 zegarków. Zabrali to Niemcy.

Pracowaliśmy przy niwelowaniu terenu. John dał rozkaz przechodzącemu właśnie Strojewskiemu zastrzelenia którego bądź z pracujących. *Wir müssen einen umlegen.* Strojewski zastrzelił niejakiego Silbigera z Krakowa. Trzy razy strzelał do niego, a ofiara jeszcze żyła. Konający dźwignął się, nie mógł mówić, podniósł tylko rękę i pogroził mu. Strojewski strzelił czwarty i piąty raz i dobił ofiarę. John polecił uprzątnąć trupa mówiąc: „moja żona jest bardzo nerwowa, nie znosi krwi i na widok trupa może dostać ataku nerwowego".

Lb. 213

FELICJA BANNET

Wyjazd

Niezapomniana noc w *Polenlagrze.* Zaduch, lęk, tłok, krzyki, co pewien czas wpadają SS, czy jest porządek. Moc kobiet oddawało ze zdenerwowania kał, a nie wypuszczano nas na pole. Było kilka kubłów, które się przelewały. SS wpadali, jeden gruby, opasły starszy człowiek wołał: *Ihr Säue.* Wciąż zbijały się kobiety koło drzwi, bo oczekiwały z pola pomocy. Gdy wpadał *SS,* rozbiegało się wszystko w popłochu po baraku. Zmęczone i złamane kładłyśmy się na chwilę na deskach i zasypiałyśmy. Był to koszmarny sen. Nad ranem wygnano nas na plac przed *Polenlagrem.* Ustawiono nas we dwie grupy i zaczęło się przelatywanie od grupy do grupy, bo każda myślała, że tamta grupa jest lepsza. Stałyśmy dość długo i widać było, jak we właściwym obozie kobiety i dzieci czepiały się drutów i słyszałyśmy przerażone okrzyki: „mamo! mamusiu!" W pewnym momencie otworzyły się bramy obozu i wpadł Goeth uzbrojony od stóp do głów w asyście swojej psiarni też uzbrojonej. Uśmiechnął się i wygłosił przemówienie: (cytuję dosłownie) *„Ruhig ihr Weiber, hier ohne Nervosität und Histerie, es geschieht euch nichts, ihr fährt zur Arbeit nach Skarżysko. Dort werdet ihr fleissig arbeiten, genau wie hier, ihr werdet für uns Munition machen, damit wir womit zu schiessen haben. Fure*

Sachen werden Euch nachgeschickt, in die Waggons bekommt ihr Brot, damit ihr nicht hungrig seid, es ist für alles gesorgt".

Poprowadzono nas w dół, tam gdzie się szło na stracenie; mimo przemówienia Goetha byłyśmy pewne, że idziemy na śmierć. Okazało się jednak, że idziemy na stację do wagonów. Z szeregów Goeth wyciągał dzieci, które pracowały w *Gemeinschafcie*. Rozgrywały się rozdzierające sceny rozdzielania matek od dzieci.

Ponieważ wsadzono nas do wagonów po 70, a nie po 200, odetchnęłyśmy z ulgą w przekonaniu, że nie idziemy na stracenie, a na pracę. Na postojach konwojujący żołnierze strzelali do wagonów, rozmawiali ze sobą, że idziemy na śmierć, umyślnie głośno, żebyśmy słyszały. Na stacji w Batowicach pociąg stanął, słychać było odsuwanie drzwi wagonów i strzały z lotniska z Batowic. Nam się zdawało, że strzelają tuż przy wagonach. Słyszało się głosy: *Kannst du denn nicht schiessen?* Myślałyśmy, że to nasze ostatnie chwile. Chleb nie dotarł do wszystkich wagonów, zimno dokuczało tym bardziej, że dużo kobiet było bez płaszczy.

Lb. 219.

HALINA NELKEN

„Aufseherki"

Największą bolączką lagrową więźniarek były *aufseherki*. Nikt nie umiał tak dokuczyć, tak boleśnie upokorzyć i tak szkodzić jak te wyniosłe, dumne, niedostępne kobiety w mundurach. Oczywiście, dumne i nieprzystępne były, jeśli chodziło o więźniów. Między sobą, w towarzystwie *SS-manów*, zachowywały się aż za swobodnie. Mimo wszystko były to przecież także kobiety, znały więc dobrze nasze słabe strony, umiały w nie celnie trafiać i nie dały się tak łatwo okłamać jak mężczyźni, czy przekupić uśmiechem, lub ładną buzią.

Pierwsze moje zetknięcie z *Aufseherką* (i tc dosłowne, ze względu na bicie), było na wiosnę 1944 r. w *Gerätelagrze* na Zabłociu w Krakowie. *Aufseherka* przyjechała z Płaszowa na kontrolę. Było to w kilka dni po przebraniu nas w pasiaki. Usiło-

wałyśmy przerobić je z workowatych kiecek na „sportowe sukienki", ogarnęła nas mania szycia wieczorami, po dniu pracy fizycznej, bardzo ciężkiej. W pocie czoła do północy kleciłyśmy różności, bo nawet w więźniarkach bez prawa do życia tkwiła kobieca żyłka, aby wyglądać po „ludzku".

Aufseherka przyjechała podczas pracy. Gdy szłyśmy na śniadanie i ustawiłyśmy się pod barakiem, uszu naszych dochodził rumor przewracanych sprzętów. Nagle padło moje nazwisko. Ledwo zdążyłam wejść do baraku, spadł na mnie grad uderzeń i wymysłów. Nasz podoficer Mai uśmiechał się złośliwie, trzymając rwącego się na smyczy olbrzymiego wilczura. *Aufseherka* tłukła mnie i wrzeszczała, wymachując resztkami dawnej świetności, moją koszulą nocną, i resztkami obecnej nędzy, — pociętym pasiakiem. Byłam tak ogłuszona, że nie zwróciłam już uwagi na wyglądające spod poduszki pudełko papierosów.

— *Unerhört!* — oburzała się *Aufseherka*. — Śpią pod kołdrą, w bieliźnie, na prześcieradle i jeszcze tną *Wehrmachtsgut!* — Powyrzucała z prycz i schowków resztki cywilnej garderoby, poczem ustawiwszy dziewczęta szeregiem, kontrolowała czy mają przerobione pasiaki, a ponieważ każda miała zaszyty fałdzik, czy klosz, żadnej nie oszczędzono kilku siarczystych policzków. Żołnierze przyglądali się temu ze śmiechem, choć u niektórych można było wyczuć niesmak i odrazę.

„Ozdobę" *lagru* stanowiła *Oberaufseherin* Else Ehrich.

Piękna ta kobieta o hardej, zimnej twarzy i naprawdę królewskim sposobie trzymania głowy była kochanką naczelnego lekarza *Hauptsturmführera* Blanke. Para ta, znana ogólnie z Lublina i Majdanka, miała godną przeszłość: Blanke, to szef krematorium, wykonawca selekcyj, który nawet w Płaszowie przeprowadził majową paradę, a *oberka* w Lublinie z uśmiechem na ustach tuliła dzieci pod peleryną i prowadziła je hurtem do pieca.

Najważniejszą *aufseherką* Płaszowa była „chłopczyca", nazwiskiem Orłowska. Zwaliste, olbrzymie babsko o przepitym męskim głosie, krótko ściętych blond włosach i podmalowanych oczach, wiecznie z papierosem w ustach i... małą trzepaczką pod pachą. Urzędowała ona stale na głównej ulicy obozu pod

pralnią, której była szefową, gdzie krzyczała, biła, kontrolowała, lub piła wódkę. Ruchy miała sztuczne, afektowane, kanciastomęskie. Jej powiedzonka świadczyły o inteligencji i pewnym wykształceniu. „Chłopczyca" umiała bić w wyrafinowany sposób. Na apelu biła kobiety, które jej wpadły w oko, pejczem aż do utraty tchu, wlokła za włosy, gdy padały i stale powtarzała: *wir werden sehen, wer eher müde wird, ich oder du.* Do bardziej popularnych należały trzy Holenderki. Smukła, błękitnooka Willy z włosami jak cyganka, która każdego wysłuchiwała uważnie i choć nie pomogła, jednak nie zaszkodziła. „Stuka", gruba, dobroduszna, była kelnerka i wiecznie zakochana Peter.

Była także karykaturalna Ehlert, która kierowała obieralnią. Sprawiała wrażenie dużej krowy. Bić umiała niegorzej od innych. Dans, wysoka, szczupła tyka, o twarzy zaciętego chłopca, była specjalistką w podbijaniu zębów pięścią, przy wymierzaniu równocześnie uderzenia kolanem w brzuch. W Płaszowie jako kochanka *Schutzhaftlagerfuehrera* Grimma, wolna od wszelkich trosk, zachowywała się względnie spokojnie, od czasu do czasu dopuszczając się bicia lub drobnych szykan. W jesieni 1944 przeniesiono ją do Oświęcimia, jako szarego pionka, toteż gdy w lutym 1945 została *Oberaufseherką* w obozie koncentracyjnym w Malhof w Meklemburgii, władza uderzyła jej do głowy i zrobiła z niej wampira. Chodziła w spodniach i męskiej czapce, sztywna i dumna jak paw, wśród pięciu tysięcy wygłodniałych, obdartych kobiet-cieni, które nie były już nawet zdolne do odruchów rozpaczy, — bezradnego buntu. Jeszcze teraz słyszę jej ostry, nieprzyjemny głos, gdy odbierała apel na placu, na który z trudem wlokłyśmy się codziennie. Za ucieczkę dwóch Rosjan apel trwał pewnego dnia sześć godzin i wstrzymano nam przydziały chleba. Była to najsurowsza kara, bo ta 1/8 spleśniałego, twardego chleba wraz z 1/2 litra niesolonej mętnej wody, zwanej zupą, stanowiła dla nas wszystko. Jeszcze teraz widzę szaro-zielone, lub zsiniałe twarze współtowarzyszek niedoli, głęboko podkute oczy i przerażająco cienkie nogi, ledwo utrzymujące ciężar wychudzonego ciała. Zrozumiałe, że na takim apelu połowa mdlała z głodu i wycieńczenia.

20-go kwietnia wysłano nas transportem do Lipska. Podróż miała trwać 2 dni, ale dzień wcześniej, jako też przez cały czas podróży nie dostałyśmy nic do jedzenia. Przed wyjazdem Dans przeprowadziła szczegółową rewizję, odbierając „zbędne" rzeczy. Gdy która miała porządne buty, otrzymywała „sandały", drewniane podeszwy z przymocowanym do nich sznurkiem. Według nakazu należało koce, garnuszki i t. p. zostawić, a gdy Dans znalazła u jednej więźniarki koc, owinięty na ciele pod spódnicą, chwyciła butelkę i tak długo tłukła nią delikwentkę po głowie, aż ta spłynęła krwią, a szkło rozprysło się.

Aufseherki były mniej, lub więcej złe. Czasem, ale rzadko miewały jednak ludzkie odruchy. N. p. „Stuka", podczas wysiedlenia sierpniowego wyciągnęła moją matkę z wagonu i wprowadziła z powrotem na *apelplac*. Chwilami zmieniały się z żołnierek i katów w kobiety, z ich zwykłymi troskami, radościami, małostkowością. Nie trzeba dodawać, że były zazdrosne o każdą ładną dziewczynę. Miały i swoje zmartwienia. Ale w stosunku do więźniów bez względu na przekonania przybierały wszystkie jednakową postawę. Dzięki sprytowi i kierując się kobiecym instynktem, nie dawały się okłamać, umiały celnie i boleśnie trafiać, wiedziały jak upokarzać i łamać moralnie człowieka.

Lb. 252.

HENRYK BRAUTMAN

Epizody

Sturmmann Willy w Płaszowie był jednym z najgorszych katów obozu płaszowskiego. Nie znaliśmy jego nazwiska, nazywaliśmy go „oczko", bo miał jedno oko szklane. Mówiono, że stracił je podczas walki w ghetcie warszawskim. Mścił się za to w straszny sposób. Bił pejczem w oczy i oślepił w ten sposób dziesiątki ludzi. Poza tym miał dziwny uraz do blondynek. Każdą na swej drodze napotkaną jasną kobietę bił i kopał niemiłosiernie.

Grupa młodych dziewcząt i chłopców pracowała na *Holzplacu* przy deskach. *Capomanką* kobiet była śliczna i młoda dziewczyna, Niusia Reich. *Sturmmann* Gross zakochał się

w dziewczynie i dlatego cała grupa miała pewne ulgi. W każdym razie praca nie była tak mordercza, jak na innych odcinkach. Dziewczyna chodziła sprzątać do mieszkań *SS-manów*. W tym czasie Goetha nie było w obozie, ale pewnego dnia wrócił niespodziewanie i zastał Niusię w swoim mieszkaniu, w willi. W pierwszej chwili nie przypuszczał, że to Żydówka, przywitał się z nią, myśląc, że to córka *Oberscharfuehrera* Stribitza. Podał jej rękę i zapytał, co tu robi. Wtedy dopiero, gdy mu powiedziała, że sprzątała, zrozumiał, że chodzi o Żydówkę. Tej samej nocy *Sturmmann* Gross dostał rozkaz zastrzelenia Niusi. Cały tydzień odkładał tę egzekucję. Chciał dziewczynie dać możność ucieczki i mimo że żadnych przepustek do miasta nie wolno było wydawać, posłał ją z jednym z ukraińskich *wachmanów*, niby dla złożenia złamanej ręki. Ale dziewczyna miała w obozie małego brata i... wróciła do obozu. Wkrótce przyszedł po nią Strojewski, strzelił do niej z tyłu i położył ją trupem.

Inż. Grünberg, kierownik *Bauleitungu* nie zginął wprawdzie z rąk gestapowców płaszowskich, ale był to człowiek najbardziej i najczęściej w obozie masakrowany. Jako kierownik odpowiedzialny za wszystkie budowy odpowiadał za prawdziwe i urojone błędy. Przy drutowaniu obozu polskiego zastosowano specjalny system, mający uniemożliwić ucieczkę więźnia przez druty. Gdy drutowanie było skończone, przyszła inspekcja. Przy inspekcji okazało się, że wiązanie nie jest wystarczającym zabezpieczeniem przed ucieczką. Wtedy na rozkaz Goetha *Sturmmann* Willy zmasakrował inż. Grünberga w tak straszny sposób, że ten, leżąc na ziemi w kałuży krwi, błagał o zastrzelenie.

Podczas budowy *Krankenrevier* na oddziale chirurgicznym zdarzyło się, że jeden z robotników w kącie załatwił swoją potrzebę. Zastał go w tym momencie Willy. Pod groźbą pejcza i rewolweru zmusił Żyda do zjedzenia ekskrementów, potem masakrował go do krwi pejczem, a w końcu zbitego do nieprzytomności — zastrzelił.

BIEŻANÓW

MATA HOLLENDER

Kobiety

Pozycja kobiet w tych obozach była wyjątkowo ciężka i tragiczna. W krakowskim SS panowało przekonanie, że tylko mężczyźni-Żydzi stanowić mogą element robotniczy w obozach. Dlatego przy likwidacji wszystkich skupień w dystrykcie krakowskim, zostały wszystkie bez wyjątku kobiety, niezależnie od wieku, zdrowia i kwalifikacyj zawodowych, przeznaczone na t. zw. szmelc, — śmierć, — gdy natomiast część młodych i zdrowych mężczyzn poszła do obozów pracy Prokocimia i Bieżanowa. Niemniej jednak znalazła się w tych obozach pewna ilość kobiet, cudem, protekcją, staraniami. W ostatnim etapie tych obozów przed ich likwidacją liczyły one około 300 kobiet w wieku od lat 14 do 40. O każdą z nich błagano komendanta tych obozów, krwawego Oberscharfuehrera Muellera. Kilka kobiet, które miały odwagę same się zgłosić do „Julagu", rozstrzelano.

Do obozu przyjmowano tylko kobiety do lat 35-ciu, nieco już starsze zostały wyłapane przez Oberscharfuehrera Muellera i z zimną krwią rozstrzelane. Pracowały ciężko. W kuchni, w obieralni kartofli, pralni, przy budowie, w szwalni. Były one obiektem znęcania się zdegenerowanego Muellera. Znajdował on przyjemność w odwiedzaniu kobiet w nocy, lub przed pójściem na spoczynek. Przyglądał się ich nagim ciałom, asystował przy myciu, gdy spały odkrywał koce, którymi były nakryte. Dowcipkował przy tym, prawił komplementy, dawał nadzieję na przeżycie wojny. Na tę zabawę często zapraszał kolegów *SS-mannów*. Raz wpadł do baraku, wywlókł zdrową, młodą, piękną dziewczynę, by ją pod latryną, koło drutów, zastrzelić.

MENASSE HOLLENDER

Szubienica. Iwan

Wieczorem odbyć się miała egzekucja wieszania. Zawisnąć mieli na szubienicy dwaj więźniowie. Jeden schwytany podczas ucieczki z obozu, drugi, jego przyjaciel, za to, że w rozmowie z nim na temat ucieczki wyraził zdanie, że chwila ucieczki jeszcze nie nadeszła. Komendant *lagru Rottenfuehrer* (kapral) Ritschek, młodzieniec 22-letni obchodzi plac apelowy. Pejczem smaga swoje błyszczące cholewy i pogwizduje z zadowoleniem. Towarzyszy mu pomocnik *SS-mann* Łotysz Telmann. Szukają odpowiedniego miejsca dla zbudowania szubienicy. Widowisko ma się odbyć z wielką pompą. Komendant zaprosił licznych gości na spektakl. Środek placu apelowego został uznany za najodpowiedniejsze miejsce. Elektrycy montują olbrzymie lampy, mające oświetlić miejsce stracenia. Plac apelowy śpiesznie jest porządkowany.

Wśród więźniów panuje zdenerwowanie i przygnębienie. Przeraża nas myśl o mającym nastąpić widowisku. Szubienica gotowa. Komendant wywija szpicrutą, sprawdza szubienicę, śmieje się ironicznie do więźniów. Sprowadzają skazańców. Na twarzach i ciałach znać ślady śledztwa. Ciszę przerywa ironiczny śmiech komendanta: *Genau wie im Kino*. Szpicrutą smaga twarze skazańców, w końcu zwraca się do zaproszonych gości: „A więc zaczniemy". Cisza grobowa. Stało się jednak coś niesamowitego. Obydwa ciała z łoskotem runęły na ziemię. Skazańcy żywi, proszą o łaskę. Komendant roześmiał się. „Chcą, bym zrezygnował z wspaniałego widowiska. Teraz pójdzie jak z płatka". Skazańcy sami wchodzą na podium. Zawisły dwa ciała, tym razem pewnie. Komendant Ritschek wyjmuje rewolwer i ostrożnie podchodzi do wisielców. Strzela w ich pochylone głowy po kilka razy, by się upewnić, że nie żyją. Dreszcz przerażenia wstrząsa wszystkimi. Widowisko skończone. Formują szeregi więźniów. Znikają w barakach. Ostatni odchodzi komendant ze swoimi gośćmi, których zaprosił na ucztę.

Pewnego dnia kierownik *Werkschutzu* znalazł w Bieżanowie żydowskie dziecko. Dziecko powiedziało, że w Bieżanowie ma ciotkę. O godzinie 12-ej w nocy dziesięciu niemców i Ukra-

ińców badało baraki kobiece w obozie, wyszukali ciotkę i zapytali, czy ma dziecko, umieszczone w Bieżanowie. Zaprzeczyła kategorycznie, wtedy kazali jej rozebrać się do naga i zastrzelili ją.

Wykończenie więźnia wysłanego do kamieniołomu odbywało się w ten sposób, że słynny potwór *capoman* Iwan stał nad robotnikiem, każąc mu przenosić kamień o wadze 50—60 kg biegiem i co krok więzień otrzymywał silne uderzenie pejczem zakończonym stalą. Pracować musiał bez koszuli, a w miarę bicia i lania wodą resztki odzieży rozsypywały się w strzępy. Po paru minutach więzień był nieprzytomny i nie reagował już na uderzenia i ból. Wtedy lano na niego wodę wiadrami, by go ocucić. Gdy tylko nieco oprzytomniał, Iwan stawał mu na klatce piersiowej, albo na głowie i zmuszał go do dalszej pracy, okładając go dębowymi styliskami z kilofów. To znęcanie się trwało tak długo, aż więzień leżał już prawie martwy. Wówczas uderzeniem kilofa wykończano go. Delikwenta, który jeszcze nie skonał, nie wolno było leczyć, ani dobić. Tym przedstawieniom przyglądali się oficerowie *SS*, którzy dodawali podniety katom.

Lb. 136.

WIELICZKA

RUTH KOHN

Protest skazańca

Było to w sierpniu 1944 roku, kiedy niemcy koncentrowali więźniów w różnych mniejszych obozach. Jednym z takich obozów był mały obóz we Wieliczce, gdzie pracowaliśmy w kopalni soli. W dniu, kiedy niemcy mieli nas wywieźć do obozu gdzieś w głąb Niemiec, czterech chłopców ukryło się w kopalni, chcąc tam przeczekać wywiezienie więźniów i dotrwać do oswobodzenia przez wojska sowieckie. Zostali jednak odkryci przez *Untersturmfuehrera Leipolda*. Kazał im stać przez 48 godzin pod gołym niebem bez kropli wody i jedzenia.

Trzymali się dobrze, myśleliśmy wszyscy, że na tym się skończy. Ale po odbytej karze, przewieziono ich do obozu w Płaszowie, tutaj postawiono ich znowu na 48 godzin do *Stehbunkru*, a później przewieziono na miejsce stracenia. Było to naprzeciw kuchni dla więźniów, gdzie stała szubienica przygotowana dla sześciu osób, dwóch bowiem mężczyzn dołączono do tej czwórki.

Jeden ze skazanych przemówił do niemców, którzy się tam zebrali: „Świat cały wie o waszych zbrodniach, dzisiaj się wiesza nas, niewinnych chłopców za to, że chcieliśmy żyć, jak inni ludzie, do czego mamy prawo, i wiemy, że jesteśmy może ostatnimi już ofiarami, ale was, niemców, teraz dopiero zacznie się wieszać". Pobity do ostateczności, został powieszony wraz z innymi, a wszyscy więźniowie na placu apelowym musieli przemaszerować przed miejscem zbrodni. Kazano nam przy tym patrzeć w stronę powieszonych. *Esesowcy* bili tych, którzy odwracali głowę od szubienicy.

Lb. 279.

OBÓZ JANOWSKI (Lwów)

Dr. JÓZEF GEBEL

W skrócie

W dzielnicy przebywałem do 7 kwietnia 1943 roku. Przeszedłem piekło obozu janowskiego, w którym przebywałem dziesięć tygodni, od 20 czerwca 1942 roku do dnia ucieczki 30 sierpnia 1942 roku. Do obozu deportowany byłem wraz z 1.000 Żydów z Przemyśla. Kiedy z obozu uciekałem, z tysiąca towarzyszy niedoli żyło jeszcze około 50. Oto przeżycia moje w obozie janowskim:

Aresztowany zostałem w nocy 18 czerwca przez gestapowca, któremu asystowało dwóch *ordnerów Judenratu*. Oznajmiono mi, że mam pięć minut czasu na spakowanie się. Odprowadzony następnie do więzienia przy ul. Rokitniańskiej, umieszczony zostałem w celi, gdzie zastałem już około 100 uwięzio-

nych. W więzieniu przetrzymano nas dwa dni. Przez ten cały czas dochodziły nas płacz i lamenty wyczekujących przed więzieniem krewnych. W międzyczasie liczba aresztowanych doszła do tysiąca. W sobotę wyprowadzono nas na dziedziniec więzienny, gdzie zostaliśmy przekazani zastępcy komendanta obozu janowskiego — Rokicie. Załadowano nas do pociągu, po 90 osób do jednego wagonu. Podróż odbyliśmy w piekielnych warunkach. Stłoczeni w szczelnie zamkniętym i zaplombowanym wagonie, zmuszeni byliśmy przez całą drogę, przeszło dziesięć godzin stać bez ruchu i — co gorsze — bez kropli wody, wśród nieznośnego gorąca. Próby dostarczenia nam wody przez litościwych ludzi w Gródku okazały się daremne. Konwojenci nie pozwolili na podanie wody. W obozie już pierwszego dnia ograbiono nas doszczętnie. Przeprowadzono rewizję, poprzednio uprzedzono nas, byśmy pod karą śmierci oddali wszystko, co mamy wartościowego przy sobie.

Następnego dnia poprowadzono nas do łaźni. Tu ograbieni zostaliśmy do reszty. Zabrano nam bieliznę, ubrania, wzamian dano łachmany. Łaźnia przeciągnęła się przez dzień cały od ósmej rano do szóstej wieczór. Po dwu dniach otrzymaliśmy wreszcie posiłek: pół litra kawy, 15 dkg chleba. Po dwu nocach spędzonych pod gołym niebem, noc w baraku na pryczach szerokości 25 cm. W nocy było niebezpiecznie wyjść z baraku za potrzebą. Strażnicy strzelają w nocy do każdego, kto się ośmiela z baraku wyjść, nie pozostaje więc nic innego, jak z potrzebą załatwić się w baraku. Stąd też smród i zaduch nie do zniesienia. Po tygodniu zostajemy przydzieleni do poszczególnych brygad, liczących po 90 ludzi. Każda z brygad przydzielona zostaje do różnych robót, do pracy na lotnisku, na kolei itp. Jedna z brygad pracuje na cmentarzu żydowskim, gdzie usuwa się nagrobki i rozbija na kawałki, przeznaczone na budowę dróg. Utworzona zostaje I. brygada pogrzebowa. Obóz mordownia, obóz śmierci, nie pozwala na chwilę wytchnienia I. brygadzie pogrzebowej. Ja zostałem przydzielony do brygady kolejowej.

Wstawaliśmy wszyscy z pobudką o godzinie trzeciej nad ranem, potem apel i praca na kolei przez 11 godzin, następnie dalsze dwie do trzech godzin dodatkowej pracy oraz co naj-

mniej dwie godziny w kolejce przy kuchni, przy apelach karnych itp.

Najlżejszą karą była chłosta. Skazano na nią 13-tu towarzyszy za nienależyte zachowanie się w czasie marszu. Delikwentów ułożono po kolei twarzą ku ziemi, po czym leżących na brzuchu, gwałtem w tej pozycji przytrzymywanych, okładano nahajkami, waląc w obnażony tyłek. Bito co sił starczyło, polewając ofiary raz po raz wodą. Rozbawieni oprawcy pokpiwali sobie, patrząc na wijące się z bólu ciała. Na wszystko to musieliśmy patrzeć, stojąc w pozycji na baczność.

Po kilku dniach odbyły się pierwsze egzekucje chorych. Przy apelu, na wezwanie Rokity, by chorzy z szeregu wystąpili, zgłosiło się kilku chorych. Zostali tej samej nocy straceni. Odtąd nikt nie zgłaszał się chorym. Zbiry więc sami wyławiali przy apelu bardziej osłabionych i wycieńczonych, wywołując ich z szeregu słowami: *Komm, komm Jude*. Zakwalifikowanych w ten sposób jako chorych, przekazywano plutonowi egzekucyjnemu i z miejsca skreślano z listy zaprowiantowania. Skreślenie oznaczało śmierć, obostrzoną głodówką. Widzieliśmy nieraz chorych wyczekujących stracenia, którzy z głodu zrywali liście z drzewa i zjadali je.

W tych warunkach mijał dzień za dniem. Najcięższa praca, najnędzniejszy wikt, nieustające katusze i ciągłe egzekucje. Od czasu do czasu wypadki śmierci od pobicia i przy pracy z wycieńczenia. Staje się jasne dla nas, że wszyscy jesteśmy skazani na śmierć. Głodni, okryci łachmanami, w strzępach bielizny, nie mamy żadnych złudzeń. W dodatku szerzy się tyfus w zastraszający sposób. Pierwszych chorych, raz 75-ciu, drugi raz 25-ciu, odesłano do szpitala. Potem wszystkich podejrzanych tylko o tyfus odsyłano na rozkaz Willhausa wprost do plutonu egzekucyjnego. Strzały. W miejscu, gdzie przed chwilą siedzieli chorzy, — stosy trupów zbroczonych krwią. Tyfus szerzy się w dalszym ciągu. Zarządza się dezynfekcję baraku. Przechodzimy wszyscy piekło kwarantanny, jak gdyby na tej drodze można było zapobiec srożącej się epidemii.

Użyto procederu równie prostego, jak szatańskiego. Oto rozebrano nas naprzód do naga, strzępy bielizny i ubrań zabrano do odwszenia. Wkońcu ogolono nas i pozostawiono na-

ich przez dwie doby z rzędu pod gołym niebem. Wprzód jeszcze wysegregowano spośród nas tych, którzy nadzy, bez trudu mogli być rozpoznani, jako kompletnie wyczerpani. Tych „wysortowanych" przekazano plutonowi egzekucyjnemu.

Reszta z pozostałych była skazana na całodzienną kąpiel słoneczną, bez cienia, w wyjątkowo upalne dni, zaś nocą, zupełnie nadzy, zziębnięci i pokryci pęcherzami, tuliliśmy się do siebie, drżąc z zimna. Nie obeszło się bez ofiar. Pierwszej nocy zmarło kilkunastu, drugiej nocy blisko stu padło ofiarą kąpieli słonecznej. Dopiero trzeciego dnia skończyły się nasze katusze. Zezwolono nam na powrót do baraków. Znaleźliśmy wreszcie dach nad głową i upragniony cień. Byliśmy uratowani — jednak i tym razem nie wszyscy. Spragnieni chłodu i cienia pędziliśmy na wyścigi do baraku. Powstał skutkiem tego tłok u wejścia, zamieszanie, hałas. Rozbawiony tym widokiem Willhaus, zrazu przypatrywał się wyścigom spokojnie, roześmiany. Nagle odgłos strzałów. Strzelał Willhaus, mający dość wesołego widowiska. U wejścia do baraków padło sześć trupów. Nieszczęśliwcy pozostali martwi na słońcu.

Odebraliśmy strzępy bielizny, nie zwrócono nam butów ani czapek. Odtąd maszerowaliśmy przez miasto boso i bez czapek. Obraz nędzy i rozpaczy!

Po kwarantannie coraz częstsze były wypadki śmierci przy pracy z wyczerpania. Już pierwszego dnia zmarło 15-tu towarzyszy z naszej brygady robotniczej. Wracając po pracy zabraliśmy zwłoki i nieśliśmy je na noszach przez miasto. Musiał to być widok wyjątkowo grozą przejmujący, bo tym razem, jak nigdy, przechodnie nie szczędzili nam papierosów i chleba. Niestety, niczego nie wolno nam było tknąć, gdyż ktokolwiek się schylił, padał trupem od kuli strażnika.

Znamienne, że bestialski Rokita chciał uchodzić za naszego dobroczyńcę i opiekuna. O perfidii i upodleniu tego oprawcy świadczy, że osobiście wyjechał do Przemyśla i spowodował przemyski *Judenrat* do przeprowadzenia zbiórki bielizny na naszą rzecz. Oczywistą bielizny tej nigdy na oczy nie oglądaliśmy, ale doniesiono nam z Przemyśla, że istotnie na interwencję Rokity bieliznę dla nas zebrano i przesłano.

Dnia 12 lipca 1942 roku uciekł z obozu jeden z towarzy-

szy, przydzielony do naszej brygady. Ucieczkę stwierdzono przy apelu, co pięciu naszych towarzyszy przypłaciło życiem. Zastrzelił ich na naszych oczach Willhaus. Ogłosił ponad to, że w przyszłości za każdego zbiega zginie pięciu z odnośnej brygady. Nie dość tego. Następnego dnia przywieziona została do obozu z Przemyśla na rozkaz Willhausa cała rodzina zbiegłego, składająca się z dziewięciu osób. Zginęła ona następnego dnia z rąk Rokity, który strzelał naprzód dzieci w obecności oszalałych z rozpaczy rodziców. Egzekucja ta odbywała się wśród drwin i szyderstw.

Z każdym dniem daje się nam głód coraz bardziej we znaki. Chleb staje się nieocenionym skarbem. Jadaliśmy odpadki, znalezione przygodnie, jak łupiny, kaczany itd.

Z osłabienia padaliśmy z nóg. W obecności Rokity trzeba było za wszelką cenę trzymać się mocno na nogach. W jego oczach należało być zdolnym do pracy. Los chorych i osłabionych był przesądzony. Rokita śledził wciąż za nieszczęśliwcami, których sam wygląd skazywał na śmierć. Wystarczy, że się Rokita zbliży, przypatrzy bliżej ofierze i los jej się dopełnił. Nie było już wtedy ratunku. Zdarzało się, że skazaniec starał się przebłagać Rokitę, zapewniając, że jest zdrów. Dobrze — uśmiecha się Rokita szatańsko — i rozpoczyna egzamin. Nieszczęśliwiec biega do upadłego, by wkońcu zostać przydzielonym do grupy „wysortowanych". Przekazani plutonowi egzekucyjnemu siadają na trawie i bez ruchu czekają. Po egzekucji zjawia się brygada pogrzebowa, ściąga z zamordowanych strzępy ubrań i usuwa z placu zwłoki.

Dnia 18 lipca 1942 roku przybyło do obozu 1.500 Żydów drohobyckich. Zostali oni wraz z rodzinami kilka dni przedtem wysiedleni, by udać się — jak ich zapewniano — na Ukrainę do robót. Zatrzymano ich we Lwowie. Tu na stacji skierowano młodych do obozu, wszystkich pozostałych do Bełżca.

Przybyli do obozu byli jakby ogłuszeni. Dzień ten zapisał się wyjątkowo krwawo w dziejach obozu masowymi egzekucjami. Stracono 200 towarzyszy. Dyrektor *Ost-Bahn* był niezadowolony z tempa pracy. Zmobilizowano więc do apelu dwa plutony egzekucyjne. Okrzykami: *Jude, komm, komm!* wyła-

wiano wśród ciągłych kpin z szeregów naszych, przeznaczonych na śmierć. Uformowano z nich odrębny oddział na placu, po czym znęcano się biciem pięścią w twarz. Wszystko to odbywało się w obecności przybyłych dygnitarzy kolejowych.

Zabiera głos Willhaus, by oświadczyć, że spotyka nas zasłużona kara za opieszałą pracę. Zresztą — grozi — zastosowane będą w przyszłości ostrzejsze środki, by nas poprawić. Kolejno zabiera głos dygnitarz z kolei. Poirytowany odgraża się: „teraz będziecie mogli odpoczywać! U nas musi się pracować!" itp.

Po chwili na znak Willhausa padła salwa. Jeden z przybyłych gości przedrzeźniał konających głosem miaucżącego kota, ku uciesze rozbawionych gości.

Z obozu w dalszym ciągu ucieka dziennie dwu do trzech towarzyszy. Nie ma siły, któraby próbom ucieczki mogła zapobiec. Na nic się zdało i to, że brygady podzielono na grupy po pięciu ludzi, którzy wszyscy solidarnie odpowiadali w razie ucieczki więźnia. Nie pomogła i szubienica wzniesiona na placu apelowym, ani bestialski sposób wieszania za nogi, głową w dół.

Koniec lipca przypada na okres akcji w ghetcie przemyskim i stanisławowskim. Wypadki w Przemyślu, gdzie wysiedlono — jak nas dochodziły wiadomości — około 12.000 ludzi, dotknęły bezpośrednio nas z Przemyśla. Ustała od tej chwili wszelka pomoc z domu. Jesteśmy już sami, na siebie tylko skazani. W miarę nasilenia akcji w kraju napływają do obozu nowe transporty młodych, co pogarsza sytuację w obozie. Brak pomieszczenia dla masowo przybywających.

By temu zaradzić, wciąż eliminuje się słabszych i wycieńczonych. Najbardziej wyczerpani starają się uniknąć „wysortowania". Wprowadzony zostaje jakby egzamin zdatności do pracy. Próbą wytrzymałości jest bieg z przeszkodami wszelkiego rodzaju. Niezależnie od tego ogłoszono, że formuje się specjalną brygadę 180 ludzi do lżejszych robót. Nikt dosłownie do brygady tej się nie zgłosił, z tych nawet, którzy mając opuchnięte nogi, ledwo się wlekli. Brygadę jednak utworzono. Wysortowano 130 ludzi. W nocy słyszano odgłosy strzałów karabinu maszynowego.

Dnia drugiego sierpnia o północy alarm. Mamy pójść do

miasta do kąpieli. Pada ulewny deszcz, na którym czekamy pod łaźnią sześć godzin na kolejkę. Do łaźni wprowadzają nas brygadami, a jest nas 5.000 ludzi. Trzeba czekać aż wszyscy się wykąpią, do godziny 9-tej wieczorem, zmoknięci, zziębnięci i wygłodniali, bez prawa poruszania się, nawet na krok. Mimo że w łaźni były klozety, musieliśmy załatwiać się na miejscu gdzieśmy stali, a kał przykrywać papierem. Strażnicy pilnowali bowiem porządku, a za zanieczyszczanie bili.

Z łaźni nie wszyscy wrócili do obozu. U wejścia do łaźni Rokita zastrzelił trzynastu, a jednego zastrzelił *SS-man*. Odgłosy strzałów w centrum miasta i widok pięciu tysięcy nędzarzy, wyczekujących godzinami pod łaźnią, ściągnął tłumy ludzi i żołnierzy niemieckich, którzy pojąć nie mogli, za co tak strasznie nad nami się znęcają.

W drodze mijamy śmietnisko większych rozmiarów. Zwinniejszym udaje się momentalnie upolować ogryzki jabłek, kaczany kukurydzy, nadgniłe buraki itd. Jednak nie wszystkim śmiałkom poszczęściło się. Padły i trupy na samym śmietnisku. Straż nie rozumiała żartów!

Dnia piątego sierpnia nastąpiła innowacja w obozie. Zarządzono tortury na placu grozy. Było to miejsce kaźni. Nie sposób opisać na co musieliśmy patrzeć w bezsilnej rozpaczy. Dzień w dzień na placu lała się krew strumieniami towarzyszy, którzy na godzinę przedtem jeszcze żyli.

W sierniu 1942 roku był Lwów widownią straszliwej akcji, trwającej 14 dni. Codziennie idąc do pracy, widzieliśmy po brzegi zapełnione lory tramwajowe dziećmi, kobietami, codziennie ze zgrozą oglądaliśmy tysiące Żydów wyczekujących w większych grupach decyzji — czy pójdą do obozu, czy zostaną wysiedleni na śmierć.

Z akcji tej napłynęło do obozu 5.000 ludzi, którymi uzupełniono mocno przerzedzone szeregi. Do naszej brygady, która z 90-ciu zmniejszyła się do 30-tu, przydzielono 60 Żydów lwowskich. Z napływem tysięcy Żydów lwowskich zwiększała się dla nas starych szansa ucieczki. W obozie wzmożony ruch, zamieszanie, szwankuje ewidencja w poszczególnych brygadach, z powodu ciągłej fluktuacji stanów liczbowych. Teraz nada-

rza się okazja do ucieczki. Nie mam absolutnie już nic do stracenia.

Dnia 30-go sierpnia w czasie pracy na dworcu kolejowym udało mi się niespostrzeżenie oddalić się od brygady. W mgnieniu oka narzuciłem na siebie, przygotowany przed tym, schowany w plecaku prochownik, by w chwilę potem znaleźć się w śródmieściu. Byłem wolny, ale wciąż jeszcze nie uratowany. Skończyłem ze zmorą obozu, ale przejść trzeba było przez śmiertelną próbę ogniową, by po 14-tu dniach znaleźć się wśród swoich w Przemyślu.

Dnia 15 września 1942 roku wróciłem do Przemyśla, do rodziny i pobyt „w domu" był — piekłem nie do zniesienia. Po akcji sierpniowej, nałożona została na Żydów kontrybucja w kwocie pół miliona złotych na pokrycie kosztów wysiedlenia i kosztów ogrodzenia ghetta. Tak więc Żydzi musieli ponieść koszty stracenia tysięcy swych braci.

Perfidia i zakłamanie niemców doszły do tego stopnia, że po akcji listopadowej 1942 roku Benewitz, szef gestapo w Przemyślu, robił *Judenratowi* wyrzuty, że Żydzi sabotują akcję, ukrywają się po piwnicach i nie respektują wydanych zarządzeń. Po tej akcji objął nadzór nad ghettem *Obersturmführer SS* Josef Schwamberger. Ten pan życia i śmierci mordował i pastwił się nad swoimi ofiarami. *Nimm das Dreck weg* — oto słowa, którymi z reguły kończył egzekucję, nakazując *ordnerom* zabranie zwłok zamordowanych. Ze szczególną satysfakcją strzelał znienacka, w kark.

Na zarządzenie Schwambergera została dnia 15 lutego 1943 roku dzielnica podzielona na A i B. Dzielnica A dla pracujących, którzy zostali zarazem skoszarowani i dzielnica B dla niepracujących, których los był przesądzony. Byłem zmuszony wraz z rodziną zamieszkać w dzielnicy B. Prawo zamieszkania w dzielnicy A zależne było od zdobycia pracy, co znowu połączone było z wielkimi kosztami. Trzeba było płacić łapówki kierownikom warsztatów, na co stać było tylko najzamożniejszych. Pobyt w dzielnicy B był jednym pasmem udręczeń i katuszy. Nie było się pewnym ni dnia, ni godziny i to mimo schronów, jakie masami budowano i mimo stałych, w każdym domu zorganizowanych posterunków — czy nie zbliża się ktoś

podejrzany. Wystarczyło zjawienie się w dzielnicy umundurowanego cienia, a wszyscy zaalarmowani przez posterunki uciekali do schronów.

Żyło się w ten sposób w ustawicznym strachu. W dodatku sytuacja materialna stawała się beznadziejna. Brakło wszelkiego zarobku, szalała drożyzna. Tylko z narażeniem życia można było zdobyć chleb i ziemniaki poprzez ogrodzenie z drutów kolczastych, którymi otoczona była dzielnica.

Byliśmy świadkami męczeńskiej śmierci 25 zakładników, których rozstrzelano na cmentarzu żydowskim.

Dnia 7 kwietnia 1943 roku opuściłem z rodziną potajemnie dzielnicę i uciekłem do miasta, gdzie w ukryciu pozostaliśmy do wyzwolenia nas przez Czerwoną Armię.

Lb. 257.

ABRAHAM BEER

Willhaus i Heinen. Akcje. Brygada 1005.

Pierwsze wrażenie po przybyciu: Pożółkłe twarze, skulone postacie w łachmanach, opuchnięte nogi. Na drugi dzień ujrzeliśmy pana naszego życia i śmierci *Untersturmführera* Willhausa.

Co kilka dni rano, podczas apelu, słyszeliśmy zdala serię z automatu i wiedzieliśmy już, że przychodzi Willhaus. Stawał wtedy koło bramy, gdzie brygady wychodziły do pracy, wybierał słabszych fizycznie, starych i chorych na bok, co oznaczało ich likwidację. Jeżeli jeden uciekł, rozstrzeliwano za to dziesięciu innych, zależnie od humoru komendanta obozu. Najgorsze w tym okresie zimowym było, gdy na stację przyszedł materiał budowlany na baraki. Były to przeważnie krótkie i grube kloce drewniane i cegły. Droga od obozu do stacji była mocno oświetlona, po obu stronach stali *SS-mani* i *askarzy* i bili rajtpejczami i kolbami karabinowymi, gdzie popadło. Tuż przy wagonach była niewielka kałuża wody. Jeden z oprawców uderzył słabszego i starszego człowieka kolbą, a gdy ten nie mógł się sam podnieść z kałuży i zaczął się dusić, zastrzelił go. Tych, którzy nie mogli nosić ciężarów, stawiano między podwójną

ścianą drutów. Nieszczęśliwcy czekali tu całą noc, a rano na wpół zmarznięci zostali załadowani na auta i wywiezieni na Piaski, gdzie odbywała się egzekucja.

Od Bożego Narodzenia do Nowego Roku stała koło bramy ładnie ozdobiona choinka, elektrycznie oświetlona, opodal grała orkiestra podczas wymarszu do pracy, a tuż obok drutów leżeli na wpół zmarznięci, wysortowani na śmierć i trupy. Jeden ze skazańców usiłował jeszcze kilkakrotnie podnieść się, a gdy mu się to udało, doszedł do niego *SS-man* i uderzył go pięścią tak, że ten upadł. Gdy wynoszono go, charczał już. *SS-man* z obrzydzeniem odwrócił się od niego.

Strzelanie z powodów zupełnie błahych było zjawiskiem codziennym. *SS-man* Fuchs, znany strzelec, robił doświadczenia i przestrzelił kilku ludzi ustawionych rzędem. Kolanko, Schönbach, Heinen potrafili strzelać dziennie bez powodu 30 ludzi. Heinen rozmawiał raz ze mną. Głos miał łagodny i miły, mówił cicho i spokojnie. Rzadko darował po takiej rozmowie życie. Widzieliśmy sami, jak m. i. przyprowadził młodą i piękną kobietę pod kuchnię i kazał się jej rozebrać. Zastrzelił ją, a gdy leżała już martwa, strzelił jej jeszcze raz w łono. Gdy rozstrzeliwał ludzi, był niezwykle ożywiony i podniecony. Z szeregów idących piątkami do pracy, Schönbach wyciągał starych, chorowitych i słabych i odstawiał ich na bok. Pozostali z tej piątki musieli przebiec około 30-tu metrów. Kto nie biegł szybko, ten też bywał odstawiany. W bramie stał młody *SS-man* w hełmie i podstawiał biegnącym nogę lub kolbę od karabinu. Kto upadł, ten również odchodził na bok. Wszystko odbywało się w nienaturalnym spokoju. Miałem właśnie czeraki na nogach, ale biec musiałem. Z naszej piątki odstawiono jednego na bok i rozpoczął się bieg. Ja byłem w środku tak, że na mojej trasie stał *SS-man*. Gdy przebiegałem koło niego, zamachnął się karabinem. Uskoczyłem w bok, trąciłem biegnącego z lewej strony sąsiada, ale żaden z nas nie upadł. Dobiegliśmy do stojących już po biegu. Jedno spojrzenie w prawo: kobiety odstawiono grupami bez biegu. Czarna masa skazańców siedzących w zobojętnieniu na ziemi i moknących na deszczu.

Ledwo ucichła jedna akcja, już mówiono o drugiej. Ani chwili spokoju lub wytchnienia. Trudno to wszystko moralnie

wytrzymać, owo nieustanne oczekiwanie śmierci każdego dnia, a nadto jeszcze obawę o rodzinę w ghetcie, jeśli ją ktoś jeszcze miał.

W czasie likwidacji ghetta nie puszczono nas do pracy. Trzymani za drutami, widzieliśmy na własne oczy, jak rozbijano główki niemowląt o latarnie. Przyprowadzeni z ghetta starcy, kobiety i dzieci musieli rozbierać się do naga (kobiety zostawały w bieliźnie), wrzucać ubrania na auta, ustawiali się w piątki i maszerowali w kierunku wąwozu z tyłu za obozem. Cynizm eskortujących gestapowców sięgał tak daleko, że ofiary musiały iść na śmierć wyrównane w piątkach na odległość ramienia — *Ausrichten und immer zu fünf!* Cisza była taka, że słyszano brzęczenie much. Pamiętam, był śliczny słoneczny i upalny dzień letni. Kolumna schodziła wdół ku wąwozowi. Niedaleko drutów przechodziła piękna, młoda kobieta w koszuli i odruchowo odrzucała w tył długie włosy, spadające jej na oczy. W wąwozie ukazywała się co chwilę nowa piątka, czekała na strzały, spadała na ogień palący się na dole. Kto był tylko raniony, spadał i palił się żywcem. W wąwozie leżał olbrzymi stos ubrań, a za wąwozem strzelały w górę wysokie płomienie ognia. Powietrze wypełniał odór palonych kości.

W tym czasie stworzono już brygadę pogrzebową 1005. Odkopali oni kości pozostałe z różnych akcyj. Nikt z nimi nie mógł się stykać, bo zbudowano im specjalny barak na Piaskach i tam dowożono żywność. Brygada ta rzuciła się w listopadzie na pilnujących ją gestapowców, odebrała im broń i uciekła do lasu. Po tym wszystkim stało się oczywiste, że nie ma żadnych szans przeżycia w obozie. Każdy zaczął myśleć o ratowaniu się, wystarawszy się poprzednio o broń. W naszej brygadzie znalazł się taki, który zaczął przygotowywać grupową ucieczkę z bronią do lasu. Był to nasz brygadier Herman, który nawiązał stosunki z odpowiednimi ludźmi. Tymczasem pewnego dnia, w czerwcu, naszą brygadę zatrzymano w obozie. Komendant *lagru* Warzog kazał rewidować warsztaty obozowe, gdzie znaleziono dwa rewolwery i tępą broń. Brygadier Herman został posądzony o współudział w dostarczeniu broni, osadzony w bunkrze, a potem znikł.

W lecie 1943 roku zostały zlikwidowane firmy pracujące

dla *Wehrmachtu*. Zrobiono to podstępem, czysto po niemiecku. Brygada jeszcze tego samego dnia kąpała się i wracała autem, jak zwykle, z pracy przez Janowską Górę. Nagle skręca na prawo, na ul. Pilichowską. Tu na rogu stał przygotowany karabin maszynowy. Zaskoczenie było tak wielkie, że nim się ktoś opamiętał, już byli na Piaskach (miejsce egzekucji), a w obozie systematycznie likwidowano jedną grupę po drugiej. Po tym w obozie w Gross-Rosen powiedział do mnie pewien niemiec z Saksonii, *capo* obozowy: „My niemcy jesteśmy narodem krwiożerczym, ale w tym jest coś pięknego, wzniosłego".

Lb. 134.

Dr. SZYMON HAUPT

Rokita

W czasie likwidacji ghetta lwowskiego dostałem się jako lekarz do obozu janowskiego. Zastałem w obozie grupy więźniów, pracujących na mieście i grupy karne pozostające w obozie. Dostałem się do grupy karnej, która pozostała na miejscu, była więc narażona na strzały żony szefa Willhausowej, która z balkonu uczyła się strzelać. Praca ciężka, niwelacja obozu, budowanie baraków. Do października spaliśmy na deskach pod gołym niebem. Trzy razy w tygodniu 18 godzin pracy. Himmler był na kontroli, czy robota szybko postępuje.

Bito za brud i zabijano. Mydła nie było. Później dostawaliśmy mały kawałeczek na 60 osób raz na tydzień. Jedzenia tak mało, że jeśli ktoś nie dostawał pomocy z zewnątrz, ginął bezapelacyjnie do sześciu tygodni. Na rannych i wieczornych apelach prawie codzień ofiary. Ginęło 20—25 osób. Willhaus albo Rokita wybierali kiwnięciem palca, kazali się obrócić i strzelali w kark, a potem w czoło. Przy rannych apelach wyławiano niezdolnych do pracy. Podawać nazwiska musiał brygadier lub lekarz, groziła im śmierć za niepodanie. Niezdolnych odstawiano za druty i po odejściu wszystkich strzelano. Ludzie szli na śmierć spokojnie, z uśmiechem. Nie krzyczeli przy biciu. Byli tak zrezygnowani i tak przywykli do szubienic, że umieli pod szubienicą jeść.

W każdej brygadzie był lekarz. Żydzi jednak nie mieli prawa leżeć w szpitalu i chorzy odrazu szli za druty. Chorzy na tyfus chodzili do pracy z gorączką 40-stopniową.

Egzekucje w obozie: Przywiązywano do słupa w ten sposób, że nogi nie dotykały ziemi, ręce wiązano w tył i bito. Śmierć następowała po trzech, czterech dniach. Wieszano na żerdzi głową ku dołowi i bito. Śmierć następowała w przeciągu czterech godzin. Łaźnia: Kąpiel co dwa tygodnie. Podczas każdej kąpieli dwudziestu kilku postrzelonych, z tego przynajmniej ośmiu zabitych. Strzelał Rokita. Po egzekucji zwracał się do milicjantów żydowskich: *Ihr seht, ich bin so gut zu euch und ihr macht mich so nervös* — i zapalał papierosa.

Lb. 254.

EUGENIA MASS

Epizody

SS-man Rokita, przechadzając się na apelu, oglądał czy Żydzi mają czyste uszy. Jeśli ktoś miał brudne, strzelał do niego spokojnie, bez zdenerwowania. W okresie likwidacji ghetta lwowskiego urządził Willhaus przegląd kobiet na placu. Zbliżał się do niektórych i mówił: *Du hast schöne Augen, du siehst aus wie eine Arierin, komm* — rozstrzeliwał właśnie takie. Noworodkom w obozie kazał Gebauer dawać zastrzyki śmiertelne. Gdy już obóz był zamknięty, pewna kobieta zza drutów mimo zakazu chciała podać mężowi jedzenie. Zauważył to *SS-man* Lowitz i zastrzelił ją.

Lb. 210.

SZEBNIE

ADOLF WOLFGANG

Zabawy zwyrodnialców

Dziesięć kilometrów od Jasła znajduje się obóz tortur Szebnie. *SS-Oberführer* Scherner i zastępca jego *SS-Sturmbannführer* Haase organizowali ten obóz i zaspokajali swe

popędy sadystyczne kosztem życia tysięcy młodych ludzi. Byłem pierwszym z tych, którzy zostali wysłani do Szebni i może jedynym świadkiem naocznym zbrodni, który ocalał.

Komendant obozu *SS-Untersturmführer* Scheidt, człowiek-zwierzę, mający na sumieniu więcej ludzi, niż włosów na głowie, wydał m. i. zarządzenie, że „wszyscy niemcy muszą mieć stale przy sobie biczysko". Tegoż dnia rymarz dostał zamówienie na 50 sztuk. Były to biczyska długie, zakończone pięcioma kolcami metalowymi.

Opiszę tylko kilka fragmentów zbrodniczego życia obozu w Szebniach. Dokoła obozu wybudowano wieże obserwacyjne, z których lufy karabinów maszynowych skierowane były na wszystkie strony. Obóz był obstawiony silną wartą. W połowie maja nadszedł transport. Około 100 wagonów ubrań, butów, bielizny, mebli, maszyn oraz używanych rzeczy wszelkiego rodzaju. Były to rzeczy po wywiezionych Żydach z likwidacji ghett. Urządzono warsztaty, celem naprawy zniszczonej garderoby i mebli.

Dwór hr. Gorayskiej został odrestaurowany niczym apartamenty królewskie, tam zamieszkał komendant obozu *SS-Untersturmführer* Scheidt, tam zjeżdżał co kilka dni niemiecki sztab obozowy okręgu krakowskiego z *SS-Oberführerem* Schernerem i *SS-Sturmbannführerem* Haase na czele, tam zjeżdżało gestapo z Krakowa, celem omówienia zbrodniczych planów. Odbywały się orgie i gwałty. W dworze magazynowano tysiące flaszek z wódką i szampanem. Pijatyki odbywały się noc w noc. Gdy przyjechał Scherner i Haase oraz komendant obozu płaszowskiego Goeth i wielu innych bandytów, zaczynała się zabawa, tak zwana Scheidtowska, która trwała 8—10 dni. Setki flaszek opróżniano, cukiernicy i piekarze piekli dniem i nocą, by obsłużyć kilku morderców. Zorganizowano personel kuchenny z kilkudziesięciu ludzi. Każdą zabawę przypłaciło życiem kilkudziesięciu więźniów, po największej części kobiety. Kiedy odbywała się hulanka we dworze, w tym samym czasie wywożono wciąż nowe trupy na cmentarz.

Codziennie rano i wieczór odbywają się apele. Apel ranny jest niczym w porównaniu z wieczornym, ponieważ rano otrzymujemy przydział prac, zaś po apelu 14 dkg chleba i garnu-

szek gorzkiej kawy. Apel wieczorny połączony jest zawsze z chłostą. Za rozmaite „przewinienia" wymierzano od 20—50 batów, bez względu na płeć. Codziennie wynoszono z placu apelowego kilkanaście osób zmasakrowanych.

Rottenwachmeister Bernd i *SS-Hauptsturmführer* Unterhubert byli specjalistami w torturowaniu. Kto wpadł w ich ręce, długo konał. Pastwili się nad ofiarami, gdy więzień mdlał, oblewali go wodą i nadal przeprowadzali tortury. Służył do nich wytresowany, duży rasowy pies, który szczuty, rzucał się na ofiarę wyrywał z ciała strzępy. Pod koniec apelu, który trwał jedną do dwóch godzin, komendanci i szefowie, oraz uczestnicy „Scheidtowskiej" zabawy wybierali młode i piękne dziewczęta pod pretekstem „sprzątania" we dworze. Tam nie obowiązywała *Rassenschande.* Po takim nocnym sprzątaniu dziewczęta wracały z opuszczonymi głowami, ukradkiem ocierając łzy. Były wypadki stawiania oporu, niektóre odważniejsze próbowały bronić swej czci, lecz przypłaciły to życiem.

Oto jedna z atrakcji zabaw „Scheidtowskich". P. M. z Krakowa, fryzjer w sztabie niemieckim, otrzymał rozkaz, by natychmiast wybrał z obozu jedną z dziewcząt, przyprowadził ją i w obecności sztabu był wraz z nią obiektem zdjęć pornograficznych.

Podobnych zabaw było wiele. Końcowa faza zabawy: Rozbijanie mebli, strzelanie z pistoletów do lamp i luster. Pięknie urządzone komnaty zamieniały się w gruzy. Po zabawie rozpoczynał się remont. Auta wyjeżdżały do ghetta i zwoziły nowe urządzenie, a obozowcom pracy nie brakło.

Każdy więzień przekraczając bramę obozu, w pierwszy dzień przechodził tortury. N. p. popularne było noszenie „zapałki" t. j. belki wagi około 100 kg, z którą musiał więzień biegać dokoła bloku. Zwykle po jednym takim biegu padał pod ciężarem belki. Wówczas okładano go biczyskiem, dopiero omdlałego odnoszono do obozu.

Chorych u nas nie było. Rozstrzeliwano ich, to też ludzie ukrywając chorobę pracowali z wysoką temperaturą. Było dużo wypadków śmierci. Kobiety w poważnym stanie rozstrzeliwano.

Gdy wybuchła epidemia tyfusu brzusznego, wydano rozkaz zbudowania baraku szpitalnego. Po kilku dniach było kil-

kudziesięciu chorych. Wszyscy zostali rozstrzelani. Było też wiele wypadków ucieczki z obozu. Za jednego Polaka ginęło trzech, zaś za jednego Żyda — dziesięciu.

Gdy nadchodziły transporty Żydów, odbywały się rewizje z największą skrupulatnością. Były to straszne chwile, wykorzystywane dla ohydnych zboczeń, tortur i morderstw. Wybrano specjalnie do tej funkcji 20-tu niemców pod kierownictwem osławionego Berndta oraz *Unterführera*, który miał kilkuletnią praktykę w obozie w Dachau. Rewizję przeprowadzali nago, więcej trudu zadawali sobie z kobietami, szczególnie gdy były młode i dobrze zbudowane rewizja trwała dłużej. Kobiety takie musiały nago tańczyć i wyginać się na wszystkie strony. Wiele razy sam komendant obozu Scheidt, człowiek o najniższych instynktach zwierzęcych, przychodził wieczorami wraz ze swą świtą do baraków zamieszkałych przez Żydówki, wybierając spośród nich najpiękniejsze celem rzekomego przeprowadzenia rewizji osobistej.

Urządzał sobie oryginalne zabawy, n. p. strzelanie na odległość do celu. Celem jego byli Żydzi. Urządzał też przymusową kąpiel mężczyzn i kobiet w jednej hali natryskowej, zmuszając ich do najbliższego zetknięcia się z sobą. W trakcie tej zabawy padały strzały. Dwie Żydówki siostry W. z Bielska, najzdolniejsze siły biurowe, zatrudnione były w biurze komendantury. Słyszałem sam słowa *Oberscharführera* Pospicha wyrzeczone do nich: „Wy będziecie pierwsze z wszystkich rozstrzelane". Na zapytanie dlaczego, odpowiedział: „Bo wy przez pracę u nas jesteście wtajemniczone w nasze sprawy". „Zresztą wszystkich Żydów musimy wystrzelać". Zapowiedzi istotnie dopełnił, zastrzelił je prawdopodobnie dlatego, że zalecał się do nich bez skutku.

W miesiącach lipcu, sierpniu i wrześniu 1943 roku sprowadzano tysiące Żydów. Po każdym przyjściu transportu odbywały się rewizje, po czym segregowano. Młodych wprowadzano do obozu, starszych zaś i dzieci wywożono autami na polanę, o dwa kilometry od obozu między lasem a rzeczką. Tu ich rozstrzeliwano i palono. Pozostawione resztki niedopalonych kości rzucano do rzeki, po czym pola zostały dokładnie przeorane, by nie pozostały ślady krwi. Straszne były sceny

odrywania dzieci od matek, żon od mężów lub odwrotnie. Auta ciężarowe co kilka minut opróżniały ładunek ludzki, powracając z garderobą straconych. Matki poznawały sukienki dzieci, mężowie suknie swoich żon. Bito nielitościwie. Ze stosów ubrań niemcy wybierali co lepsze, zabierając dla siebie, zaś co zniszczone szło do warsztatów do reperacji. Po skończonej „akcji" gestapowcy wzywali „pucerów", by im oczyścić buty, gdyż były całe we krwi, po czym rozpoczynała się libacja, która trwała do rana. Podczas zabawy usługiwały Żydówki, które musiały być zarazem tancerkami. Szefowie gestapo i policji zmuszali je do tańca, całowali po rękach, aby je później w pierwszych szeregach rozstrzelać. Nazajutrz po libacji ładowano auta pełne desek i beczek benzyny, które służyły do palenia zwłok. Płomienie były widoczne na odległość kilku kilometrów.

W obozie zjawił się wysoki, barczysty człowiek, o bystrych oczach, *SS Hauptscharführer Josef Grzimek*. Objął on funkcję szefa obozu, ponieważ poprzedni został wydalony za niefortunne wysłanie do Niemiec paczki, w której było złoto skradzione podczas rewizji. Grzimek przewyższył swoich poprzedników okrucieństwem. Zorganizował „Jazz", który przygrywał podczas „akcji", by zagłuszać jęki i płacz. Nie było dnia, by nie zastrzelił kilkudziesięciu ludzi. Aż pewnego razu podczas przechadzki w ogrodzie zastrzelił dwie pracujące kobiety. Obecny przy tym Żyd z Bochni Chiel Zimmetbaum w okamgnieniu znalazł się przy nim i potężnym uderzeniem pięścią w twarz obalił go na ziemię. Zaczęła się walka na śmierć i życie, obaj mieli siły równe. Niestety przybiegło trzech niemców, uwalniając swego towarzysza. Żyd został skrępowany sznurami. Ustawiono szubienicę, na której zawisł na rękach związanych do tyłu. Straszna była jego śmierć. Siedem godzin wisiał, nim pachwiny się rozerwały. Błagał o śmierć. Ostatnie jego słowa były: „cierpienia moje niech będą ostatnimi cierpieniami Żydów". W podobny sposób zginęło dużo młodych mężczyzn. Były wypadki, że wisielca ciągnięto za nogi, by przyspieszyć rozerwanie pachwin.

2 listopada 1943 roku odbyła się większa „akcja". 600 żołnierzy *Wehrmachtu* przybyło do obozu, by zgnieść ewentualny

opór, ponad 3.000 Żydów zostało straconych. Nazajutrz magazyny znowu zapełniły się garderobą i bielizną. Poznaliśmy ubrania naszych kolegów, wczoraj straconych. 6 listopada ponowiono „akcję" na tej samej polanie. Ostatnie trzy auta, wiozące około 200 ludzi, nie zajechały na miejsce egzekucji. Mimo, że na każdej maszynie stało 12 niemców z karabinami maszynowymi, Żydzi znajdujący się w wozach rzucili się na eskortujących. Rozpoczęła się walka na śmierć i życie, walka nierówna. Toteż przeważająca część więźniów poległa. Tak zakończyła się gehenna Żydów w Szebniach.

Lb. 182.

TADEUSZ BLUTH

Rozstrzeliwania

Często dochodziło do masowych rozstrzeliwań. Pewnego dnia rozstrzelano 800 osób, innego 600. W lasach Dąbrowca i Bierówki są dotąd masowe groby rozstrzelanych Żydów. Ustawieni w szóstki, nago, ze związanymi do tyłu rękami szli szóstka za szóstką na kraj grobu, gdzie pojedynczo strzelano do nich z rewolweru w tył głowy. Nie próbowali przeciwstawiać się, dopiero gdy połowa ludzi została stracona, resztą wstrząsnął rozpaczliwy szloch i lament.

Komendantem obozu był Grzimek, zwany „tatusiem". Obłudnie opiekował się dziećmi, dla których zrobił specjalny oddział, aby pod koniec lata 1943 roku wystrzelać wszystkie. Grzimek był pedantycznie czysty. Pewnego dnia dwie Żydówki zamiatające obóz, zostawiły na drodze dwa źdźbła słomy. Obie Żydówki zastrzelił Grzimek osobiście. U jednego Żyda znalazł 50 zł. Żyd został rozstrzelany na miejscu. Za najmniejsze przewinienie stosowana była głodówka i 24-godzinny dzień pracy.

Rozstrzeliwania odbywały się poza Szebniami, w Kołaczycach, pod Żmigrodem. Z wysłanych z Jasła do obozu uratowało się zaledwie kilku. Do tortur stosowanych w Szebniach należało między innymi wieszanie na wykręconych rękach na słupie. W Szebniach oprócz Żydów byli polscy i sowieccy więźniowie polityczni. Między więźniami panowały przyjazne stosunki.

Lb. 220.

SKARŻYSKO-KAMIENNA

FELICJA BANNET

Pikryna

Na drugi dzień po naszym przyjeździe przyszli kierownicy do baraku i zaczęto wybierać do pracy. Poznałyśmy, że jest to przyjazd do piekła. Apel ogólny to przydzielanie do poszczególnych fabryk. Wtedy zobaczyłam kobiety rudo-zielone, żółtych mężczyzn — taniec szkieletów. Strzępy ludzi w papierowych pelerynach, powiązanych sznurkami, spodnie-łachman łatany papierami, jedna noga w połamanym holendrze, druga owinięta w papier. Na twarzach tępa rezygnacja. Niektórzy czarni, o zgasłym wzroku, — po tym dowiedziałam się, że są to potyfusowi.

Najpiękniejsze młode dziewczęta, blondynki o szczególnie pięknych rękach, wybierano do najgorszej pracy, do pikryny; przy niej odrazu żółkły jak kanarki, a ręce pokryte były wrzodami. Nikt nie chciał starych kobiet.

Pikryna hala 13. Kierownik von Hecht z Lipska, 80-letni starzec, wysoki, lekko pochylony, wzbudzał paniczny strach. Gdy wchodził na halę, zalegała śmiertelna cisza. Jego przewiercające, okrutne oczy, ścinają krew w żyłach. Truchleli przed nim nawet niemcy.

Pikryna — żółty proszek do fabrykacji min podwodnych. Przy pracy unosi się żółty proszek gorzki, od którego wszystko żółknie i gorzknieje. Robotnicy żółto-zieloni, rudzi, z wypalonymi dziurami w ubraniach, zawinięci w zimie w papiery, dno nędzy. W pierwszy dzień nie mogłam pracować. Dusiłam się, kaszlałam, łzy płynęły mi z oczu, nieopisana gorycz. Nie mogłam przełknąć kęsa chleba.

Chore płuca, kurcze w kolanach, wymioty od zatrucia pikryną. Pewien warszawianin, mężczyzna tak silny, że przynosił sam kotły z kuchni i brano go do dźwigania trupów — zapadł na nogi i tak chudł, że po miesiącu był „muzułmanem". Po 1½ miesiącu umarł. Praca była bardzo ciężka przy prasie. Najlżejsze niedociągnięcie powoduje wybuch. Jeden chłopiec palił się jak świeca, ledwie uratowany, poparzony nieludzko,

był szczęśliwy, bo dzięki temu poszedł do innej pracy. Na przyrządach smarowanych oliwą w połączeniu z pikryną spala się skóra i powstają rany na rękach.

Majster nie wchodził na halę. Stawał w drzwiach. Zatykał usta, a rozporządzenia wydawał nie w hali, ale na progu. Od pikryniarzy odsuwano się jak od trędowatych. W ich pobliżu wszystko gorzkniało. Nie mogli grzać się przy piecu, bo pod wpływem ciepła gorycz unosiła się w powietrzu i jedzenie gorzkniało. Urządzano sobie z nich widowisko. Wołali za nimi: „idą kanarki". Norma z początku wynosiła siedem skrzyń. Przyrzekano *„fajrant"* po skończeniu normy. Panował nieludzki pośpiech, wyścigi, jeden gnał drugiego, by jak najprędzej skończyć i iść do baraków, bo umycie się z pikryny i oczyszczenie zajmowało bardzo dużo czasu. Niemcy wykorzystywali, dawali 8, potem 9 i 11 skrzyń i przed piątą wieczór nie wypuszczali z hali.

Dostawało się 25 dkg chleba, zupę z cuchnących płatków ziemniaczanych. Dwa razy w tygodniu słodka zupa, mdła, cuchnąca i mimo największego głodu odstawiałam ją ze wstrętem. Miałam 11 godz. pracy, dawniej norma wynosiła trzy skrzynie t. j. 270 sztuk, teraz 11 skrzyń — 1000 sztuk. Ludzie byli tak nieludzko bici przez majstrów, że każdy skrawek hali przesiąknięty był krwią. Bili młotkiem po głowie. Przed likwidacją polepszył się fasunek dla pikryniarzy: ⅓ l mleka odciąganego i 25 dkg kaszanki raz na tydzień, jako dodatek do morderczej pracy. Na hali 13-ej po trzech miesiącach pracy robotnicy kończyli się, w najlepszym razie mieli chore płuca. Gdy wymarli mężczyźni, kobiety zastąpiły ich przy prasie. Podczas likwidacji *lagru,* wykończono wszystkich pikryniarzy, bo niemcy nie chcieli pokazać światu żółtych ludzi. Uratował się tylko jeden, który ukrył się podczas selekcji.

Praca tak mordercza i wysysająca zdrowie wymaga specjalnego odżywiania, dlatego pikryniarze najbardziej cierpieli z powodu głodu, tym więcej, że wszyscy odsuwali się od nich ze wstrętem i nikt im nie szedł z pomocą. Marzeniem każdego pikryniarza było zdobycie jeszcze jednej łyżki zupy, o co toczyły się bójki. Oczywiście udział w wylizaniu beczki i zlizywaniu resztek wychlapanej zupy z ziemi przypadał najsilniejszemu. Niemcy z sadystycznym zadowoleniem przyglądali się

walkom głodomorów, a raz kierownik *Werku*, niemiec, widząc chłopca liżącego beczkę wepchnął go do środka głową na dół i chłopiec pozostawał w tej pozycji tak długo, dopóki niemcowi nie znudziła się zabawa.

Tyfus: Wskutek nieludzkiego zawszenia rozszerzyła się epidemia tyfusu. Zaczęło się od pojedyńczych wypadków. Maleńki barak, który był niby szpitalem, nie mógł pomieścić chorych, dawniej barak 7 *Krankenhaus*. — Mała izdebka, brud, zaduch; fala smrodu odpychała od drzwi. Chorzy na deskach, prawie nadzy, istne upiory w rozszarpanych szmatach bez kocówv, okradani z fasunku, niezliczone wszy chodziły po opuchłych z głodu ciałach. Chory konał z pragnienia, nikt mu nie podał wody, nieprzytomnym zabierano lepsze rzeczy, wyrywano złote zęby umierającym i trupom.

Ponieważ chorzy nie mogli się pomieścić w szpitalu. pozostawali w barakach bez opieki lekarskiej. Aby formalności stało się zadość, przychodził raz w tygodniu lekarz. Pisał zwolnienia i kiwał głową, bo brakło lekarstw. Chore leżały wraz z zdrowymi na tej samej pryczy. W strasznej gorączce, nieprzytomne oddawały kał i mocz pod siebie, tak, że często sąsiadka zawalana była kałem chorej. Kobiety w malignie krzyczały, jęczały, wołały „mamo", wiły się z bólu. Okropny zaduch, w nocy nie można było spać z przyczyny smrodu i krzyków. Niektóre miały biegunkę, wymiotowały na swoje koleżanki z niższych pięter. Kobiety z obsługi okradały z fasunku chore koleżanki, zdarzało się, że tygodniami fasunek nie dochodził do chorych. Na 1.500 chorych umarło 900.

Po zmarłe przychodzili dwaj tragarze z noszami, ciągnęli na pasach trupa przykrytego czarną szmatą i zabierali do skrzyni koło latryny. Gdy nagromadziła się większa ilość trupów, ładowano je jak śmiecie na wóz i wywożono niewiadomo dokąd.

Komplikacje potyfusowe: Większość nienormalna. Kobiety gadały od rzeczy, osłabione, na drodze do pracy padały, kaleczyły sobie kolana, jedna podpierała drugą, po tyfusie następowała biegunka, na którą nie było ratunku, flegmona, paraliż mięśni, osłabienie wszystkich zmysłów. Ale do pracy musiało się iść.

Najstraszniejszą była tak zwana „hasagówka", gorączka i biegunka, która trwała niekiedy miesiące. „Potyfusowych" nie chciano później przyjąć do lżejszej pracy, tylko do rozmaitych wykończalni, chyba, że dały duży okup.

Ustalanie normy: trzeba było przenosić dziesiątki tysięcy granatów z jednego magazynu do drugiego. Ustawiono nas w długi, podwójny łańcuch, jedna od drugiej w odległości rozłożonych ramion. Kontrolował von Hecht. Zbój z zegarkiem w ręku badał tempo pracy przy przenoszeniu granatów (waga sztuki 50 kg). Ponieważ w ciągu dziesięciu minut wypada pewna ilość, obliczał, ile granatów można przenieść w 12 godzinach i wyznaczał normę, nie biorąc pod uwagę odpoczynku, coraz większego zmęczenia pracownic i okoliczności, że w jego obecności praca odbywa się ze zdwojoną gorliwością, bo każda wiedziała, że za najmniejszy niewłaściwy ruch dostanie bykowcem w twarz. Bardzo ciężka praca przewyższająca siły kobiet zdrowych, nie mówiąc o chorych po tyfusie i zawsze głodnych! Po kilku godzinach tempo pracy słabło, kobiety mdlały. Zaczynano nas poganiać, nie pozwalano nawet chodzić do klozetu. Kobiety płakały, odbywały się dantejskie sceny. Błagały o udzielenie chwili wypoczynku, ale nadaremnie, gdyż nie było to zależne od pilnujących nas policjantów. Musieli oni wykonać rozkaz szefa. Gdy po 16-tu godzinach praca nie była gotowa, kończyłyśmy ją nazajutrz w niedzielę, chociaż niedziela miała być wolna (co trzecia niedziela miała być wolna).

Podczas gdy w lasach Skarżyska palono dziennie kilkanaście transportów ofiar, napływających z okolic, równocześnie w Skarżysku — mieście szedł film propagandowy, w którym niemcy starali się siebie „wybielić", zwalając całą winę na Polaków, którzy rzekomo mordowali Żydów, gdy oni, „dobroczyńcy" umieścili Żydów w obozie, dali im pracę i wzięli ich w opiekę przed Polakami.

Lb. 218.

MARIA SZECHTER

Pikryna działa. „Prasa"

Gdy weszłam na halę fabryczną, w pierwszej chwili chciałam zawrócić i uciec. Uderzył mnie zaduch i gorycz zaczęła

wsączać się do nosa i gardła, krztusiłam się i kaszlałam bezustannie. Łzy ciekły mi z oczu. Zdawało mi się, że ani minuty nie wytrzymam, ale musiałam usiąść do stołu i zacząć pracować. Smrodliwy odór parafiny dusił i wgryzał się w płuca, gorące kostki wychodzące z kotła parzyły dłonie. Byłam śpiąca i głodna, a pracować trzeba było w szybkim tempie, bo obowiązywała norma. Co chwilę przywoływał mnie do porządku głos *Vorarbeiterki*, która ciągle krzyczała na mnie i naganiała do pracy. Siedziałam w milczeniu smutna i osowiała.

Przyjrzałam się moim koleżankom. Przy świetle elektrycznym nie znać było ich żółtości, wyglądały jak zwykli ludzie, potem zaczęły śpiewać smutne obozowe piosenki. Wkońcu norma była gotowa. Pędem pobiegłyśmy do *Waschraumu*, zrzuciłam szybko moje przesiąknięte żółtym proszkiem ubranie i zaczęłam z niesamowitą siłą szorować ciało, niczym podłogę. Chciałam za wszelką cenę zedrzeć ze siebie ślady żółtości. Byłam przekonana, że mi się to udało. Przeglądnęłam się w lusterku: elektryczne światło nie zdradzało niczego. Zadowolona ze siebie wybiegłam naprzeciw siostrze wracającej z innej hali. „No, jak ci tam poszło?“ — już z daleka wołałam zaciekawiona. „Wyjątkowo dobrze“ — cieszyła się siostra. „Dostałam najlżejszą pracę, jestem ważniczką i — wyobraź sobie — ważę biały proszek, nie żółty. Nie będę w ogóle żółta!“ — krzyczała uradowana. „Ta-ak? Ja pewnie też. Prawda, że nie jestem żółta?“ Siostra przyjrzała mi się uważnie. „Nie, nic nie poznać, chodź prędko na zbiórkę. Wracamy już“. Przed wejściem do baraku pomimo wielkiego znużenia wstąpiłam jeszcze do *Waschraumu*. Było tu zimno, ciemno i pusto. Przez powybijane okna wpadał listopadowy przenikliwy wiatr. Ale nie zrażałam się niczym. Rozebrałam się do naga i zaczęłam ponowne mycie. W pierwszej chwili myślałam, że nogi przymarzną mi do podłogi i skóra pokryje się lodową powłoką, ale zaciskałam zęby w twardym postanowieniu, że muszę za wszelką cenę być biała. Wreszcie trzęsąc się z zimna, wślizgnęłam się do baraku i przytuliłam się do śpiącej już siostry, aby się przy niej trochę zagrzać.

Rano grupy zbierały się do pracy. Ruch w baraku i mnie też obudził. Poczułam gorycz w ustach i pragnienie. Pobiegłam

do *Waschraumu* po wodę. Po drodze spotykałam znajomych idących do pracy. Pozdrawiałam ich, jak zwykle, serdeczną życzliwością, ale nikt mi na słowa powitania nie odpowiadał, patrzyli na mnie dziwnie, z odrazą i przerażeniem w oczach, przechodzili milcząc, wielu odwracało głowę. „Co to jest" — pomyślałam sobie, przyśpieszyłam kroku, a spotykając się ciągle z obojętnymi, niechętnymi spojrzeniami, zaczęłam przerażona biec przed siebie, wpadłam do baraku i wyrwałam lustro pierwszej stojącej przy drzwiach dziewczynie. Przejrzałam się w lustrze i— zdrętwiałam... Pożółkła, postarzała o 10 lat moja własna twarz...

Jasne blond włosy pomimo szczelnego owinięcia chusteczką były zielonkawo-żółte, ostre żółte plamy występowały koło oczu, nosa, ust. Spojrzałam po sobie, paznokcie i dłonie miałam czerwone, ciało było żółte, płaszcz żółty i buty też żółte, byłam żółta calutka, żółta od korzonków włosów po czubki trzewików i to już po jednej nocy. Powoli weszłam na pryczę. W tej chwili obudziła się Hela. „Idziesz dopiero spać? Już późno". Szybko szarpnęłam koc i zakryłam się niemal po głowę, aby mnie siostra nie widziała. „Nie, nie wstanę przez cały dzień. Nie mam po co. Byłam już w *Waschraumie*. Nikt mnie już nie zna, nie mam znajomych, ci ludzie nawet litości w spojrzeniu dla mnie nie mają. Będę wychodzić tylko w nocy do pracy, a cały dzień nikomu się nie pokażę. Jestem żółta, przeklęta, zadżumiona"...

Idziemy wieczorem grupą do fabryki, w tym tygodniu zaczynamy nocną szychtę. Kto wie, jak to będzie, czy dostateczna ilość mężczyzn przyjdzie do pracy, czy nie padną z głodu i wycieńczenia przed barakiem, albo zasną na pożółkłej pryczy i więcej nie wstaną. A może ktoś dostał zatrucia krwi od pikryny i zesztywniała mu noga czy ręka tak, że ruszać nimi nie może? Takie wypadki są przecież na porządku dziennym. Faktem jest, że liczba mężczyzn pracujących na hali 13-tej zastraszająco maleje, a kobiety musiały ich zastąpić przy pracy, dlatego najgorsze są te nocne szychty. Dziewczęta idą powoli, w milczeniu, przygnębione i każda myśli o tym samym: kogo majster pośle dzisiaj na prasę?

Budynek fabryczny, zbiórka czwórkami, jak zwykle, przed

bramą. Naprzeciw wychodzi majster niemiecki, liczy... Co? Znowu brak mężczyzn? — ryczy wściekle do drżącego ze strachu policjanta. Zapowiadam ostatni raz: jeśli jutro wszyscy chorzy nie przyjdą do pracy, poślę kobiety do pras pikrynowych.— Przechodzi w stronę dziewcząt. W szeregach panuje grobowe milczenie. Niemiec stoi przed stłoczoną grupką, pożółkłych, wynędzniałych stworzeń. Jest wysoki, taki ogromnie wysoki wobec kurczących się ze strachu pobladłych kobiet, jego podniesione żołnierskie ciało czyni go jeszcze wyższym, słońce odbija się tysiącem promieni w oznace na czapce, przegląda się w błyszczących cholewach, majster wydaje się w tych blaskach jakimś potężnym władcą, panem dzierżącym w swych rękach nasze życie. Obojętnie przesuwa zimnym wzrokiem po każdej twarzy, która pod jego spojrzeniem natychmiast blednie. Jakby się chciał nacieszyć naszym przestrachem. Cisza jest taka, że słychać chyba oszalały rytm bijących nieszczęśliwych serc, które czekają na wyrok. I nagle dolatuje do mnie głos policjanta: Ty idziesz dzisiaj na prasę. — Wychodzę powoli z szeregu, w ostatniej chwili usłyszałam westchnienie ulgi pozostałych koleżanek. Nogi opuchłe jeszcze po tyfusie dziwnie uginają się pode mną. Powoli przechodzę koło majstra i przyłączam się do grupy praserów, wchodzę na salę, obsadzamy salę we czwórkę: Ja jedna i trzech praserów, siadam na wysokim stołku na miejscu wsypaczy. — Proszę, niech pani wsypie trociny do otworu, zamknie przyrząd korkiem i popchnie go do mnie. Co, pani pierwszy raz pracuje na prasie? Och, to okropne. Niechże się pani spieszy, bo musimy zrobić normę. Norma musi być, zrozumiano? Choćby ci wszystkie żyły nabrzmiały, jak powrozy, a serce łomotało oszalałym pulsem, norma musi być, m-u-si! Tamci zrobili już pół skrzynki, a my dopiero zaczynamy. Prędzej, prędzej na miłość boską! Cała zamieniam się w automat, trzymam nerwy na wodzy, nie istnieje dla mnie nic, tylko otwór przyrządu i kupki z trotylem, które trzeba wsypywać i wsypywać bez przerwy. Ciągle dolatują do mnie okrzyki towarzyszy: prędzej, prędzej sypać! Ręka, trotyl, otwór, przyrząd, wsypywać, zamykać, popychać, coraz prędzej, jeszcze prędzej! Przyrządy migają mi przed oczyma z błyskawiczną szybkością, ogłusza mnie gwizd stali i stukot

prasy. Pył unoszący się z sypanego trotylu wgryza mi się w oczy, zapycha nos, spływa białymi sznureczkami wraz z potem do ust. Łykam pospiesznie jego gorycz, bo nie mam czasu obetrzeć ręką zroszonego czoła, nie mogę przerwać na sekundę pracy, ni podnieść oczu, gdyż przyrządy popychane silnymi ramionami mężczyzn przylatują ku mnie bezustannie. Prędzej! — wrzeszczą do mnie naprzemian zdenerwowani robotnicy. Tamte prasy robią już czwartą skrzynkę, a my jeszcze dwóch nie mamy gotowych! — Nie odpowiadam nic, bo słowa moje byłyby samą goryczą, którą wchłaniam bez przerwy, bo boję się spojrzeć na nich; lepiej nie patrz, nie podnoś wzroku, gdyż zobaczysz wlepione w siebie trzy pary oczu o tak wściekłym wyrazie, że zadrżysz cała. Nie są to bowiem oczy głodnych, ani chorych, ale obłędne przerażeniem oczy tych, których norma pogania, biczuje. Nie ujrzysz w nich nic oprócz potwornego strachu, oprócz jednego zwierzęcego pragnienia, aby wykonać normę. A norma wszechwładna, potężna, rozsiadła się w hali i króluje nad prasami. Śmieje się zjadliwie z praserów, w gwiździe przeraźliwym stalowych przyrządów, chichoce z ich przestrachu, szczerząc jedenaście szczerbatych zębów. Zęby ma z jedenastu kostek trotylowych, te zaś oznaczają jedenaście skrzynek, a każda skrzynka ma sto pięćdziesiąt kostek. I to wszystko trzeba wykonać przez jedną noc! — Niech pani prędzej sypie, bo nie wypełnimy normy! — krzyczy praser. Boję się ich, boję! To nie są towarzysze pracy, lecz zwyrodniałe bestie. Jeśli nie nadążę im w tempie, rzucą mi 25-kilogramowy przyrząd na nogę, tak że stanę się kaleką na zawsze, albo ubiją mi palce żelaznym korkiem, aż zawyję z bólu i krew tryśnie spod paznokci. Czuję w pewnym momencie, że tracę siły. Wszystko zaczyna mi się mącić w oczach. Nie mogę trafić z trotylem do przyrządu, wysypuję proszek na prasę, zapominam oczyścić korek. Ręce mi się tak trzęsą, że nie jestem w stanie popchnąć narzędzia i przewracam je na stół. Towarzysze przyglądają mi się spod oka. O, mruczy jeden — ta już skończona. Ona dłużej nie pociągnie. — Co pani robi? — ryczy wściekle z naprzeciwka praser: czemu pani nie czyści korka? Przecież to może spowodować wybuch i posądzą panią o sabotaż. Wie pani co to znaczy? Jeśli w najlepszym wypadku nie

zastrzelą *Werkschutze* w lesie, to majster skopie żebra i głowę ciężkimi, żołnierskimi butami, skarze na głodówkę, wsadzi do bunkru, nawet tego małego kawałka kaszanki, co przydzielają nam raz na tydzień, pani nie da! — No, niechże pani uważa — odzywa się drugi robotnik, patrząc na moją pobladłą twarz i obłąkane oczy. Jeszcze tylko pół godziny do przerwy. Gdyby pani pracowała do przerwy, zdążylibyśmy między jedną a drugą skrzynką doskoczyć pędem do drzwi i schwytać w zagorzałe płuca choć jeden haust świeżego powietrza! Gong. Przerwa. Łykam pospiesznie z poczerniałej menażki trochę zimnej kwaśnej zupy. Moja krtań jest niczym rurka napełniona goryczą. Zjadam tę gorycz razem z kolacją, a potem wychodzę przed halę i nagle wybucham złym, zjadliwym śmiechem. Uderza mnie kontrast: płynie ku mnie z lasu letnia, rozgwieżdżona noc tysiącem woni, otula mrokiem, delikatnymi palcami przymyka do snu zmęczone powieki — a za nocą rażąco oświetlone elektrycznością hale fabryczne, huk i jazgot nieprzerwany metalu, zaduch, gryzący kurz i białe od trotylowego pyłu chwiejące się szkielety ludzkie, pchające bez przerwy ciężkie przyrządy pras.

Ale nie czas na refleksje. Już dzwonek wzywa do pracy. Siadam na swoim miejscu. Moi towarzysze wylizują dokładnie beczkę ze zupy. Uwaga — zbliża się ku mnie praser. Teraz pracujemy na trzy przyrządy, aby dogonić inne prasy. — Jak się pani pośpieszy, zdążymy się jeszcze wykąpać. Skupiam całą wolę. Prasa rusza. Przyrządy śmigają mi tylko przed oczyma. Ręce pracują jak doskonała maszyna. Robota przybiera mordercze tempo. Cisza wśród nas panuje kompletna, nerwy skoncentrowane są na obiegu przyrządów. Stukot metalu zlewa się w jeden nieprzerwany, ostry gwizd, który dźwięczy bez przerwy w uszach w jednym rytmie na cztery tempa: prędzej sypać, prędzej sypać, prę-ę... Skrzynka gotowa! — woła z uśmiechem praser. — Zrobiliśmy ją rekordowo szybko! Teraz możemy zwolnić tempo! Wszyscy są w lepszych humorach, bo norma niedługo będzie wypełniona. Niech pani nas zrozumie — wdaje się ze mną w rozmowę jeden z towarzyszy — pracowaliśmy jeszcze gorzej. Zeszłej zimy byłem w transporcie kolejowym, zupełnie nagi i bosy, bez koszuli, w podartych spodniach. Wyładowaliśmy 50-kilowe granaty. Ręce przymarzały nam do że-

laza. Skóra odpadała kawałami z dłoni. Otwarte rany bolały na mrozie. Musieliśmy się spieszyć, bo wagony odjeżdżały i niejeden raz pałki niemieckie znaczyły moje obnażone, zmarznięte ciało. Musiałem błagać o przydział do pras. Dzisiaj ta robota wydaje mi się słodka. — Milczę, bo cóż mogę odpowiedzieć? Czy istnieje głębsze dno zła, niż to, które tutaj przeżywamy? Praca powoli dobiega końca. Nareszcie ostatnia kostka! „Idź się pani ukąpać. My już sami oczyścimy narzędzia" — zwraca się do mnie praser z łaskawym uśmiechem. Odwzajemniam mu się i przez maskę trotylowego pyłu skrzywiam twarz w kurczowym grymasie. Teraz mu się dopiero przyglądam i w moim całonocnym tyranie dostrzegam człowieka. Jest to 17-letni chłopak. Twarz ma pożółkłą, obrzękłą z głodu. Z niej wyzierają ku mnie podkrążone sinymi dołami wielkie, dziecinne, a starcze oczy. Postać cała jest okropnie wychudzona, szkielet obciągnięty skórą, tylko do piszczeli ramion przyczepione są wielkie, niekształtne węzły muskułów. Nie wiem, skąd ten chłopiec bierze nadludzkie siły do tej ciężkiej pracy. Jest przecież głównym, odpowiedzialnym praserem.

Lb. 203.

HENRYK ZAJĄC

Podstęp

Z początku Żydzi nie pracowali w fabrykach, tylko przy budowie dróg, karczowaniu lasu i wyładowywaniu wagonów. Praca ponad siły pod knutem, codzień kilka wypadków śmierci, dziesięciu do piętnastu wracało zbitych, niezdolnych do pracy. Traktowanie tak sadystyczne, że więźniowie dawali sobie wstrzykiwać naftę, co wywoływało obrzęki, byleby dostać zwolnienie. Po kawę, którą wydawano o godz. 6-ej rano, szło się o godz. 3-ciej w nocy z Ukraińcami; po każdej takiej ekspedycji najmniej trzy trupy zostawały na śniegu. Kto miał porządne buty i ubranie był niepewny życia. Ukraińcy prowadzili za druty i strzelali. Meldowali, że zastrzelono ich w ucieczce. Sawczuk, Iwanienko, to niebywałe zbiry.

W końcu września był ogólny apel: Niemiec obchodzi

szeregi więźniów, pytając, kto chce jechać do domu. Ra dość nieopisana, wszyscy się zgłaszają, chcą uciec z tego piekła Ten odstawia zdrowych, wybrał 500 ludzi z *werku* C. Podstępem zwabiono 1.000 ludzi (500 z *werku* A i B) i zamknięto we fabryce. Dzień przed tym wydano nagły rozkaz zakratowania okien fabryki drutem kolczastym. Odstawieni usiłują za wszelką cenę dostać się na listę. Nazajutrz wyprowadzono więźniów po 100 i rozstrzelano.

Egzekucja odbywała się w ten sposób: wykopano olbrzymi dół koło strzelnicy, ofiary kładą się po kilkunastu, twarzami do ziemi, po kolei zastrzeleni, przysypani cienką warstwą ziemi, na trupy nowa partia ofiar i tak się to powtarza aż do zapełnienia dołu. Zdarzyło się, że w kilka godzin po egzekucji młoda dziewczyna postrzelona wygramoliła się z dołu i poszła w stronę *lagru*. Spotkał ją Ukrainiec i wydał w ręce władz.

Szef Inflind wizytuje barak, młoda kobieta usprawiedliwia się, płacze, pierwszy raz ma zwolnienie z pracy z powodu bólu głowy. Inflind uspokaja ją: „Moje dziecko, nie płacz, jutro będzie ci lepiej" i strzelił do niej z tyłu. **Lb. 218.**

ESTERA GOLD

Dno nędzy

Przyjechaliśmy w czerwcu 1942 r. Zaprowadzili nas do łaźni, wstydziłyśmy się rozebrać, bo obsługa była męska. Po kąpieli kazano nam się ustawić pod łaźnią. Stałyśmy tak kilka godzin w ulewny deszcz. Pierwsze wrażenie Skarżyska było straszne. Ludzie — kościotrupy w łachmanach, najczęściej okryci papierami: „Żydzi zlitujcie się, darujcie kawałek chleba, wy przychodzicie z domów, nie zaznaliście jeszcze nędzy, a my umieramy z głodu".

Codziennie po pracy wystawali pod łaźnią, oczekując transportów i żebrali o chleb. Przybyłych łudzono, że pozostaną tu tylko trzy miesiące i wrócą do rodzin. Istotnie rzadko się zdarzało, żeby ktoś żył dłużej, wycieńczony głodem i pracą nad siły, zresztą chorych i źle wyglądających przed przybyciem transportu wykończano.

Co kilka dni selekcje, najczęściej wśród mężczyzn. Gdy ktoś uciekł, padało ofiarą dziesięciu zazwyczaj gorzej wyglądających. Częste rewizje — jeden więzień schował fotografię dziecka, zbito go na śmierć.

Z głodu szerzyły się choroby, najstraszniejsza była epidemia tyfusu. Umarło 80% więźniów. Chorzy na tyfus nie szli do lekarza, bo bali się szpitala, w którym co tydzień odbywała się selekcja i z gorączką chodzili do pracy. Straszny był widok chorych rzucanych jak śmiecie na auta, wywożonych na strzelnicę, na *Werk* C. Słabsi, którzy nie mogli już iść do pracy, szli do szpitala skazani zgóry na śmierć.

Gdy szef Bartenschlaeger urządzał selekcję, opróżniał prawie cały szpital, wyciągał z szeregów źle wyglądających lub źle ubranych, znęcał się nad dziewczętami. Co jakiś czas wybierał najpiękniejsze, gwałcił je, zabijał sam, a potem kazał grzebać w lesie.

Tyfus, głód, selekcje dziesiątkowały nas do tego stopnia, że jeden więzień musiał obsłużyć sześć maszyn. Skończyła się epidemia tyfusu, znów czerwonka, młodzi zapadali na płuca, chorzy błagali, żeby ich zastrzelić. Nowy szef, garbus Kielemann pocieszał chorego: „Moje dziecko, ty jesteś tak młody, cały świat stoi przed tobą otworem", a potajemnie kazał o 12-ej w nocy wywlec chorych do lasu i własnoręcznie ich strzelał.

Chodziłyśmy w zimie w trepach, śnieg lepił się do podeszew i tworzył całe zwały. Padałyśmy po drodze; w ten sposób jedna dziewczyna złamała nogę i dwa miesiące leżała w szpitalu, wyleczona chodziła o kulach do dawnej pracy, bardzo ciężkiej. Pewnego razu przyszedł do fabryki Bartenschlaeger, zawołał kulawą dziewczynę i zapytał ją, czy chce iść do magazynu, bo tu dla niej za ciężko. Dziewczyna się ucieszyła. Na drugi dzień przyszedł z policjantem, zabrał ją do lasu i zastrzelił.

Byliśmy w łachmanach, owinięci w papiery powiązane sznurkami. Jeden z *lagrowców* zwrócił się do Bartenschlaegera z prośbą o ubranie. Bartenschlaeger stał właśnie z psem, odpowiedział *lagrowcowi*, zwracając się do psa: *Mensch, sag dem Hunde, dass keine Anzüge da sind* i pies rzucił się na ofiarę.

Kiedy w maju 1943 r. zwiększono fasunek na jedną czwartą

chleba, dla ciężej pracujących jedną czwartą kg kaszanki tygodniowo, niewiele to pomogło, bo mieliśmy tak zrujnowane żołądki, że nie mogliśmy trawić. Prawie wszyscy mężczyźni z dawniejszych transportów umarli. Ja żyję, mam lat 20, pozostałam sama jedna z całej rodziny, jestem ciężko chora w szpitalu (gruźlica) i napewno umrę, tylko mi żal, że niepotrzebnie tak długo się męczyłam.

Lb. 218.

JAN WEBER

Rodzina w Skarżysku

...Ciągle przychodziło gestapo i łapało ludzi do pracy do Skarżyska. Tatuś kilka razy się schował. Ale przychodziły wiadomości, że wysiedlają z wszystkich miast do Treblinki i że przychodzi już na nas kolej. Tam brano osobno mężczyzn, kobiety i dzieci, a my chcieliśmy zostać razem. Zgłosiliśmy się dobrowolnie do obozu w Skarżysku, bo myśleliśmy, że będziemy razem pracować, tatuś, mamusia, braciszek i ja.

W Skarżysku było okropnie. Wszyscy obdarci, w barakach bardzo brudno. Na drugi dzień przydzielono nas do pracy, dali kobiety osobno i mężczyzn osobno. Nie zostaliśmy więc razem. Mamusia dostała się na *Werk* B, brata i mnie nie chcieli wpuścić do *lagru,* ale podaliśmy, że jesteśmy starsi. Szef mówił, że nie nadajemy się do pracy, ale tatuś go uprosił i zatrzymał nas. My jako dzieci pracowaliśmy chętnie w pierwszych dniach — kopaliśmy doły. Po paru dniach kazano nam nosić duże cegły z jednego miejsca na drugie. Była zima, okropny mróz, my z bratem płakaliśmy. Tatuś poprosił kierownika polskiego i ten dał nam pracę w szatni, tam była lżejsza praca, zamiataliśmy, sprzątali, palili w piecu. Tatuś pracował dalej na dworze, mamusi nie widzieliśmy. Tatuś starał się, żeby mamusię przenieść na *Werk* A, ale niemcy powiedzieli, że go zastrzelą, o ile będzie dalej próbował. W 1942 roku tatuś zachorował na tyfus, a chorych wtedy strzelano, zbierano grupę i *SS* Bartenschlaeger zabierał na *Werk* C na strzelnicę i tam strzelał. Myśmy z bratem byli przy pracy, a tatusia zabrali. Wieczór poszliśmy po fasunek, żeby zanieść tatusiowi chleb, w magazynie powie-

dziano nam, że tatuś bierze chleb na rewirze. Poszliśmy do szpitala, tatusia nie było. Płakaliśmy, ale nam powiedzieli, że go tylko wywieźli do innego szpitala, na inny *Werk* i że wróci. Mamusia dowiedziała się na *Werku* B, że tatuś nie żyje. Pomyślała sobie, że niech się dzieje co chce, bo jej już nic nie zależało na życiu i bez przepustki postanowiła przyjść do nas. I raz w niedzielę zobaczyliśmy mamusię w łaźni, bo wolno było raz na kilka tygodni w niedzielę przychodzić do naszego *Werku*, żeby się wykąpać. Lb. 181.

HENRYK HOLLÄNDER

Masowe stracenia

Ewakuację obozu w Skarżysku-Kamiennej poprzedziła — jak zwykle — selekcja. W niedzielę w południe dnia 29 lipca 1944 r. zwołany został ogólny apel. Szef obozu wachmistrz *Werkschutzu* garbus Kielemann, który na sumieniu miał już setki istnień żydowskich, szczególnie chorych, sam dokonywał selekcji. Wszyscy starsi, słabi lub źle wyglądający odstawieni zostali na bok pod ochroną żandarmerii. Następnie poszedł szpital. Prawie wszyscy chorzy i rekonwalescenci, którzy na czas szpitala nie opuścili, przeznaczeni zostali na śmierć. Wszystkie grupy wracające z pracy poddane zostały selekcji. Ofiarą wyboru Kielemanna padło bardzo wielu młodych robotników. Po prostu byli niskiego wzrostu, niegoleni lub zabrudzeni przy pracy. Na samym *Werku* „A" zostało w tym dniu przeznaczonych na śmierć około 200 osób, na *Werku* „B" kilkanaście, a na *Werku* „C" ponad 300 osób. Zginęli przeważnie ludzie młodzi i zdrowi, na których miał oko ten lub inny majster lub szef obozu.

Przy akompaniamencie orkiestry grającej tuż na boisku ruszył orszak skazańców otoczony żandarmerią, uzbrojoną w karabiny maszynowe — na szosę, gdzie oczekiwały go auta ciężarowe. Tu załadowano przemocą nieszczęśliwych przy użyciu kolb i pałek i wywieziono na miejsce stracenia do lasku na *Werku* „C". Z aut słychać było straszne oskarżenia i przekleństwa rzucane przez skazańców oprawcom hitlerowskim. Lb. 173.

PARSCHNITZ

SALA LUFTGLAS

Dźwiganie ciężarów i biały głód

Pracę miałyśmy w Trautenau, gdzie były przędzalnie. Trzeba było dźwigać bale, nieraz musiała jedna osoba dźwigać po 80 kg. O ile która z nas nie mogła udźwignąć, dozorca bił ją. Pracowałyśmy głównie przy łamaniu lnu w dużych izbach, otwartych na oścież na dziedziniec tak, że zimą miałyśmy całkiem odmrożone ręce i nogi. Ze ścian ciekła woda. Praca musiała iść szybko, jedna furmanka czekała na drugą. Gdyśmy szły za potrzebą, dozorca patrzał na zegarek. Gdyśmy wracały do obozu po pracy przemarznięte, kazał nam dozorca bez chwili wytchnienia zamiatać podwórze i wybijać ścieżki w śniegu. Raz musiałyśmy w największym śniegu wytyczać drogi przez pół dnia. W jednej sali był kaloryfer. Gdy któraś z nas chciała na chwilę choćby zbliżyć ręce do kaloryferu, dozorca bił ją i kopał. Gdy do ładowania brakło mężczyzn, brał dziewczęta i po trzy a nawet dwie musiały ciągnąć potem wozy przez całe rozległe podwórze, albo do windy. Raz musiałam sama ciągnąć taki wóz. Musiałyśmy nosić dwie paczki po 25 kg, a kiedy nam wypadały z rąk, przywiązywano paczki do rąk i tak kazano wnosić na piętro. Gdy jedna z nas zachorowała i nie mogła ich dźwigać, zbił ją i kopał. Raz w gorączce musiałam dźwigać ciężkie bale cały dzień. Przy tej pracy byłam 9 miesięcy. W samym obozie byłam dwa i pół lata. Było nas tam pod koniec 1.300 dziewcząt.

Podczas odpluskwiania obozu wyrzucono nas do szopy. W jednej szopie umieściło się nas 350 dziewcząt. Nie wolno nam było nic zabrać ze sobą prócz ręcznika. Deszcz padał na nas z dachu, cierpiałyśmy okropny głód. Pod koniec dostawałyśmy raz dziennie trochę wodnistej zupy i trzy kartofle. Razu pewnego przyszło 6-ciu *SS-manów* i lekarz, kazali się nam rozebrać do naga i obracać się wkoło. Jeżeli która była bardzo chuda, wydalali ją, reszta dostała numerki. Tamte dziewczęta były przekonane, że pójdą z transportem przeznaczonym na

śmierć, ale po dwóch tygodniach dostały podwójne porcje jedzenia i numerki.

Raz kazano mi dźwigać pełny kosz z odpadkami po drabinie, wrzucać te odpadki na wóz i deptać. Kosz był tak ciężki, że o mało nie spadłam z drabiny..

Gdy której z nas udało się wydostać skądś kawałek chleba lub kawałek ogórka, chowała to, by *lagerführerka* nie zauważyła. Gdy zobaczyła choć kawałek suchego chleba odmiennego niż obozowy, karała komórką, gdzie przebywało się bez jedzenia przez 24 godzin lub dłużej. Miesiąc przed końcem wojny urządzono dezynfekcję, zabrano nam całą odzież i musiałyśmy chodzić przez cały dzień nago. Jednej więźniarce, która ukradła w kuchni kawałek karpiela, obcięto włosy i ogolono głowę.

W lutym 1945 r. nastąpiła ewakuacja mężczyzn. Stali dzień, czasem dobę, czekając na swą kolej na mrozie. Jedna z dziewcząt podeszła do okna, bo słychać było jęki stojących mężczyzn. Wtedy strażnik strzelił do niej w głowę, że odrazu mózg wytrysnął.

Lb. 298.

BERGEN-BELSEN

PINKAS FAST

Ludożerstwo

Dnia 10 marca 1945 r. przybyłem do Bergen-Belsen. Gdy wchodziliśmy do bloku, czułem, że stąpam po ciałach. Na przestrzeni 10×10 m (zgórą) stłoczono około 700 osób. W takich warunkach co noc było 50—60 uduszonych. O tym, by się położyć, nie było mowy. Potrzeby naturalne z braku innych możliwości załatwiano do menażek, które potem odrzucano od siebie tak, że można było niespodzianie dostać w głowę takim ładunkiem. Przy apelu było raz 30 trupów. Zdarzały się wypadki kanibalizmu — taki głód panował. Sam widziałem trupy z wyciętymi kawałami mięsa. Przez trzy tygodnie przed przybyciem Anglików nie dostawaliśmy chleba w ogóle, co najwyżej trochę zupy.

Były takie ilości trupów, że niesposób było wywieźć je taczkami i autami. Przed wszystkimi blokami leżały szeregi ciał. Więźniom zakładano na przeguby rąk paski; całe kolumny ludzi ciągnęły te trupy do krematorium. Był to niesamowity widok.

Przez cały czas zmieniłem koszulę tylko jeden raz, gdy stwierdziłem, że koszuli nie widać wprost spod warstwy wszy.

Z całego mojego transportu ja jeden pozostałem przy życiu.

Lb. 269.

GUNDELSDORF

MARIA PURETZ

Praca kobiet ponad siły

Dnia 11 września 1944 przybyłyśmy po trzydniowej podróży głodne i wyczerpane do Gundelsdorfu. Tam zaprzągnięto wszystkie kobiety odrazu bez wypoczynku do pracy. Polegała ona na przenoszeniu torów kolejowych i słupów telegraficznych, przy czym cztery kobiety musiały przenosić słup. Praca ta trwała cztery godziny, po czym dano im po pół litra zupy bez chleba i umieszczono w barakach zupełnie pustych, z odrobiną słomy na podłodze. Między belkami były tak szerokie szczeliny, że można było przez nie przejść na dwór. Warunki higieniczne były okropne. Z początku pozwolono przynosić wodę z odległości 300 m.

Praca była nie do zniesienia. Dźwigałyśmy cały czas ciężary ponad siły na błocie. Podczas mrozów za kradzież kilku kawałków drzewa na opał bito niemiłosiernie. Za kradzież kilku ziemniaków nie tylko bito, ale golono przez środek głowy włosy. Wszystkie kobiety miały odmrożone ręce i nogi.

Lekarka chciała często zwalniać ciężko chore kobiety od pracy, ale kilkakrotnie za przedstawienie do zwolnienia była sama wyznaczona za karę do ciężkiej pracy.

Podoficer Willi San, malarz pokojowy, zwyrodnialec, jako *Lagerführer* znęcał się w okrutny sposób nad kobietami. Po ciężkiej pracy kazał im kłaść się na śniegu, robić w szybkim

tempie przysiady i biec dookoła baraków 20 razy. W pewnych miejscach trzeba było skakać, kłaść się w śnieg, a kiedy przebiegały koło niego bił niemiłosiernie. W listopadzie przyłączono do tej placówki kilkudziesięciu mężczyzn Żydów z obozu Flossenburg. W ciągu dwóch tygodni umarło siedmiu z głodu i wycieńczenia, niektórych wykończono biciem. Najwięcej bili *Hauptman* Fischer, podoficer Malik i San. Ci kopaniem i biciem wykończali ludzi, a potem żądali od lekarki, by stwierdziła przed komisją, że umarli na udar serca. Gdy odmówiła, grozili jej piecem. W takich warunkach przeważna część więźniów poumierała. Kobiety były odporniejsze, ale snuły się jak cienie i zataczały się z osłabienia. Wysiedlono nas do Ravensbrück. W czasie tej podróży byłyśmy bez jedzenia i bez wody. Toteż na skutek tej podróży i wyczerpania pobytem w Gundelsdorf przeszło połowa poumierała.

Lb. 163.

BEŁZEC

RUDOLF REDER

Komory gazowe

Dnia 16 sierpnia 1942 r. we Lwowie zostałem zabrany w czasie akcji do obozu Janowskiego, a na drugi dzień załadowano mnie na dworcu Kleparów do wagonu. Wiedziałem, że jest to transport śmierci. Transport miał 50 wagonów, w każdym wagonie było 100 osób. Pociąg wiózł około 5000 ludzi, kobiet i dzieci. Był pod eskortą gestapo. Wagony ciężarowe kryte, zaplombowane, okienka zakratowane. Wszyscy w wagonach wiedzieli, że jadą do Bełżca na śmierć w komorze gazowej. Podróż trwała 7 godzin, koszmarna, rozpaczliwa i beznadziejna. Pociąg zajechał na stację Bełżec, wąskotorową bocznicą wjechał pod obóz.

Obóz położony był w młodym lesie szpilkowym, wyciętym na przestrzeni trzech km wszerz i wzdłuż w piaszczystym terenie. Z daleka był niewidoczny, ponieważ wycięte drzewa przymocowane do rosnących drzew tworzyły nieprze-

puszczającą światło gęstwinę i zakrywały mieszczące się tam baraki i komorę śmierci. Do niskich drzew były umocowane górą ścięte drzewa, by uzyskać większą jeszcze niewidoczność. Wagony wjeżdżały na dziedziniec obozu, bocznica miała 200 do 300 m. Obóz otoczony był drutem kolczastym, a od strony wewnętrznej druciane siatki ułożone były stosami tak, że nie można było po nich chodzić, by nie zaplątać się w siatkach. Wysoka wieża na środku dziedzińca z wartownikiem, karabinem maszynowym i reflektorami. Wieżyczek naokoło nie było. Straż pełnili *askarzy*. Obok były dwa duże baraki, drewniane, parterowe, miały małe okienka. W każdym baraku mieszkało 250 ludzi, przeznaczonych dla obsługi, którzy spali na pryczach, na gołych deskach.

Po wyładowaniu kazano wszystkim razem mężczyznom i kobietom rozebrać się do naga. Na dziedzińcu powiedziano nam, że pójdziemy do łaźni, a później do robót. Przez chwilę ludzie się cieszyli, że chodzi tu o pracę. Dziesięciu Żydów z obsługi przeszukiwało ubrania, wypruwano złoto i pieniądze, ubrania szły do magazynu, a kosztowności sortowano i zanoszono do biura obozu.

Budynek, w którym mieściły się komory gazowe, był to biały, parterowy domek. Pośrodku prowadził korytarz, w którym na lewo znajdowały się trzy komory, na prawo również trzy komory. Budynek był betonowy, bez okien, dach kryty był papą, wysoki na trzy i pół metra.

Kobietom na dziedzińcu ścinano włosy. Robili to Żydzi i żydowscy fryzjerzy. Kobiety siedziały na taboretach już nagie i po kolei były strzyżone. Tymczasem bito nahajami po głowie i twarzy. Do „łaźni" pędzono ludzi masą, już bez porządku, bez liczenia, jak bydło do rzeźni. W korytarzu ludzie zrozumieli, że idą na śmierć, komory były otwarte, drzwi do nich rozsunięte, ciemno. Kto nie chciał wejść, tego bagnetem *askarzy* wpychali. Wpychano ludzi do komory stojąco, gęsto tak, że ledwo można było drzwi zasunąć. W jednej komorze mieściło się około 750 osób. Teraz dopiero rozległy się jęki, krzyki i rozpaczliwy skowyt ludzi.

Gazowanie trwało 20 minut. Gaz wytwarzała maszyna popędzana benzyną, obsługiwana przez dwu maszynistów *aska-*

rów, umieszczona w komorze na końcu korytarza. Z tej komórki szedł gaz rurami do komór. Czy maszyna wytwarzała gaz lub zgęszczone powietrze, nie wiem. Trucie trwało 20 minut. Trupy wyrzucano po otwarciu drzwi zewnętrznych, zakładano im paski rzemienne na ręce i ciągnięto. Za budynkiem utworzono wał wysoki na 2 metry, z tego wału na paskach ciągnięto trupy do grobów oddalonych 200—300 kroków. Po drodze od budynku do grobów dentyści wybrani spośród wywiezionych w liczbie 10-ciu, otwierali trupom usta, wyrywali zęby, potem złoto przetapiali w sztaby, które szły do komendantury obozu. Ludzie z zewnątrz, idąc do budynku po schodach, nie widzieli, co się z boków budynku działo, tj. trupów i grobów, bo gęsta zieleń zasłaniała wszystko.

Transporty liczyły po 50 wagonów, było ich po trzy do cztery dziennie, tj. 15—20 tysięcy osób. Z każdego transportu zaraz po przyjeździe wybierano fachowców: stolarzy, ślusarzy, szewców, krawców. Zgłosiłem się jako maszynista-monter. Przydzielono mnie do maszyny wyciągającej piasek z dołów, przeznaczonych na groby. Obsługiwało ją dwu ludzi. Praca trwała od 6-tej rano do zmroku. Każdy grób ma 100 m długości, 25 m szerokości, 15 m głębokości. Jeden grób mieścił około 100.000 ciał. W listopadzie 1942 r. było 30 grobów, tj. 3,000.000 trupów. Trupy rzucano bez porządku,. Na drugi dzień napływała na brzegi grobów czarna krew. Trupy leżały 1 m ponad poziomem ziemi. Groby oblewano gaszonym wapnem, potem zasypywano piaskiem.

Ludzi do obsługi obozu było 500. Codziennie ubywało z nich 30—40. Pracowników słabych ograbiali niemcy, wywoływali w południe, pędzili na grób i strzelali. Z nowych transportów uzupełniali liczbę do 500.

Na czele obozu stał *Stabsscharführer* Fritz Irrmann z Sudetów, *Hauptscharführer* Schwarz z Reichu, *Oberscharführer* Feix z Reichu, *Volksdeutsch* Hans Schmidt i *Volksdeutsch* Schneider obaj z Rosji, razem pięciu *SS*- bandytów.

Pewnego razu w listopadzie było dużo transportów i 500 ludzi z obsługi nie mogło nadążyć w robocie, *SS* wybrali już rozebranych do naga i przeznaczonych do gazu 100 ludzi. Cały

dzień pracowali w zimie nago i bez jedzenia. Wieczorem zapędził ich Schmidt na grób i rozstrzelał. Zabrakło mu kul dla 20 osób, więc wziął styl dżagana i uderzeniem w głowę zabijał. Gdy jedno uderzenie nie wystarczało, uderzał jeszcze raz.

O 4-ej rano robotnicy opuszczali barak. Pod okienkiem kuchni dostawało się herbatę i 20 dkg chleba. Ludzie ustawiali się na dziedzińcu. Uczono ich śpiewać niemieckie pieśni, bez wyboru treściowego. *SS* Feix kontrolował, czy wszyscy śpiewają. Specjalnie lubił melodię „Góralu, czy ci nie żal". Orkiestra była cały dzień na dziedzińcu i przygrywała.

Kontaktu ze światem nie było. Chłopi wożący kartofle do obozu zostawiali je przed bramą, do obozu nikt nie wchodził.

Obóz i komory zaczęto budować z początkiem 1942 r., a działalność ich zaczęła się w kwietniu i maju 1942. W 1944 odkopali niemcy groby, polali benzyną i palili kości. Niedopalone resztki mielono na kompost.

Lb. 162.

GROSS-ROSEN

MAREK N.

Jeden dzień

Załadowano nas do bydlęcych wagonów. Okienka wagonów były tak gęsto obite drutem kolczastym, że nawet ręki nie można było wystawić. Przyjechaliśmy na małą stacyjkę w Gross-Rosen. Przyszli *SS-mani* z obozu i zaczęło się wyładowywanie wagonów. Nie obeszło się bez bicia. Musiano na łeb na szyję skakać z wagonu, a starszych ludzi, którzy nie mogli wyskoczyć tak szybko z wagonu, bito. Polacy, którzy pracowali przy wyładowaniu kamieni, wołali, byśmy dawali im chleb, ponieważ nam i tak wszystko zabiorą. Więc zaczęliśmy rzucać w ich kierunku chleb. Widząc to *SS-mani* śmiali się szyderczo i wykrzykiwali: „Dziś macie dużo chleba, ale jutro będziecie zdychać bez niego".

Droga była bardzo uciążliwa. *SS-mani* pędzili nas i tu-

many kurzu zapierały oddech. Na przedzie szło 700 ludzi przeznaczonych na transport do Bruenlitz. Ludzie usiłowali dostać się do przedniej grupy, tratowano się, każdy chciał do Bruenlitz. W ten sposób ci, którzy byli na liście do Bruenlitz, dostali się do tyłu i już nie mogli się dostać do swojej grupy. *SS-mani* bili niemiłosiernie po głowach.

Przyszliśmy do obozu, weszliśmy na *„apelplac"*. *Lagerältester* kazał nam rozebrać się. Każdy musiał podchodzić pojedynczo nagi. *Lagerältester*, który przeprowadzał rewizję cielesną, patrzał do ust (kazał podnieść język), do uszu, między palce u rąk i nóg i w kiszkę stolcową. Po rewizji drżący z zimna ludzie musieli się ustawiać piątkami i znów grupami po 50 odprowadzano ich do łaźni. Tam zauważyliśmy, że *„Lagerältester"* zostawiał tylko okulary i niepodejrzane, gładkie pasy przepuklinowe. Do godz. 11-ej w nocy stalimy w łaźni szczękając zębami ze zimna. Nasi pogromcy umyślnie otworzyli drzwi z korytarza i zimne powietrze wpadało na nas. Jeden z bandytów trzymał w ręku wąż gumowy i odkręciwszy kurek puszczał na nas prąd lodowatej wody.

Kazano zwołać ze wszystkich bloków fryzjerów. Przyszło ich kilkunastu i zaczęło się strzyżenie i golenie, przy czym niemcy *„capomani"* łaźni urządzili nam mordobicie. Golono nam całe ciało tępymi brzytwami, co spowodowało potem krosty. Na ciele nie śmiał zostać ani jeden włosek. Golenie sprawiało niesamowity ból, ale musieliśmy zaciskać zęby, bo najmniejszy jęk kosztował tęgiego szturchańca. Fryzjerzy polscy spieszyli się, bo powiedziano im, że mają ogolić w ciągu nocy 1.200 ludzi.

Po ukończeniu golenia, ścisła kontrola. Oglądano nas ze wszystkich stron, czy nie zostały włosy. Kąpaliśmy się pod tuszem. Mokrych wygnano nas wśród bicia na pole. Ustawiono nas piątkami i musieliśmy *„im Laufschritt"* biegać po ciemnych ulicach obozu. Bieg ten trwał 15 minut, po czym wpuszczono nas do baraku, który był magazynem ubrań. Gęsiego podchodziło się do magazynierów, którzy rozdzielali „ubranie". Biada temu, co pisnął słowo. Ubranie moje składało się z czapki

kominiarki, nocnej koszuli bez guzików, małego sweterka damskiego, spodni pomalowanych czerwoną farbą i starych butów Jeden był zupełnie podarty, a drugi malutki damski bucik, nie chciał wejść na nogę (noszę 42 nr butów). Zapytałem magazyniera, czy nie mógłby mi wymienić choć jednego buta. W odpowiedzi dostałem straszliwe uderzenie gumą. Ledwie dowlokłem się do naszego baraku mieszkaniowego.

Łóżek ani pryczy nie było. Pierwsza grupa leżała już na ziemi. Ludzie byli stłoczeni jak śledzie w beczce, na szerokości pięciu mtr. leżało 35 osób. Spaliśmy bardzo krótko. Z niewyspania oczy piekły i kleiły się. Padła komenda blokowego *alles raus!* Pomocnicy jego zaczęli okładać ludzi, którzy, uciekając przed strasznymi cięgami, wcisnęli się do wąskiego wyjścia z boku. Jeden z niemców stanął przy wyjściu z gumą w ręku i co drugiego wylatującego człowieka uderzał z całych sił w głowę. Śmiał się przy tym.

Pierwszy dzień w Gross-Rosen. Ustawiliśmy się piątkami przed blokiem. Przy ustawianiu bito nas. Od uderzenia kijem bolały mnie plecy. Dobrze, że nie dostałem w głowę. U kolegów widziałem już potężne guzy i podbite oczy. Każdy wyglądał w kominiarce i w damskim sweterku jak pajac.

Zaczęto rozdawać śniadanie. Odbywać to się musiało w nadzwyczajnie szybkim tempie. Jeżeli ktoś źle postawił miskę na termosie, dostawał od *„Lagerälteste“* potężny policzek. Kto otrzymał zupę, musiał biegiem ustawić się w piątce i bez łyżki wypić zupę. Kto chciał załatwić potrzebę naturalną, musiał po wojskowemu prosić o pozwolenie wejścia do ubikacji. Niemiec zezwalał, ale wewnątrz ubikacji stał inny zbir, który pilnował mycia podłogi i gumą lub pałką wyganiał z ustępu.

Trzech odważnych chłopców próbowało iść do warsztatu szewskiego z prośbą o wymianę niewchodzących na nogi butów. Natknęli się na niemca, który kazał każdemu z osobna przechylić się ku przodowi i gumą wymierzał po 25 uderzeń. Zapłakani chłopcy wrócili do szeregu, ciągnąc za sobą buty, które mimo nadludzkich wysiłków nie chciały wejść na nogi.

Urządzono nam trzy godziny morderczych ćwiczeń, gdy

nagle rozległ się dźwięk dzwonu obozowego. Z bloku wyleciał *Lagerältester* i jego pomocnik i zaczęli nas wśród bicia zaganiać do bloku. Spędzono nas 700 do jednego pokoju i kazano usiąść na ziemi w rzędzie. Próbowaliśmy usiąść na ziemi, a nogi założyć każdy na ramiona siedzącego przed nim poprzednika. *Lagerältester* wyszukiwał z wielkiego stosu przy drzwiach stargane buty i rzucał je na głowy sprasowanych ludzi, przy czym wielu ludziom porozbijał głowy.

Straszna noc. Na niebie gromadziły się ciężkie chmury zapowiadające długo oczekiwany deszcz. Gorąco było nie do zniesienia. Było już ciemno. W pokoju, do którego spędzono 700 osób przeznaczonych do Bruenlitz, okna były zamknięte, a zaciemniające zasłony opuszczone. Do bloku weszli „*Lagerältester*" i jeden pisarz. Zaczęli powoli kontrolować według alfabetu listę do Bruenlitz. Wywołana osoba musiała podejść do *Lagerältestego*, podać głośno nazwisko i numer. Kontrolowany przechodził na drugą stronę pokoju. Niektórzy próbowali wejść do ubikacji, lecz zostali pobici i wygnani.

Męczarnie, które przechodziliśmy, są nie do opisania. Straszliwe gorąco. Wtem *Lagerältester* podszedł do pieca i wzniecił w nim ogień. Następnie zapowiedział, że kto spróbuje ugasić ogień lub podniesie story, będzie ukarany śmiercią. W piecu na dobre się rozpaliło i okropny żar bił od niego. Ludzie starając się odsunąć stamtąd, tłoczyli się i gnietli. *Lagerältester* oświadczył, że jeżeli nie będzie spokoju, każe nas obić do nieprzytomności. Cierpieliśmy okropnie. Pot lał się z nas strumieniami. Koszule były mokre jak wyjęte z wody. Zdejmowano je i wkładano nie wiedząc jak lepiej. Na polu dał się słyszeć szum. Pół życia każdy by oddał, by go wypuszczono na dwór. Znaleźli się śmiałkowie, którzy weszli do ubikacji, korzystając z chwilowej nieobecności *Lagerältestе* i zrobili mały otwór. Znalazłem się tam także. Kilkudziesięciu ludzi wdychało w siebie świeże powietrze. Trudno było oderwać się od okna i ustąpić miejsca drugiemu.

Noc ciągnęła się niemożliwie. W głowie mąciło się. Noc ta utkwiła mi w pamięci. Nareszcie dniało na dworze. Przy-

szedł blokowy, zrobił przegląd ogólny, zwracał uwagę, czy numer jest dokładnie przyszyty, czy pas przez środek głowy szeroki jest na trzy palce (t. zw. *„Lauspromenade"* albo *„Rollbahn"*), czy twarz jest ogolona, czy bluzka nie jest wpuszczona do spodni, co było wzbronione pod karą 25 batów.

Na rozkaz blokowego pomaszerowaliśmy na *apelplac*. Kierownik obozu wygłosił przemówienie: jeżeli ktoś z nas ma wartościowe rzeczy w jakiejś części ciała, niech dobrowolnie odda, bo będą kontrole i za znalezienie grozi więźniowi śmierć. Kto miał złotą koronę w zębach, musiał ją zarejestrować.

Na drogę dano nam maleńkie paczuszki. Były tam trzy kromki chleba. Kierownik obozu wyszedł na schodki i powiedział: *Ich moechte euch bei mir etwa zwei Wochen haben. Ihr haettet mehr Schläge als Fressen bekommen, dann aber haettet ihr pariert.* Poczym odszedł z *SS-manem*. Na plac przyszedł blokowy, trzymając w ręku kilka swetrów. Zapytał: *„Wer hat keinen Pulower?"*. Kilku wystawiło ręce, mieli oni zupełnie stargane swetry. Blokowy widząc, że mają takie dziury, każdemu wymierzył policzek. Wreszcie pomaszerowaliśmy ku wejściowej bramie. Na drodze stali *SS-mani*, którzy rozdzielali kopnięcia za nierówne chodzenie. Odliczono nas już po raz niewiadomo który i wyprowadzono pod bramę. Widzieliśmy jak wszyscy oficerowie *SS* trzymali się za boki ze śmiechu, widząc nas ubranych w sweterki damskie i kominiarki. Dano rozkaz do marszu. Z westchnieniem ulgi opuściliśmy ten obóz, kierując się ku dworcowi.

Lb. 216

SOBIBÓR

SALOMEA HANEL

Gazowanie. Bunt

W czerwcu 1942 r. w Ustrzykach Dolnych odbyła się potworna akcja. Zebrano wszystkich ludzi, połowę Żydów wystrzelano, druga połowa zdążyła ukryć się w lesie. Kilka mie-

sięcy później odbyła się druga, ostateczna akcja. Wybrano kilkuset ludzi, zaprowadzono nad wielki, głęboki dół i tam gestapowiec wygłosił przemówienie: „Widzicie, słońce świeci, świat jest piękny, a wy wszyscy za chwilę zginiecie". Jedno małe dziecko zmówiło za wszystkich modlitwę przedśmiertną „Wida".

Po egzekucji zabrano się do likwidacji reszty w ten sposób, że zawagonowano ludzi i skierowano pociąg do Sobiboru koło Włodawy, do obozu śmierci.

Potworna podróż trwała trzy dni i trzy noce. W wagonach ludzie wariowali. Było ciemno, duszno, ludzie modlili się o śmierć dla siebie, matki dla swoich dzieci. Kiedy jedno dziecko zastrzelono na jakiejś stacji, matki zazdrościły szczęśliwej, że jej dziecko znalazło lekką śmierć, kiedy inne czeka śmierć w komorze gazowej. Za grudkę śniegu płacono 200 zł.

Wkońcu odplombowano wagon. Ludzi przejmowali obozowcy, do których nie wolno było ani słowem odezwać się. Na migi kierowali oni dalej. Odebrano ludziom kosztowności, wszystko, co mieli przy sobie. Spośród 3000 wybrano 7 kobiet i 18 chłopców do pracy, resztę skierowano na śmierć.

Były baraki, na jednym napis „Kasa". Kobiety zapędzono „do kasy", golono im głowy, kazano rozbierać się do naga, następnie dostawały kartki do kąpieli. Powiedział im gestapowiec, że będą się wszystkie kąpały, bo są zawszone. Buciki i ubrania musiały poskładać i na to otrzymywały potwierdzenie odbioru. Był raz wypadek, że coś się zepsuło w komorze. Ludzie wypuszczeni biegali nago i krzyczeli w niebogłosy.

Niemcy truli ludzi chlorkiem. Wieczorem palono zwłoki. Ci, którzy w tym obozie pracowali, musieli przyjmować transporty defiladą i śpiewem. Ludzi idących nago na śmierć faszyści ukraińscy bili nahajkami. Przez jeden rok zakopywano zwłoki, a potem kości wykopano i spalono. Od 17 stycznia do 17 października 1943 r. pracowało 600 ludzi, w tym 120 kobiet.

Dzień rozpoczynał się o 5-ej apelem. Obliczano ilość obozowców, dwóch uciekło, 20-tu zastrzelono za nich, a pięciu zgłosiło się na ochotnika na śmierć, resztę wybrało gestapo.

Po apelu szedł każdy do pracy, do pralni, do szwalni. Byli tam stolarze, szewcy, którzy pracowali dla gestapowców i Ukraińców. Strzelano za zjedzenie kawałka masła. Gdy jeden *Scharführer* dał coś za dodatkową pracę, drugi za to samo strzelał. Na obiad była zupa nie do zjedzenia. Były także karne prace. Za leniwą pracę przeznaczano do bloku karnego. Musieliśmy ładować na torze kolejowym i wrzucać do kolejki ciężkie kamienie w biegu.

Trzy tygodnie przed powstaniem w Sobiborze zauważyliśmy, że obóz obstawiony jest wojskiem, równocześnie słyszeliśmy gęste strzały. Jakiś czas potem *Scharführer* zawiadomił nas na *apelplacu*, że rozstrzelano 160 młodych ludzi za próbę ucieczki. Wiedzieliśmy, że oznaczało to zlikwidowanie służby zajętej w krematorium, która już długo pełniła te funkcje.

Pewnego razu nadeszły do Sobiboru trzy wagony zaplombowane. Chłopcy, którzy te wagony odbierali, stwierdzili, że nie było tam ani jednego żywego człowieka. Wyładowano trupy, a wśród nich położnice z nieobciętymi pępowinami i niemowlętami, które się jeszcze ruszały.

Gestapowiec Gestringer zajęty przy duszeniu ludzi w komorze gazowej ogłaszał, że jedna szychta ludzi jest już uduszona i można już następną podać do gazu.

W tym okresie przychodziły coraz mniejsze transporty, przeważnie wyładowywano je, niektóre zaś zostawiano na dwa dni. Kazano ludziom pisać za granicę lub też do domów, że żyją lub są zdrowi, a nazajutrz ich gazowano. Żydzi obcokrajowcy przyjeżdżali w pociągach osobowych, ubrani normalnie i z bagażem, nieświadomi celu podróży, dopiero na miejscu rozpaczali, że nie skorzystali z możliwości ucieczki. Od czasu do czasu bywały próby buntu. Np. w czerwcu spalono grupę robotników składających się z Żydów holenderskich, którzy przygotowywali bunt, ale zostali zdradzeni.

Dopiero kiedy przybył transport Żydów rosyjskich, a między nimi Żyd Sabuda, przygotowano poważnie bunt. Zebrał on pięciu inteligentnych ludzi i podzielił między nich pracę przygotowawczą. Przede wszystkim należało zdobyć broń.

Udało się dziewczętom wykraść trochę broni z *Waffenkammer*. Wtedy Sabuda wybrał kierowników pracowni i kazał każdemu zgładzić jednego z szefów. 14 marca o godz. 3-ej po południu zaczęła się akcja. Każdy warsztat pracy miał wyznaczonego jednego z gestapowców, których zaproszono pod pozorem jakiegoś zamówienia. Każdy warsztat spełnił polecone mu zadanie i w każdym został zabity jeden gestapowiec. Przypadkowo z zewnątrz obozu wjechał jeden niemiec uzbrojony, wszedł do kancelarii i zastał tam dwóch zabitych gestapowców. Uciekł z krzykiem i wtedy zaczęła się strzelanina. Równocześnie przecięto druty i 150-u ludzi uciekło do lasu, reszta zginęła. Ja również uciekłam przez przecięte druty w toku walki, z kilku innymi dziewczętami. Żadnego z ludzi z Sobiboru więcej nie spotkałam. Słyszałam tylko przez całą noc okropną strzelaninę. Rano poszłam do wsi, a potem dzięki tylko mojemu „dobremu wyglądowi", docierałam coraz dalej, wreszcie dostałam się do Krakowa.

Lb. 30.

MAUTHAUSEN

JÓZEF SAKS

Głód i kanibalizm

Jechaliśmy z Płaszowa przez trzy dni i trzy noce w upale, bez wody, jeden na drugim. Gdy dojechaliśmy, wiele trupów wyniesiono z wagonów. Wtedy zrozumiałem, co to znaczy pragnienie. Potrafi ono zmusić człowieka do picia moczu. Przyjechaliśmy kompletnie wysuszeni, a jeszcze przez trzy dni trzymano nas w słońcu.

Potem nosiliśmy kamienie przez trzy dni, bici i strzelani, w kamieniołomie słynnym w hitlerowskiej Europie ze swoich 186 stopni, po których trzeba było przejść conajmniej siedem razy dziennie, a potem jeszcze daleko chodzić. Kamienie były ciężkie, słońce prażyło niemiłosiernie nasze ogolone głowy, a żwir ranił nieobute stopy. Tam nabawiłem się kataru ki-

szek, gdyż dorwaliśmy się zimnej, zielonej z długiego stania wody, którą piliśmy, nie zwracając uwagi na to, że biją nas po karkach, albo spychają w dół. Tam też zobaczyłem, jak w straszliwych mękach umiera się na skręt kiszek.

Biedacy prosili o śmierć. *SS-man* śmiał się i powiedział: *„Szkoda 18-tu fenigów na kulę dla was"*, a w kilka minut potem strzelał zdrowych ludzi. Po trzech dniach tej pracy wywieziono nas do *K. L.* Gusen. Pracowaliśmy ciężko po 12 godzin na dobę. Wstawaliśmy o 3.30 rano, nieraz do 10-ej w nocy byliśmy na nogach, przez cały dzień bici, przemoknięci i zmarznięci, wiecznie głodni, gryzieni przez wszy.

Po kopnięciu dostałem flegmonę na nodze i nazajutrz musiałem pójść do pracy. Z powrotem dowleczono mnie do obozu, gdzie zostałem pobity. Złamano na mnie wtedy kilka patyków. Był to, zdaje się, najgorszy dzień mojego życia.

1 grudnia 1944. W samym tylko cienkim, bawełnianym ubraniu więziennym, bez bielizny, butów i czapki szedłem w śniegu, smagany wiatrem. Noga napuchła jak bania. Dostałem temperatury, zmarzły mi palce u nóg. Wprowadzono mnie na blok, gdzie bez opatrunku i bez leczenia leżałem kilka dni. Dopiero po jakimś czasie dostałem się na rewir. W połowie stycznia 1945 r. rozpoczął się pierwszy okres głodowy. Przez 22 dni nie dostaliśmy ani kawałka chleba, tylko litr zupy wodnistej. Rewir zapełnił się. Już leżeliśmy po czterech w łóżku. Przychodziły do nas transporty Żydów z Oświęcimia, Gross-Rosen, Sachsenhausen i z innych obozów. Wtedy stworzono bloki śmierci dla Żydów, na które wpychano tylu ludzi, ilu przybywało. Rekordem była liczba 1470 i 75 zamarzniętych zanotowanych jednego dnia.

W tych warunkach personel aryjski nie chciał pracować, stworzono więc personel żydowski i zostałem pielęgniarzem. Oczywiście nie od leczenia, tylko żeby utrzymywać porządek, roznosić jedzenie i wynosić trupy. Żydzi leżeli po sześciu na jednym łóżku. Silniejszy dusił słabszego. Przychodzili do nas nie na leczenie, lecz po to, by umrzeć. Tylko dzięki temu, że w odpowiednim momencie zostałem sanitariuszem, przeżyłem

to wszystko, inaczej byłbym już dawno spalony w krematorium. Z początkiem kwietnia nastał drugi okres głodu, kiedy zjadano kał i zdarzyły się dwa wypadki kanibalizmu. 2000 naszych towarzyszy zagazowano i spalono jeszcze na tydzień przed wyzwoleniem.

Lb. 114.

MAJDANEK

ALA DYCHTWALD

Egzekucja

Po przyjeździe, w kąpieli, zabrano nam wszystko. Ubrano nas w bieliznę podartą i sukienkę oznaczoną numerami i inicjałami K. L. na plecach. Przed wyjściem z kąpieli była selekcja, odstawiono ludzi szczupłych, chorych, starszych i dzieci. Warunki higieniczne były bardzo marne, mycie było utrudnione, gdyż zamykano wodę. My, Żydówki, dostałyśmy pracę najcięższą. Część nosiła po 12 godzin dziennie pełne *tragi* z nawozem, goniona przy tym bez przerwy przez nadzorców, niemieckich więźniów tzw. *capomanów*, bita i poniewierana. Nie wolno nam było stanąć na kilka chwil odpoczynku. Podczas deszczu i zimna wciąż pracowano. Bito nas na każdym kroku.

Na początku naszego pobytu zdarzył się wypadek publicznej egzekucji: powieszenia młodej 26-letniej dziewczyny. Wraz ze swoją siostrą uciekła z Lublina z lotniska, gdzie pracowały. Siostra uciekła, ją złapali.

Był to piękny majowy poranek, tego dnia nikt nie poszedł do pracy. Na *apelplacu* w środku ustawiono narzędzie stracenia, przy którym stała już ofiara i kat. Myśmy były ustawione dookoła. Kat zadał nieszczęśliwej pytanie, czy powie, kto jej pomógł w ucieczce, wtedy będzie zwolniona. Odpowiedziała, że Żydówka nie wydaje tych, którzy ją chcieli ratować. „Spójrz — powiedział niemiec — wszyscy się z ciebie śmieją, ty taka młoda, możesz się uratować jednym słowem, a świat jest tak piękny". Odpowiedziała: „Dziś ty się śmiejesz, jutro ktoś inny z ciebie będzie się śmiał".

To były jej ostatnie słowa. Zginęła bez jęku.

Po kilku dniach mojego pobytu w obozie w ostatniej grupie zabranych z bunkrów warszawskich spotkałam mamusię, siostrę i brata. Brat chciał uciec i został zastrzelony. Na widok trupa mama dostała paraliżu serca i umarła. Siostra została w baraku dziecinnym. Pod koniec maja odbyły się trzy selekcje. Wybrano osoby niezbyt silne, źle wyglądające, starsze i wtrącono je do bloków dziecięcych. Po kilku dniach nadjechały samochody, które zabrały dzieci i wszystkich z dziecięcych bloków i zawiozły do krematorium. W ten sposób zostałam sama. Chciałam iść za siostrą, ale mnie strasznie pobito i pognano do ciężkiej pracy.

3 listopada 1943 r. 20.000 Żydów znajdujących się na terenie Lubelszczyzny, w Trawnikach, Poniatowie, Lublinie, Majdanku zostało w bestialski sposób pomordowanych. W dniu tym zostały też wymordowane kobiety, które były na lotnisku w Lublinie i jeńcy żydowscy. Mieli oni przygotowany tunel, przez który mieli ratować się ucieczką, ale tak nagle wszystko się stało, że nie było na nic czasu. Z tych 20.000 Żydów zostało tylko 312 kobiet i 150 mężczyzn. Byli to tzw. *Aktion-Juden* i mieli być po zakończeniu swej pracy wykończeni. Były wśród nich młode, piękne kobiety z całej Polski. Teraz ich chwile były policzone.

Lb. 115.

ESTERA GURFINKEL

Dzieci do pieca, matki do pracy

W Lublinie wysadzili nas z pociągu i zaczęli sortować na grupy. Fachowcy szli do pracy do Poniatowa i Trawnik, ale ja nie byłam fachowa i jeszcze miałam dwoje dzieci. Nigdzie mnie nie chcieli przyjąć, zostałam w największej grupie, tam gdzie były kobiety i dzieci. Myślałam, że tak będzie lepiej. Wpakowali nas z powrotem do pociągu. Nad wieczorem wysadzili, oddzielili mężczyzn od kobiet i pognali pieszo. Zrobiło

się ciemno, nie widziałam gdzie jesteśmy i dokąd idziemy. Po bokach szli niemcy, świecili latarkami elektrycznymi. Jedno dziecko prowadzę za rękę, drugie tak ciąży, że co chwila zdaje mi się, iż nie wytrzymam dłużej, usiądę tu z dziećmi i niech się dzieje co chce. Ale zaraz przypominam sobie, że mi nie wolno. Mam dwoje takich mądrych, kochanych dzieci, muszę je ratować.

W obozie w nocy spotkaliśmy znowu mężczyzn, zmieszaliśmy się razem. Kobiety szukały mężów, płakały i cieszyły się, że są znowu razem, teraz napewno na życie, że to obóz pracy. Ale to był Majdanek. Gdy się zrobiło rano, ujrzałam jakie moje dzieci zniszczone i brudne i płakałam nad nimi. Już byłam tak strasznie zmęczona, nie miałam sił walczyć o trochę wody, nie wiedziałam co się ze mną dzieje. Zaczęli znowu rozdzielać osobno młodych ludzi, osobno starych i dzieci. Nie miałam czasu pomyśleć, co się dzieje, a już byłam po stronie drugiej i już nas zagnali do łaźni.

Wtedy nie wierzyłam, że oni mordują dzieci. Wszystkie kobiety, tak samo jak ja, pocieszały się, że pewnie będziemy pracować, a dzieci będą osobno, ale dygotałam cała, ażeby zobaczyć, gdzie one są. Gdy wychodziliśmy z łaźni, stał gruby niemiec w cywilu i matki zaczęły wołać: — *gdzie są nasze dzieci?*

Niemiec uśmiechał się łagodnie i mówił:

— Nie bójcie się, dzieci są pod dobrą opieką, nic im nie grozi, mleko dostaną i wszystko, co im potrzebne.

My głupie uwierzyłyśmy w te słowa, ale w tym samym dniu, jak tylko poszłyśmy do pracy, do ogrodu, powiedzieli nam Polacy, którzy tam pracowali:

— Co, wy głupie kobiety przyjechałyście do Majdanka i nie wiecie, że tu są piece? Wszystkie dzieci i starzy już się usmażyli!

Nie umiem powiedzieć, co ja wtedy czułam, nie mam takich słów, jestem prosta kobieta. To ja te dzieci tak pielęgnowałam, tak się z nimi męczyłam i wierzyłam ciągle, że one mi się uratują. Płakałam i wyłam i wołałam do Boga, ale sama

byłam już taka skamieniała, zmęczona, nie mogłam ani myśleć, ani sił nie miałam, żeby sobie życie odebrać. Tak żyłam w gromadzie, jak to bydlę, byle dalej i dalej.

Pracowałam w *Scheisskomando Gärtnerei*. Wynosiliśmy w skrzyniach nawóz z klozetów na ogrody. Jaka to była praca! 12 godzin przy tych smrodach. Człowiek był już cały prześmierdły, aż się sam siebie brzydził.

Byłam w Majdanku 10 tygodni. Codziennie na apelu brali na gaz całkiem młode i zdrowe kobiety. Jak tylko która miała nogę zawiniętą, albo ze słońca spaloną, z tego robiły się pęcherze i rany. Albo jak która była już taka zmęczona, że nie mogła na apelu stać tyle godzin i usiadła na chwilę. Co dwa tygodnie były wielkie selekcje. Wtedy stał doktór *SS* z laseczką, kobiety przed nim maszerowały, a on sobie wybierał na śmierć. Nie takie co były chore, bo nie badał i wszystkie byłyśmy ubrane, tylko tak sobie, która mu się nie spodobała. Pokazywał laseczką: na prawo, na lewo i mówił tylko: *hier, hier*.

Po 10 tygodniach wyszły z Majdanka cztery transporty kobiet, po 750 każdy, do Oświęcimia...

Lb. 139.

TAMARA SZAPIRO

Samobójstwa. Selekcje

Transport warszawski wysłany z lotniska w Lublinie około 3-go maja 1943 r. liczył ponad 10.000 mężczyzn, kobiet i dzieci. Pędzono nas pieszo trzy km. Eskortujący nas faszyści ukraińscy bili i rabowali. Było dużo rannych z powstania w ghetcie i ci padali w drodze, a Ukraińcy ich dobijali. Byliśmy przekonani, że idziemy do krematorium, bo wiedzieliśmy, że tak jest w Majdanku, a jeńcy żydowscy na lotnisku żegnali nas i płakali. Droga trwała kilka godzin. O 7-ej wieczorem byliśmy na miejscu. Na placu węglowym cały transport spędził noc. W nocy było dużo samobójstw, przeważnie weronalem. Między innymi popełnił samobójstwo młody lekarz dr Swieca, którego ojca zastrzelono w drodze.

Rano dowiedzieliśmy się od ludzi z obozu, że pójdziemy do kąpieli i wszystko nam zabiorą. Ludzie darli pieniądze, wyrzucali kosztowności, by nie dać *SS-manom*. Wydzielono z transportu grupy po 100 osób, oddzielono kobiety od mężczyzn i poprowadzono do kąpieli. Przed wejściem do właściwej łaźni stałyśmy rozebrane, a grupa *SS-owców* przeprowadzała selekcję. Kobiety defilowały nago. Wedle uznania przez *SS* szły jedne na prawo do kąpieli, starsze, schorowane, słabo rozwinięte i kobiety z dziećmi, choć młode — na lewo. Wiedziałyśmy, że na lewo były komory gazowe.

Co parę dni selekcja na *apelplacu*. Przy selekcji kierowano się kaprysem. Szły na gaz starsze, słabe, tlenione, blondynki o aryjskim typie, a przede wszystkim kobiety piękne. Zostawały przeciętne, nie rzucające się w oczy. Kobiety były obojętne na śmierć, dużo było zadowolonych, że męka się kończy.

Lb. 203.

BUDZYŃ

JÓZEF ABZUG

Sadyzm. Tortury skazańców. „Czarni"

Do obozu w Budzyniu, położonym w „Copie", przybyłem z warszawskiego ghetta wraz z 800 więźniami. Wraz z innymi więźniami było nas razem około 2.500 osób, w tym około 500 kobiet. Więźniowie tego obozu pracowali w *Werku* Henkla (fabryka samolotów). Komendantem obozu był Feix, niemiec sudecki, o wybitnych cechach zbrodniczych, który w niezwykły sposób znęcał się nad więźniami.

Dla przykładu można przytoczyć następujący wypadek: W zimie 1942 r. około dziesięciu więźniów żydowskich zbiegło z obozu. Poszukiwania nie dały pełnego rezultatu. Złapano tylko trzech. Wszyscy trzej zostali przez Feixa skazani na śmierć, a wykonanie wyroku odbyło się wśród warunków, mrożących krew w żyłach. **Feix kazał schwytanych rozebrać do**

naga (temperatura minus 20 stopni). Przetrzymano ich w bunkrze przez noc, gdzie bito ich do krwi. Nad ranem wyprowadzono ich z bunkru na miejsce egzekucji. Po drodze z bunkru do obozu zmuszono ich co kilkanaście kroków padać na ziemię, (nago) przy czym bito ich i kopano.

W obozie przygotowana była już szubienica. Egzekucja odbyła się w ten sposób, że skazańców powieszono za nogi, a Feix dał rozkaz dozorującym posterunkom, aby skazańcy wisieli aż do zgonu. Póki żyli, Feix własnoręcznie znęcał się nad nimi, aby zaspokoić swoje skłonności sadystyczne. Przy pomocy drutu kolczastego zdzierał z nich żywcem skórę, przy czym specjalnie celował w genitalia. Męki skazańców były okropne. Prosili straż ukraińską, aby ich zabito. Straż miała jednak nakaz nie zastrzelenia ich, tak że męki ich trwały długo. Jeden z nich zerwał się ze sznura po czterech godzinach i dopiero wtedy został dobity. Drugi spadł po dalszych dwóch godzinach, a trzeci dopiero około południa. Obaj zostali dobici.

Drugi przykład znęcania się nad więźniami: w obozie był zakaz posiadania pieniędzy. Pewnego razu znaleziono przy więźniu pieniądze. Winowajca skazany został na śmierć. Wprzód został do krwi pobity przez strażnika ukraińskiego i przesiedział przez dobę w bunkrze. Następnego dnia w czasie wieczornego apelu został nago przyprowadzony na plac apelowy, dokąd znany z okrucieństw Ukrainiec, imieniem Otto, przyprowadził go jak niedźwiedzia na sznurze. Na placu ustawiono szpaler z 2.000 więźniów i Feix wydał surowy nakaz, aby każdy z więźniów bił skazańca. Po krótkim czasie nieszczęśliwy zalany był krwią i z wycieńczenia zemdlał. Wówczas Feix osobiście żelazem otworzył mu usta i oblał go zimną woda celem otrzeźwienia. Niezależnie od tego Feix swoim zwyczajem zaczął go bić po jądrach. Ból i krzyki skazańca były straszne. Ponieważ był silny fizycznie, wbrew oczekiwaniom żył jeszcze, a Feix nakazał ponowne przepędzanie przez szpaler i bicie. Po dwóch godzinach takich męczarni, których widoku nikt z obecnych nie zapomni, nieszczęśliwy wyzionął ducha. Maltretowanie z rozkazu Feixa skończyło się dopiero wtedy, gdy lekarz

stwierdził zgon. Na taczkach wywieziono trupa do grobu masowego, w lesie koło obozu.

Śmiercią karane były wypadki posiadania długiej koszuli, znalezienia na więźniu choćby jednej wszy. Za kradzież ziemniaków, do której zmuszał głód panujący w obozie, w szczególności na przednówku, groziło zastrzelenie, lub w najlepszym wypadku Feix nakazywał „winowajcy" znalezione przy nim kartofle w obecności wszystkich błyskawicznie zjeść wraz z łupą na surowo.

W zimie 1942 r. panowała w obozie epidemia tyfusu. Chorzy pomieszczeni byli w rewirze. Co kilka dni Feix chodził do rewiru na salę chorych, wywlekał z łóżek, dokonywał próby wytrzymałości. Kto z chorych przy temperaturze około 40-tu stopni nie był w stanie biegać lub tańczyć, szedł pod ścianę. Strzelał sam Feix.

W ten sposób w ciągu zimy sto kilkadziesiąt osób straciło życie. Każdy z nieszczęśliwych przed otrzymaniem strzału musiał podać swój numer więzienny, który stojący obok pisarz odnotowywał. Następnie Feix wchodził do kancelarii obozowej, zacierając ręce z zadowoleniem. Zwykł pytać, ilu Żydów w tym dniu załatwiono? Oczywista, stan ilościowy musiał się zawsze zgadzać.

Na specjalną wzmiankę zasługuje zachowanie się ukraińskich faszystów wobec więźniów żydowskich. Ukraińcami posługiwali się niemcy przy wysiedlaniu Żydów z miast polskich, w szczególności przy likwidacji ghetta warszawskiego. Ukraińcy byli postrachem Żydów. Nazywani przez więźniów „czarnymi" ze względu na czarne mundury, byli panami życia i śmierci więźniów. Chodzili po obozie zawsze z nahajką w ręku i według swego widzimisię, będąc z reguły pijani, bili napotkanych więźniów. Wystarczyło nieodpowiednie spojrzenie, nie dość szybki bądź niezręczny ukłon, trzymanie ręki w kieszeni itd. Specjalnością „czarnych", szczególnie w czasie przebywania w obozie więźniów z ghetta warszawskiego, których nazywano „bandytami warszawskimi" *(Warschauer Banditen)* było szukanie pieniędzy u warszawiaków. Ukraińcy przychodzili do

baraków, wyciągali poszczególnych więźniów, co do których mieli podejrzenie, że posiadają pieniądze i jak najgruntowniej przeszukiwali. Gdy znaleźli pieniądze, nie tylko je konfiskowali, ale zazwyczaj do krwi bili i grozili zameldowaniem Feixowi. Wszystkim wiadomo było, że grozi to śmiercią. Błagano więc Ukraińców, aby nie donosili, z czego korzystali chętnie, bo w innym wypadku musieliby oddać pieniądze Feixowi.

Lb. 237.

DORA

ZYGMUNT RUBINSTEIN

W podziemnych tunelach

...Zdrowych posłano do miejscowości Dora (Harz). Był to karny obóz, wykończalnia, pracowaliśmy przy wyrabianiu broni (samoloty zegarowe). Nikomu nie wolno było zbliżać się do obozu, z wyjątkiem zatrudnionych tam. *SS-mani*, gdy wchodzili na teren obozu, musieli się legitymować.

Szesnaście godzin pracy, potem apel trzy do pięciu godzin. Nie spało się prawie wcale. Podczas nalotu, gdy następna zmiana nie mogła przyjść, pracowaliśmy (w tunelu podziemnym) trzydzieści sześć godzin. Tunele podziemne znajdowały się pod kamieniołomami. Podczas pracy odrywały się skały i grzebały dziesiątki więźniów. Krematorium dymiło dniem i nocą, nie mogli nadążyć z paleniem trupów.

Trupy palono w ten sposób, że kładło się jedną warstwę trupów i jedną warstwę drzewa. Byłem chory i zrobiono mi operację ślepej kiszki bez narkozy. Operował mnie Żyd z Francji. Jemu jako też kapomanowi Niemcowi, który mnie zaniósł na rewir i uchronił od śmiertelnego zastrzyku z benzyny, który dawano wewnętrznie chorym, zawdzięczam życie.

Przez ostatnie sześć tygodni nie dostawaliśmy wcale chleba, tylko dwa kartofle w łupinach dziennie...

Lb. 457.

DACHAU-BIRKENAU

SZAJA GERTNER

Technika gazowania i spalania. Ucieczka

W jesieni 1940 r., gdy zaczęto drutować ghetto łódzkie, była wielka łapanka na Żydów po ulicach i wtedy mnie złapali. Razem około 800 mężczyzn odstawili do więzienia Czarneckiego. Siedziałem tylko dwa dni i wywieziono mnie do Poznania. Tam był obóz pracy i pracowało się razem z Polakami. Nie było najgorzej, a miałem przecież dopiero 14 lat. Jak mogłem wytrzymać bez rodziców między obcymi ludźmi? Myślałem i myślałem, żeby tylko uciekać do domu. Chodziliśmy do pracy rano. Była wtedy późna jesień. Na dworze było jeszcze całkiem ciemno, gdy raz szedłem z moim *Arbeitskomandem*. Udało mi się zesunąć do rowu, przeleżałem tak, aż wszyscy przeszli i potem — w nogi. Poszedłem pieszo w stronę Łodzi.

Zobaczyłem tu, że ghetto jest już zamknięte. Przypatrzyłem się, jak to wszystko wygląda. Koło samego ghetta ul. Zgierską przejeżdżał tramwaj. Wystarczyło wyskoczyć z tramwaju, gdy przejeżdżał koło ulicy Poprzecznej, gdzie była brama ghetta, tylko wypatrzeć taką chwilę, kiedy bramą wjeżdżają wozy i skoczyć w bramę. Jeździłem tramwajem tak długo, aż natrafiłem na dobrą chwilę. Ale jeden żandarm złapał mnie za kark i zaprowadził na gestapo. Tam mnie przesłuchali, nic nie ukrywałem i jeszcze wtedy wierzyłem, że będą mieli litość nad dzieckiem. Powiedziałem, że nie mogę żyć bez matki, że było mi tak tęskno dzień i noc. Ten, co mnie przesłuchiwał, powiedział: „Chcesz do matki? Całkiem słusznie. Pójdziesz do matki" i zaraz wysłali mnie do Dachau do *S. K. (Strafkommando)* i więcej nie widziałem rodziców, ani oni pewnie nie wiedzieli, że próbowałem do nich wrócić.

Jechałem z transportem 120 Żydów, przeważnie tak samo połapanych jak ja, za różne „przestępstwa". W *Strafkommando* pracowało 4.000 ludzi różnej narodowości. Byłem w *S. K.* najmłodszy i wszyscy mnie bardzo lubili. Pracowaliśmy przy wapnie. Dwu Żydów nosiło nosze z wapnem do dołu i tak przez

15 godzin dziennie. Ludzie upadali ze zmęczenia i głodu, bo *S. K.* było specjalnie głodzone. Jak który nie mógł się już ruszać, to go *SS-mani* rzucali do dołu z wapnem i tam się spalał. Tak codziennie mordowali kilku Żydów, najmniej dwu do trzech.

Przez cztery miesiące cierpiałem tam głód i myślałem, że się jakoś zmieni, ale nie szło ku żadnej zmianie. Co najwyżej mogłem się także dostać do dołu z wapnem. Wtedy założyłem spółkę z jeszcze czterema Żydami i zaczęliśmy „organizować" żywność. Koło naszego baraku był magazyn żywnościowy. Właziłem tam przez malutkie okienko wieczorem i podawałem im chleb, cukier, marmoladę, kiełbasę, wszystko co się dało. Długo nikt na to nie wpadł, aż raz wlazłem z nogami do beczki z marmoladą, która stała zaraz pod oknem i cały magazyn był poznaczony śladami. Zaczęli szukać, szpiclować, wreszcie wpadli na mnie. Każdemu innemu groziło za taką rzecz powieszenie, ale mnie lubili. Dostałem tylko 25 na tyłek.

Potem dalej „organizowałem" jak się dało, chociaż dużo razy dostałem bicie i tyłek miałem już taki twardy i czarny jak skóra. Jeszcze teraz można mnie bić, a ja nic nie czuję. Ale to doszło do blokowego, a że ja nic sobie nie robię z bicia, to ogłosił, że gdy mnie jeszcze raz złapią na kradzieży, pójdę na szubienicę. Wiedziałem, że oni dotrzymują obietnic i nie chciałem tak umrzeć. Ale żyć w tym *S. K.* bez „organizacji" też nie mogłem. Postanowiłem więc znowu spróbować ucieczki.

Przywieziono na stację transport drutu kolczastego, a myśmy poszli to wyładować. Wtedy, gdy mnie nikt nie widział, poszukałem sobie miejsca pod wagonem towarowym i tak przyjechałem do Poznania. Byłem przygotowany na taką jazdę, miałem przy sobie pieniądze. W obozie nie było trudno o pieniądze, ludzie mieli dość forsy i nie wiedzieli, co z nią zrobić. W Poznaniu nie znałem nikogo, byłem jeszcze głupi, chociaż po tym życiu w Dachau. Poszedłem do jednego Polaka, żeby mnie przenocował. To był *Volksdeutsch*. W nocy mnie zrewidował, zabrał mi pieniądze, a rano oddał mnie na gestapo.

Badali mnie i odesłali dalej. Nie wiedziałem, dokąd jadę.

Wieźli mnie samego *SS-mani*. Przywieźli mnie do Birkenau i oddali zaraz do *Sonderkommando*. To było na polu „D" barak 32.

Moje „komando" miało 400 ludzi. W pierwszych dniach nie chodziłem do pieców, tylko miałem *Stubendienst*, ale potem przyszedł jednego dnia *Hauptscharführer* Müller i powiedział: „Taki zdrowy, mocny chłopak, niech idzie na szychtę". I zacząłem chodzić do pieca. Pierwsze dni były tak ciężkie, że nie mogłem sobie dać rady z robotą. Od pierwszej chwili myślałem tylko o tym, jak się od tego uwolnić. Wszyscy wiedzieli, że za trzy miesiące nas skończą i wezmą innych. Było nas 400, z tego połowa miała dzienną szychtę, a druga nocną. Do naszego *komanda* należał jeden piec.

Szliśmy do pracy z muzyką. Była tam cała orkiestra, która nas zawsze odprowadzała. Potem gdy przyprowadzali drugą zmianę, znowu nas odprowadzali z muzyką. Naszym głównym przełożonym był *Hauptsturmführer* doktór Mengele, on dostarczał ludzi do gazu, potem był Müller. Służbę przy robocie miało zwykle pięciu *SS-manów*. Przychodziły transporty. Ludzie, którzy przybywali, wcale nie wiedzieli, co ich czeka. Na budynku było napisane *Badeanstalt*. Wszystkie rzeczy, jakie mieli ze sobą, musieli zostawić na polu. Wchodzili, rozbierali się do naga, każdy dostawał numerek ubrania, żeby je można odebrać, kawałek mydła i ręcznik i szli pod tusze. Wtedy wpadali niemcy i zaczynali bić, żeby zrobić zamieszanie. Ludzie nie wiedzieli, co się dzieje, wpadali jedni na drugich, uciekali przed siebie. Wtedy drzwi do komory się otwierały i całą gromadę tam zaganiano. Szybko zatrzaskiwano drzwi i przez okienko wrzucano puszkę z gazem.

Pracowałem w tym *komandzie* 10 tygodni. Nie byłem nigdy w samej komorze. Po gazowaniu otwierano z drugiej strony, z tej gdzie nikt nie miał dostępu — drzwi i okna i wietrzyło się przez pięć minut. Wtedy *capowie* wchodzili do środka i wyrzucali trupy przez drzwi i okna, żeby szło prędzej. Wszyscy mieliśmy na rękach wysokie gumowe rękawiczki, a na ustach tampony z waty. Z trupów, jak się je ruszyło, wy-

chodził gaz tak, że nie można było oddychać. Szyny szły od bramy gazowni do pieca. Ładowało się trupy na lory po 40-ci na jedną i to szło zaraz na ruszt. Lory same się wywracały do dołu, gdzie był ruszt, odrazu ciała zaczynały się czerwienić od prądu i po 10 minutach był z nich popiół. Gdy prąd był słabszy, pozostawały większe kości, normalnie jednak same tylko grudki. W środku był taki aparat, mówili na niego „Exhauster", wydmuchiwał popiół po każdym spaleniu do dołu obok. Stał tam jeden robotnik, napełniał popiołem beczki i winda wyciągała je na górę. Potem zawozili ten popiół i wsypywali do wody.

Ładowałem trupy na lory, były żółte od gazu. Niektórzy umarli mieli usta zasłonięte rękami, albo przyciskali żołądek. Byli sztywni, jakby od paraliżu, oczy otwarte i szkliste. Wszyscy, ilu nas było, nie mogliśmy znieść tej roboty. Chodziliśmy jak dzicy. Całkiem otwarcie mówiliśmy o tym, jakby to zrobić, aby stąd uciec. Do naszego pola przylegał *E-lager*, czasem udało się przez druty mówić ze swoimi. Zaraz im mówiliśmy, żeby się starali coś zrobić, żeby nie czekali aż ich wezmą do *„Sonderkommando"* albo wyślą na gaz. Co mieli zrobić? Jedno tylko było wyjście i dużo ludzi w tych 10-ciu tygodniach widziałem, jak rzucali się na druty. Jedna chwila — i już był trup. Myślałem, że dobrze robią, lepiej tak, niż iść do komory. Nieraz rano widziałem tych, co w nocy rzucili się na druty. Nie upadali na ziemię, ta elektryczność tak ich trzymała, że stali sztywno z wyciągniętymi do góry rękami, całkiem jak żywi.

Jedzenie dostawaliśmy bardzo dobre, codziennie jeden chleb, kawałek masła, specjalną zupę, mleko, ale kto to mógł jeść? Oprócz tego ludzie, którzy szli na śmierć, mieli przy sobie dużo żywności, nieraz najlepsze rzeczy. Gdy były transporty z zagranicy i to wszystko leżało przed gazownią, można było brać. Tak samo ubrania cywilne można było nosić i mogliśmy wybierać, jakie tylko chcieliśmy. Komu to wszystko było potrzebne?

Gdy zaczęliśmy dzień w dzień mówić o tym, tak już pow-

stała u nas organizacja. Zaczęliśmy zbierać broń. Potem w styczniu przyszedł transport Polaków. Mówili, że to z jakiegoś powstania. U nich zabraliśmy dużo granatów ręcznych. Wszystko mieliśmy zakopane w skrzynkach i wiadrach, niektórzy trzymali w siennikach. Wieczorami na baraku całkiem otwarcie mówiliśmy o tym.

Było to w styczniu, dokładnie daty nie pamiętam. Dzień wcześniej wiedzieliśmy, że będzie dużo transportów do gazowania i będziemy pracować — razem 400 Żydów. To była dobra chwila na ucieczkę. Przyszedł dr. Mengele i wybrał 73 ludzi, takich *muzułmanów*, co bardzo źle wyglądali i kazał zostać na baraku i nie iść do pracy. Cała reszta 327 ludzi poszła rano. Przedtem więźniowie w nocy zrobili podkop pod druty, zaraz za krematorium. Dalej było otwarte pole i las. Druty były o wysokim napięciu, zrobili więc izolację, żeby w pośpiechu nikogo nie poraziło. W podkop wsadzili beczkę bez den i przez tę beczkę mieliśmy przechodzić. Jeden drugiego miał trzymać za ubranie i tak gęsiego iść.

Tego dnia gdy przyszliśmy do pracy, naprzód musieliśmy się przebrać w cywilne ubrania, bo niektórzy byli w pasiakach. Poszli do *Obersturmführera*, że te pasiaki tak się brudzą, że oni chcą się przebrać. *„Ale owszem, przecież to wszystko jest wasze"* — powiedział i kazał im dać ubrania.

Wszystko było umówione. Postanowiono, że który nie będzie słuchał rozkazu, to go zastrzelimy. Jednego *SS-mana* zastrzelono odrazu w łaźni, drugiego niemca rzucono żywcem do pieca i wtedy na komendę zaczęliśmy walić w piec granatami. Ci, którzy byli z drugiej strony przy gazowni z trzema *SS-manami*, co pilnowali transportu, który właśnie miał iść na gaz, posłyszeli wybuchy i nie wiedząc, co to znaczy, zaczęli krzyczeć, że to nalot, że to alarm. *SS-mani* słyszeli detonację i zaraz uwierzyli. Wpadli do schronu. Ludzie, którzy stali przed gazownią, nie wiedzieli, co mają robić, a my tymczasem na komendę zaczęlimy jeden za drugim wychodzić na zewnątrz.

Dopiero za 1½ godziny w obozie dowiedziano się, co się stało. Zaczęła się strzelanina i przeszukiwanie okolicy. Nie

wiem, ilu więźniów zginęło, ale dowiaduję się od świadków, że około 200 na miejscu położyli.

Szedłem razem z grupą 27 ludzi w stronę Rzeszy; prowadził nas Żyd z Berlina, który dobrze znał drogę. Byliśmy już daleko w głębi Rzeszy, gdy nas przychwycił w jednym miasteczku Volkssturm. Podaliśmy, że jesteśmy uciekinierami z transportu do Dachau.

W tym czasie była w Dachau fabryka *V I*. Fabryka była w tunelu pod ziemią. Zjeżdżało się 160 m wgłąb, tam były ogromne sale połączone ze sobą tramwajami elektrycznymi. Wyrabialiśmy nie tylko bomby, ale cały aparat się montowało. Taki aparat składał się z pięciu bomb i zbiornika benzyny. Niemcy przed nami się wychwalali, jaka to jest broń i że całkiem zniszczy Anglię. Nie było przyjemnie słuchać, przy czym pracujemy. Głód był przy tej pracy okropny. Zupa taka zgniła jak zawsze. Nauczyłem się przy tej robocie ślusarstwa.

Kiedy już byli bardzo blisko Amerykanie, *SS-mani* rozdali broń niemieckim *capomanom*, którzy mieli teraz pilnować Żydów. Uczyli ich strzelać do celu. To był bardzo ładny moment, gdy na bramie powiesili czapkę pasiastą i kazali do niej strzelać, a tu nagle zajeżdża czołg amerykański. *SS-mani* nie uczyli ich więcej strzelania, a *„capowie"* rzucili karabiny. Na drugi dzień Amerykanie byli już w obozie. Pierwszy żołnierz, który mówił ze mną, to był Żyd ze Lwowa.

Wróciłem do Łodzi. Nikogo z rodziny nie zastałem, jestem zupełnie sam.

Lb. 141.

OŚWIĘCIM

Dr ANNA SEEMANN

Zgładzanie noworodków. Eksperymenty naukowe

W pierwszych dniach marca 1944 r. odbył się apel generalny, który trwał 16 godzin. Dzieci musiały także wyjść, bo przeszukiwano baraki. Używano też i psów. W czasie tego apelu

„*Aufseherka*" Hasse i *SS* Taube robili przegląd, bili po głowie okutymi laskami i zabijali w ten sposób na miejscu.

W marcu wybuchł pożar w t. zw. „*Effektenkammer*". Niebezpieczeństwo przerzucenia pożaru z baraku na barak było bardzo wielkie. Lękaliśmy się, że dojdzie do dziesiątkowania obozu, gdyż będą podejrzewali o sabotaż. Zatuszowano jednak tę sprawę, gdyż pożar był spowodowany przez *SS*, którzy nie chcieli, by wyszło na jaw, ile złota i kosztowności wykradli. Mówili, że pożar był spowodowany krótkim spięciem.

Śmiertelność była bardzo wielka. Codziennie rano przychodząc na rewir, zastawałam kilka lub kilkanaście zwłok nagich, leżących na ziemi. Zwłoki wynosiły ze szpitala Żydówki. Noworodki przynoszono do ambulatorium zaraz po urodzeniu, kładziono na metalowym stole na kawałku ligniny, nakrywano drugim kawałkiem ligniny i leżały tak, aż umierały. Jeżeli dziecko bardzo krzyczało, *SS-man* robił zastrzyk.

Blok 10-ty był blokiem eksperymentalnym. Sprowadzono aparaty roentgenowskie i kilka kobiet żydowskich, które już w Brzezinkach poddawano eksperymentom. Lekarz *SS* zabrał się z wielkim zapałem do pracy, mówiąc ciągle o swej pracy naukowej. Kobiety drżały przed nim, urządzał badania ginekologiczne po kilka godzin dziennie. Naświetlał dużymi dawkami promieni Roentgena, następnie usuwał jeden albo obydwa jajniki, które wysyłał do badania histologicznego. Obiektem były przeważnie młode Żydówki z Grecji. Te operacje przeprowadzał drugi lekarz volksdeutsch z Warszawy, który założył się raz, że 10 takich operacyj wykona w godzinie. Zakład wygrał. Dwie pacjentki przypłaciły to życiem, reszta leżała miesiącami z ropiejącymi brzuchami. Z 500 naświetlonych w Brzezinkach Żydów (mężczyzn), ani jeden tego nie przetrzymał.

Innym wielkim „naukowcem" był prof. Blauberg z Królewskiej Huty. Wstrzykiwał on kobietom tajemnicze płyny, których składu nie znały jego współpracowniczki. Zastrzyki otrzymywały kobiety w dość dużych odstępach czasu (2—3

mies.). Powodowały wysoką temperaturę, silne bóle i wymioty. Przez jakiś czas utrzymało się na bloku szereg kobiet, które nie poddały się żadnym zastrzykom. Na wiosnę 1944 wyszło rozporządzenie, że na bloku nie może zostać nikt, kto nie będzie obiektem doświadczeń. Kobiety już operowane, bezsilne, wyniszczone, wolały poddać się ponownym eksperymentom, niż pójść na *„Aussenkommando"* na Brzezinki, co równało się dla nich wyrokowi śmierci. Grupa kobiet (ok. 20 polskich Żydówek, które dawniej wyemigrowały do Francji) oświadczyła, że nie podda się żadnym eksperymentom, bez względu na konsekwencje.

W maju 1944 przewieziono kobiety z bloku 10-go do kobiecego obozu w Oświęcimiu, odizolowano je drutami od mieszkających w sąsiednich blokach kobiet pracujących. Na blok eksperymentalny po Greczynkach, przyjechały Francuzki, Belgijki, niemki, Holenderki, wyłącznie Żydówki. Na bloku było 400—450 kobiet. Zaczęły się szerzyć niepokojące wiadomości, że do bloku eksperymentalnego sprowadzi się mężczyzn, aby przekonać się, czy kobiety te faktycznie są niepłodne. Pewnego dnia pracujący tam chemik Goebel, niemiec, oświadczył, że zabierze cały blok wraz z personelem autami ciężarowymi na trzy dni do lasu. Wszyscy byli przekonani, że ich wykończą. Chemik zachorował i sprawa się odwlokła.

U kobiet z bloku eksperymentalnego pobierano krew celem przygotowania surowic testowych do oznaczania grup krwi. U jednej pacjentki pobierano 250—300 cm^3 krwi. Z hojnym gestem *SS-man*, który się tym zajmował, przynosił jej czasem kawałek chleba z kiełbasą. Ten sposób pobierania krwi był już złagodzeniem kursu, bo w latach poprzednich, gdy potrzeba było krwi do jakiegokolwiek celu, brano z ulicy *lagrowej* pierwszego lepszego dobrze wyglądającego więźnia i skrwawiano go zupełnie.

Kwarantanna. Odwszenie. Dzieci Żywcem pogrzebani, dogryzani przez świnie

Nasz transport, a był to transport składający się właściwie w większości z nie Żydów, nadszedł po dwudniowej męczącej podróży w ciasnych wagonach z Drezna do Oświęcimia we wczesnych godzinach popołudniowych. Na drodze do obozu namawiali nas *SS-mani*, abyśmy oddali pieniądze i rzeczy wartościowe, gdyż nam je i tak odbiorą, a oni będą nam pomocni. Później przekonałem się, że ci *SS-mani* z obozem nie mieli nic wspólnego.

Z przybyciem do obozu, zaprowadzono nas przede wszystkim do magazynu *(Effektenkammer)*, gdzie nam wszyściuteńko, aż do łyżki, zabrano. Następnie zaprowadzono nas do łaźni *(Sauna)*, gdzie pozostaliśmy aż do gongu ($7^1/_2$ wieczorem), po czym wyprowadzono nas nago na pole i tam przeczekaliśmy całą noc majową, ale deszczową i zimną. Było nas 800 więźniów, do rana 42-ch już nie wytrzymało.

O godz. 9-tej rano zaprowadzono nas do fryzjerni. Tutaj usuwano nam wszystkie włosy na ciele, zewsząd aż do kolan, maszynką i brzytwą. Robili to tacy zawodowcy, że byliśmy cali porżnięci i pokaleczeni i tak posłano nas pod tusze. Wkońcu miejsca zgolone nacierano kupreksem. Skutki tej procedury były takie, że prawie połowa z nas dostała zapalenia skóry i egzemy. Z łaźni poszliśmy do magazynu. Każdemu rzucono najnieodzowniejszą bieliznę, potem spodnie i bluzki. Nikt nie troszczył się o to, żeby ubrania dopasować i gdyśmy się oglądali, nie poznawaliśmy się, tak nas ta jedna noc zmieniła. Nie koniec na tym, zaprowadzono nas do oddziału politycznego, gdzie wypełniono przeróżne karty, (kwestionariusze), wkońcu nas tatuowano i staliśmy się numerami.

Pierwsze jedzenie — to zupa wodnista i kawałek chleba. Dostaliśmy to późnym wieczorem. Następnie przeznaczono nam barak na kwarantannę. Okazało się, że było nas za dużo i nie było miejsc w kojach, więc zamiast po dwóch, jak to było

zawsze, przydzielono nas po trzech na jedną wąską koję. Mimo wyczerpania przekonaliśmy się wkrótce, że o spokojnym spaniu nie ma co marzyć. Napadły nas pchły i leżenie było męczarnią. Doszło do tego, że cały czas kwarantanny, pełne cztery tygodnie, przeleżałem w korytarzu na stole.

Reszta kwarantanny była też nieustającą torturą. O godz. 4.30 rano budzono nas gongiem, po spożyciu 1/4 litra gorzkiej, czarnej kawy wyganiano nas na apel i tam pozostawaliśmy cały dzień, aż do wieczornego apelu. Siedzieć nam nie pozwalano. Tylko podczas wielkiej ulewy posyłano nas do bloku, ale już wtedy, gdy byliśmy zupełnie przemoczeni.

Wreszcie po czterech tygodniach kwarantanny przyszedł tzw. „*Arbeitsdienst*" i porozdzielał nas po różnych *komandach*.

Po męczącym poranku, gdzie z początku marzliśmy, potem w słońcu prażyliśmy się do omdlenia, wybrudzeni czekaliśmy na obiad, który nadchodził o godz. 11-tej. Była to woda z kapusty, ze śladami kartofli i mięsa. Misek było zaledwie 200, a łyżek 30 na 800 więźniów. Ustawiano więźniów w rzędy po 5-ciu i tak rozdzielano po 1 litrze zupy, właściwie wody. Do jedzenia nie pozostawiono nam wiele czasu, gdyż inni się niecierpliwili, dojadali więc resztę już nie z naczyń, ale z rąk. Z początku niepodobna było przełknąć ani łyżki zupy. Dopiero gdy głód nam dokuczył, trzeba było przemóc wstręt i jeść z brudnej miski, brudnymi rękami, gdyż łyżek nie było. Usta nasze pokryły się wrzodami.

W każdą niedzielę przeprowadzano u nas w obozie kontrolę zawszenia. W tym celu rozbieraliśmy koszule na apelu, a pielęgniarze i lekarze przeglądali je. Notowano zawszonych, posyłano do odwszenia. Dnia 3 listopada 1943 była właśnie taka kontrola. Spodziewaliśmy się jednak, że wobec silnej zawiei, odbędzie się inaczej. Myliliśmy się. Musieliśmy się zupełnie rozebrać, oddać bieliznę, biegiem opuścić barak i udać się do bloku kobiecego, gdzie znajdowała się łaźnia. Nago przebiegliśmy 2 km pod strażą *SS*, którzy z przyjemnością pej-

czem i kijem bili i okładali nasze ciała. Przed łaźnią staliśmy jeszcze na dworze i czekaliśmy na kolejkę. Po tuszu, prawie że zimnym, wysmarowanych kupreksem od stóp do głów, gnano nas znowu nago, wśród błota, śniegu i zawiei. Kto z wycieńczenia nie mógł dotrzymać kroku, padał od kuli, a trupy musieliśmy ciągnąć do baraku. Tu dostaliśmy mokre ubrania i mokrą bieliznę. W tej odzieży ruszaliśmy do ciężkiej pracy. W rezultacie wiele wszy przeżyło odwszenie, ale nie wielu więźniów.

Metodą było wykończanie biciem i znęcaniem się wycieńczonych i zmęczonych ludzi. Służył temu celowi lekarz blokowy. W asyście *SS* odwiedzał blok po bloku, kazał rozbierać się wszystkim, przeważnie na *apelplacu*, obojętne, w lecie, czy w zimie, przechadzał się między rzędami nagich ludzi, oglądał ich i przeznaczał na śmierć, słabszych, z jakąś wysypką, blizną, czy zadraśnięciem, czy też poprostu tych, którzy mu się nie podobali. Wysegregowani szli do jednego wspólnego bloku i stamtąd na śmierć w katuszach. Przedtem jeszcze robiono wszystko, aby uzyskać u tych ludzi nastrój apatii i wyczerpania. Odbierano im ubranie, bieliznę, morzono głodem, obstawiano strażą, która ich biła i katowała.

Jak zachowywały się dzieci w stosunku do tych selekcji? Pewnego razu odwiedziłem blok dzieci i zapytałem tam małego chłopczyka z Będzina: „No, Jurek, jak ci się powodzi?“ Na to mi odpowiedział: „Niczego się nie boję, tutaj wszystko jest takie straszne, że tam na górze może być lepiej...“

Po zagazowaniu transportu z Terezyny byłem świadkiem rozmowy, prowadzonej między blokowym i 9-letnim chłopcem. Blokowy mówił do niego: „Karolku, ty masz bardzo wiele wiadomości“, na to chłopczyk: „Ja wiem, ja dużo umiem i wiem, że już więcej uczyć się nie będę i to jest najsmutniejsze“.

W całym obozie znana była odważna wypowiedź małego chłopca z Kowna, zanim wszedł na auto, które wiozło do komory gazowej. — „Nie płaczcie, moi koledzy, widzieliście, jak

nam wymordowano ojców, matki i dziadków. Teraz jest nasza kolej, zobaczymy ich tam w górze. Ale cieszę się, *esesowcy* że wy też zdechniecie"...

Lb. 263.

Pracowałem jako ogrodnik w pobliżu jednej z bocznic oświęcimskich. Byłem świadkiem przybycia transportu 20.000 ludzi. Z tej masy wybrano na miejscu 500 osób. Reszta pomaszerowała do łaźni. Wybranej grupie każą kopać rowy, mniej więcej półtora metra głębokości, po czym grupa Ukraińców związuje im ręce i wrzuciwszy do dołów zaczyna zasypywać. Wkrótce spod ziemi wystają same głowy przerażonych ludzi. Zbiry zasypują dalej śmieciami i odpadkami. Po chwili nic już spod śmieci nie widać, daje się jeszcze słyszeć charkot.

Gdy robota została ukończona, wypuszczono na śmietniki masę wygłodniałych pół dzikich świń, które zaczęły rozszarpywać nawpół uduszonych ludzi. Nie mogłem znieść tego widoku i uciekłem.

ALA DYCHTWALD

Zamiast do krematorium – na eksperyment

Po przyjeździe do Oświęcimia dostałyśmy się do Brzezinek. Po kąpieli ogolono nas zupełnie, wytatuowano nam numery, ubrano w spodnie i bluzy i dano drewniaki. Przy przebieraniu bito nas w okrutny sposób po głowie. Blokowe mówiły do nas: *„polskie świnie"*. Bloki były tu brudne i małe. Mieściły one nieraz i po 1000 osób, a koje tutejsze przesycone robactwem i brudem zajmowało 7 do 10 kobiet. Przez dach wciekała woda. Jedzenie nasze to 25 dkg chleba i ½ l wody z pokrzywą. Apele trwały długo, a na karnych apelach klęczałyśmy całymi nocami.

Praca była bardzo ciężka, przy melioracji rzek, przy rwaniu pokrzyw, dźwiganiu gruzów, ziemniaków, węgla. Ja dostałam inną placówkę. Chodziłam codziennie 30 klm z na-

pchanymi siennikami, biegiem. „*Posten*" szedł z psem i szczuł, o ile się nie biegło. Wszystkie miałyśmy pogryzione nogi. W owym czasie o wodę było bardzo trudno, a ponieważ miałyśmy pragnienie, piłyśmy błoto. Zachorowałam na malarię. Co pewien czas odbywały się selekcje. Młode, często zdrowe kobiety szły na śmierć. Wszystkie dzieci i starsze kobiety, chore, szczupłe, a nawet i młode odrazu z wejściem do obozu szły na stracenie.

Jesienią i zimą coraz większe kontyngenty szły do krematorium. Obok tyfusu i malarii panował świerzb. Nigdy się nie goił. Chorzy ukrywali swoje choroby. Woleli paść przy pracy, niż zginąć w gazie w krematorium. Codziennie przynosiłyśmy z pracy trupy, dobite przy pracy. I ja byłam chora na tyfus i malarię i wzięto mnie do szpitala, a stąd do bloku śmierci Nr. 25. Nie mając nic do stracenia trzy kobiety wyłamały w nocy kraty, ale skaczące zauważył strażnik i zastrzelił je. Ja poczekałam godzinę na zmianę straży i wówczas dopiero wyskoczyłam. Brocząc krwią, bo złamałam sobie zęby i rozdarłam boki, dowlokłam się z powrotem na rewir. Na rewirze panowały okropne stosunki. Pielęgniarki okradały chore i oddawały je w ręce kata, choć mogły im pomóc. Krematoria paliły się wówczas dniem i nocą, budząc przerażenie wśród obozowców. Żydówkom nie udzielano żadnej pomocy. Tysiące ginęły dziennie. W owym czasie napływały olbrzymie transporty zagranicznych Żydów, których w szybkim tempie wykończano.

Tak zwane *Entlausung* bywało cztery razy do roku. Wtedy cały dzień byłyśmy nagie, gdyż ubrania oddawane do dezynfekcji zwracano często zupełnie mokre i trzeba je było w baraku suszyć. Leżąc stale na rewirze, zaraziłam się świerzbem i nie mogło być mowy o wydostaniu się ze szpitala. Zostałam odstawiona do specjalnego kąta, gdzie leżały dotknięte świerzbem i skazane na najbliższy transport do komina.

Dnia 12 grudnia 1943 r. niespodzianie nadchodzi rozkaz, że 100 osób chorych na malarię ma pojechać do Majdanka na eksperyment. Transport z 66-ciu kobiet i 34-ch mężczyzn miał

obejmować wszystkie narodowości. Wśród 10-ciu Żydówek zoniemieckie, bez wody przez trzy dni, wlokłyśmy się nawpół przytomne. W takim stanie dojechałam drugi raz do Majdanka. stałam też i ja wybrana. Niespodziewanie tego dnia wezwano mnie do ambulatorium szpitala. Było tam już zebranych dużo niemców. Po rejestracji i kąpieli był przegląd ciał, gdyż świerzbowaci nie mogli wydostać się z *lagru*. Ogarnęło mnie przerażenie, gdyż miałam zbyt zaawansowany świerzb, żeby móc go ukryć. Tam w Majdanku czeka na mnie możliwy ratunek, tutaj niechybna śmierć. Cofam się, by nie usłyszeć okrutnego słowa lekarza niemieckiego. Przede mną było pięć osób. Wtem słyszę głos strażniczki z biura, że numer mój się nie zgadza z nazwiskiem. To zaważyło na szali. Wracam z kancelarii, a kierowniczka myśląc, że jestem już po oględzinach lekarskich, podała mi odrazu bieliznę i w ten sposób wydostałam się z tego piekła w przededniu śmierci.

Podróż przeszłam bardzo ciężko. Było to w grudniu. Chore, bez opieki, okradane z fasunku przez jadące z nami cyganki

HIRSCH TAUBER

Bunt w krematorium

Z więzienia Montelupich pociąg zawiózł nas do Oświęcimia. W transporcie naszym były kobiety i mężczyźni. Wszelkie próby ucieczki na ogół się nam nie udały. Wjechaliśmy na teren Oświęcimia, obstawieni przez *SS*. Wyładowano nas przy użyciu kijów i psów. Kilka trupów leżało już na ziemi na skutek bicia i katowania. Kilka osób popełniło samobójstwo. Mężczyzn oddzielono od kobiet. Zaprowadzono mnie do obozu, do niewykończonego bloku, w którym mieściło się 1000 ludzi. Przyjęli nas pijani *capo*. Przeczekaliśmy tam do 12-ej w nocy. O tej porze popędzono nas na blok *Aufnahme* Spisano nas i tatuowano. Osobno Żydów, spośród których wybrano 20 chłopców, a 150 starszych zaprowadzono na *Strafkommando*, gdzie

ich wieszano kolejką, mianowicie jeden wieszał drugiego. Wszystkich notowano w księgach.

Reszta transportu przekazana została do *Buny*, do chemicznych zakładów *I. G.* Tu mieliśmy przejść trzytygodniową kwarantannę, a potem iść do roboty. Jednak w ciągu pierwszego tygodnia były dwa wypadki tyfusu. Wysłano nas spowrotem do Birkenau jako element zakaźny. Tam byliśmy jeden dzień. *Arbeitsdienst* zażądał 25-ciu fachowców, ślusarzy, murarzy itd. Poszedłem jako ślusarz. Zaprowadzono nas do obozu, najpierw na blok 11-ty, następnie do aresztu. Tam spędziliśmy noc w piwnicy. Nazajutrz przy apelu wywołanych zostało 25-ciu i zaprowadzono nas do krematorium. Tam pracowali już inni. Przyjęto nas kijami. Mieliśmy palić trupy.

Pracowaliśmy cztery tygodnie. Cuchnęło niesamowicie. Z 25-ciu zostało tylko trzech. Zginęli od bicia i chorób. Który zgłosił się jako chory, nazajutrz był już trupem. Zatruwano takich w szpitalu. Z obawy przed katuszami i śmiercią ludzie z 40-stopniową gorączką pracowali.

Po czterech tygodniach zabrali nas spowrotem do Birkenau. Dali nas na *Sonderkommando*. Tu mieliśmy palić zwłoki zagazowanych. Pracowaliśmy 20 miesięcy. Transporty stale przychodziły, wyłącznie żydowskie. Kolumny skazanych na gazowanie szły niby do łaźni. Ludzi rozbierano, bito i psami zapędzano do krematorium. Podczas gazowania zamykano ich. Słychać było krzyki. Po upływie pół godziny trupy. Za jednym razem ginęło parę tysięcy ludzi. Później wołano nas do palenia zwłok. Do dyspozycji stało pięć krematoriów i dwa miejsca przeznaczone na stosy. Zatrudnionych przy tej robocie było 400 do 1000 ludzi. Co kilka miesięcy likwidowano takie *komando* i gazowano ludzi z obsługi. Zostawało tylko co najwyżej kilku.

Po jakimś czasie przyszły masowe transporty z Węgier. Ludzie ci zbuntowali się i rzucili się na *SS-manów*. Zginęło wówczas 40 *SS-manów*. Krematorium wysadzono w powietrze, przecięto druty obozu żeńskiego i innych. Zbuntowani mieli za-

miar wyzwolić cały obóz. Żołnierze jednak otoczyli uciekających i padło 800 ludzi. Było to we wrześniu 1944 r. Pozostałych z tego *komanda* 190, którzy wyszli z ukrycia, zabrano do obozu, ze 100 zestawiono transport na rozstrzelanie. Ja zostałem wśród pozostałych 90-ciu. Użyli nas do rozbiórki krematorium. Od tego czasu nie palono już tutaj. *Komando* palenia zwłok miało łączność z tajną organizacją obozową, ta zaś miała kontakty na zewnątrz. Udzielano stamtąd wskazówek, co i jak robić.

W organizacji tej pracowali też Rosjanie zajęci przy ładowaniu połamanych samolotów. Oni to dostarczyli broni. Było *komando* pracujące we fabryce prochu UNION, skąd dziewczęta dostarczały prochu. Zrobiono zeń granaty, które użyte zostały w czasie buntu. W związku z buntem aresztowano cztery dziewczęta z UNION, które zawisły na szubienicy. Rozbiórka krematorium trwała do 19 stycznia 1945 r.

Lb. 26.

NATAN LEIBEL

Praca w kopalni

W Oświęcimiu byłem kilka miesięcy. Pracowałem częściowo przy budowie szos, woziłem piasek i nosiłem cegły. Praca była ciężka. Ponieważ stale przybywały transporty do Oświęcimia z nowymi ofiarami, umieszczano kilkaset osób w jednym baraku, gdzie leżeliśmy na podłodze, stłoczeni jak śledzie w beczce. Nasz posiłek, to rano czarna kawa, na obiad zupa-woda i wieczorem kromka chleba z margaryną, lub serem. Jedzenie to otrzymywaliśmy pod gołym niebem, wśród drwin i szykan *capowców*, względnie blokowych, przy czym nie obeszło się nigdy bez katowania. Prawie codziennie, niezależnie od apelów, które trwały nieraz i kilka godzin, urządzali rewizję osobistą, a jeśli znaleźli u kogoś łyżkę, nóż lub jakąkolwiek szmatkę, która służyła jako chusteczka do nosa, bili aż do utraty przytomności.

Praca w kopalni była niebezpieczna. Pracowali tam ludzie niekwalifikowani. Codziennie było sporo wypadków śmierci, a w najlepszym razie wypadki złamania rąk, nóg, żeber wskutek zawalenia się rusztowania, spadania kamieni ze ścian i sufitów. Ruch w kopalni był tak wielki, że co chwila zagrażał życiu, nadjeżdżały bowiem niespodziewanie wózki naładowane węglem. Zarząd kopalni żądał od nas, abyśmy w ciągu 8-miu godzin załadowali 50 wózków węgla, którą to pracę przy nadludzkim wysiłku musiało wykonywać trzech Żydów z każdej partii.

Dnia 12-go grudnia 1944 uległem wypadkowi złamania dwóch palców u prawej ręki. Przeznaczony zostałem do szpitala w Jaworznie. W związku z nieracjonalnym leczeniem wytworzyła się flegmona, tak że dwukrotnie operowano mi rękę bez znieczulenia. Lekarze i obsługa szpitalna złożona z więźniów różnych narodowości, obchodziła się z chorymi źle, za najdrobniejsze naruszenie regulaminu bito chorych, a w wielu wypadkach wyrzucano ich ze szpitala z otwartymi ranami. Ludzie otrzymywali w kartotece szpitalnej adnotację lekarza: *gesund.*

Gdy Rosjanie zbliżali się do Jaworzna, gestapowcy zabrali wszystkich więźniów zarówno Żydów, jak i nie-Żydów, a było ich razem około 5.000 i pieszo pędzili do Niemiec. W szpitalu obozowym pozostało 250 więźniów ciężko chorych, bez leków i bez opieki. Taki stan trwał około 10 dni, które obfitowały w sporo wypadków śmierci.

Lb. 76.

SALA KANNER

Piekło kobiet

Po wyjściu z wagonów na rozkaz wszystko rzuciliśmy. Selekcja. Spośród kilku tysięcy około 1000 kobiet i 1000 mężczyzn zabrano do obozu, resztę na otwarte auta ciężarowe. Nie orientowaliśmy się dokąd idziemy. Selekcja odbyła się wedle kaprysu *SS-mana.* Kobiety zaprowadzono do drewnianej szopy, kazano rozebrać się do naga i odbyła się rewizja ginekologiczna.

Po rewizji tatuowano numer na ręce. Nago zapędzono je do wanny, ścięto i ogolono włosy. Robiły to wszystko pomocnice niemieckie, które krzyczały i biły okropnie. Na wstępie jedna zapowiedziała, że „stąd już nikt żywy nie wychodzi". Kąpiel zimna, mało wody, pośpiech, tak że nie każda zdążyła się zwilżyć tylko. Dostały koszule i sukienki, łachmany. Rzucano każdej bez doboru, niezależnie od wzrostu i tuszy. Wiele było wypadków szału wśród kobiet.

Potem spisywano personalia. Od przyjazdu do tej chwili cały dzień w wrzasku i o głodzie. Przed blokiem policzono, ustawiono, dano po ćwiartce chleba i kubku herbaty - wody na pięć ludzi. Blok z pryczami na dwa piętra, sienniki, okna z jednej strony. Zimno i pchły. Okna nie otwierały się, wejście do bloku jedno. Po paru dniach w miarę przybywania transportów liczba kobiet na bloku wzrosła do 1.050. Ciasnota, brud, wszy. Co kilka dni selekcja. Po sześciu tygodniach z 1.050 zostało jedynie 250. Przy *Zählapelu* kazał *SS-man* Taube rozbierać się i pojedyńczo biec do bloku. Sam laską okrągło zakończoną chwytał ofiary, odstawiał je na bok obok bloku, potem nago prowadzono je na blok 25, tj. blok śmierci. Napoju żadnego nie dostawały; kobiety przez zakratowane okienka wyciągały ręce i błagały o trochę wody. Z narażeniem życia podchodziło się do nich z wodą. Po paru dniach ładowano je na auta. Wywożono przeważnie w nocy, jeżeli zaś w dzień, to zarządzano *Blocksperre*. Siedzieliśmy wtedy w bloku, widzieliśmy jednak wszystko przez okienka. Blokowa niemka mogła pomóc, lub zaszkodzić. Okrutna, biła przy każdym apelu. Po kilka kobiet mdlało. Siostra moja, chroniąc się przed zimnem, miała na sobie dwie podarte sukienki. Zauważyła to niemka i wydała ją na blok śmierci. Tam przebyła kilka tygodni. Czy umarła, czy poszła na gaz — nie wiem.

Kwarantanna była wykończalnią ludzi. Czas trwania kwarantanny zależał od blokowej. Bito po twarzy ręką, pałką, lub czym się dało. Rano sprzątanie. Na ten czas wyganiano kobiety na „łąkę", plac za blokiem, gliniasty, mokry. Boso stały w błocie kilka godzin i marzły.

Ciągła selekcja, raz w bloku, raz na zewnątrz bloku. Chorych zrzucano z prycz na ziemię. Z końcem września 1943 r. znowu selekcja z krzykiem, by sterroryzować. Zdrowym kazano wynosić chore przed blok, stamtąd na wóz i na blok śmierci. Pozostałe na bloku zabrano do łaźni i tam była znowu selekcja. Została wówczas garstka, 150 osób. Nie decydował wiek, ani wygląd, poszły nawet zupełnie młode i zdrowe. Pozostałe przeznaczono do badania lekarskiego. Przez osiem dni chodziły, wystawały nago, czekając na lekarza. Znęcano się nad nimi, bijąc i kopiąc. W końcu przyjechał lekarz i ze 150 wybrał 48. Jeszcze raz powrót do łaźni, wyczekiwanie na ubranie i przesłanie do obozu pracy.

Nareszcie chodziły do fabryki amunicji, oddalonej o 4 km od Oświęcimia. O godz. 4-tej nad ranem w ciemności ustawiały się na ulicy obozu i stały tam ponad dwie godziny aż do przyjścia niemek, *capo* i straży z psami. Wtedy szły do pracy. Pracowały do 7-mej wieczorem, po czym wracały. *SS-mani* szczuli psy na wolno idące. Po drodze krzyczeli: *Saubande, Mistbiene, Horracken, verfluchte Schweine!*

W niektórych działach można było porozumiewać się z mężczyznami. U jednego znaleziono raz list od kobiety, wyciągnięto go na korytarz, robiono z nim „sport" — *auf, nieder, auf, nieder,* zabrano do osobnego pokoju, stratowano go i skopano, a w drodze powrotnej pies wlókł go za kark. Ofiara zginęła po dwu dniach.

Jeżeli która nie dość intensywnie pracowała, zapisywano jej numer i szła do gazu.

* * *

Pijaństwo z rozpaczy

W październiku 1944 r. wyjechałam z transportem 2.000 ludzi do Oświęcimia. Były tam przeważnie same kobiety, tylko kilku mężczyzn z *krankenrewiru*. Wiedziałyśmy, że jedziemy do Oświęcimia i prawdopodobnie na śmierć, ale żadna nie

chciała o tym myśleć. Za wszystkie pieniądze, jakie jeszcze miałyśmy, kazałyśmy sobie na stacjach kupić wódki i jedzenia i przyjechałyśmy do Birkenau pijane. Pierwszą noc spędziłyśmy w stajni, bez okien. Przyszli do nas obozowicze, którzy pracowali w składzie rzeczy po spalonych ludziach, w tzw. *Kanadzie*. Powiedzieli nam, że nasz transport nie był wcale awizowany, więc domyślałyśmy się, że pójdziemy na gaz. Martwiłyśmy się i zastanawiały, czy nam zgolą włosy i odbiorą buty z cholewami. Następnego dnia była selekcja, nago, przed lekarzem. Dzieci i starsze, choć zupełnie zdrowe kobiety przeznaczono do gazu.

Lb. 154.

ARON WALD

Kastracja

Około kwietnia 1943 zgłosił się do bloku 27 w Birkenau *SS-man* prof. Schuman i zabrał wszystkich chłopców w wieku od 20 do 24 lat do Oświęcimia, gdzie odbyła się ich kastracja. Wzięto wówczas razem około 3.000 mężczyzn i kastrowano ich w *Krankenbau* w Oświęcimiu, w bloku 21 (blok chirurgiczny). Najpierw ogolono, kąpano, później lewatywa (2 litry), 2 zastrzyki w kręgosłup. Operację przeprowadzano w znieczuleniu.

Ja się broniłem, chciałem uciec. Wtedy prof. Schuman powiedział: „potrzebujemy tego dla eksperymentu". Po operacji przez 48 godzin miałem okropne bóle. 90 procent pacjentów zmarło na skutek operacji. Po ośmiu dniach musiałem już iść do roboty. Przez cały ten czas pooperacyjny nie dostałem lepszego posiłku. Dziś przy oddawaniu moczu odczuwam jeszcze silne bóle.

Lb. 103.

HELENA BERMAN

Udręka

Wchodzimy do dużej hali o kamiennej posadzce i wydaje mi się, że jestem na własnym pogrzebie w hali cmentarnej.

Na mokre ciało dostaję do męskiej koszuli podarte kalesony, tzw. *Judenkleider*, stare i podarte spodnie z rosyjskiego żołnierza i takiż mundur. Wszystko brudne i poplamione. Tak wyekwipowane przechodzimy kolejno i kilka „starych więźniarek" naszywa nam numery na białych kawałkach płótna. My mamy na białym płótnie gwiazdę, a nie-Żydówki czerwony trójkąt. Dostajemy jakieś łachmany płaszczy i szmaty na nasze łyse głowy. Nie poznajemy się nawzajem. Nasze koleżanki nie-Żydówki wyglądają nieco lepiej, mają suknie w pasy i takie same żakiety. Mam wrażenie, że jestem na balu maskowym.

Za chwilę dziki ryk *anstellen* przywołuje mnie do rzeczywistości. Któraś już dostała szturchańce i kopnięcia. Stajemy w piątki. Przychodzi młoda dziewczyna dobrze ubrana, z czerwoną opaską „Blok 1" i dyryguje: *in fünf Reihen anstellen links, links, eins, zwei, drei, vier* i tak maszerujemy. Po drugiej stronie maszerują nie-Żydówki.

Po powrocie do naszego „miejsca zamieszkania" konstatujemy: blok ciemny, bez podłogi, cegłą wyścielone klatki, podobne do kurników. W tym mamy spać, na sienniku po 6—7 w jednym przedziale, który się nazywa koją. Dostajemy na każdą koję trzy koce. Jesteśmy złamane. Układamy się i wyglądamy jak sardynki w puszce, leżymy tak co trzy na poprzek i wspólnie nakrywamy się kocami. Spracowane, zmęczone, staramy się usnąć. Jednak ryk dziki sztubowej dziewki uniemożliwia zamiar. Noc przechodzi na rozmyślaniach, niektóre płaczą. W końcu usnęłam, lecz za chwilę budzi nas znowu krzyk: *aufstehen!*

Zrywamy się.

— Gdzie można się myć?

— Mycia się jej zachciewa.

Szybko apel. Stajemy przed blokiem ustawione w piątki. Zziębnięte, nie wyspane, chore z tęsknoty, stoimy w milczeniu na *apelplacu*. Śnieg mokry sypie od rana. Wchodzimy do koji. Za dwie godziny dostajemy jakiś płyn o odrażającym zapachu. To śniadanie. Nie wolno wychodzić, dopiero do pracy. Siedzimy skulone, gdyż koja jest tak niska, że w siedzącej po-

zycji trzeba głowę schylić, aby nie uderzyć się w głowę, na którą sypie się piasek z drugiego piętra.

Dowiadujemy się, że od naszego transportu zaczyna się kwarantanna. Jesteśmy wybrankami losu. Jednak mało kobiet rusza się z miejsca. Niektóre usnęły. Wiele ma zamiar odebrać sobie życie. Ale jak? Chcą wyjść, rozejrzeć się, czy można się gdzieś umyć, ale *Torwacha* nie wypuszcza. Nie wolno też iść za potrzebą. Za dwie godziny pójdziemy po 18 razem. Było to wprost okrutne, gdyż w bloku było 600 kobiet. Działy się więc straszne rzeczy, gdyż niektóre nie mogły powstrzymać się i załatwiały się do misek, z których jadły zupę. Aby załatwić się z potrzebą, trzeba było nieraz czekać do godziny 12-ej w południe na kolejkę.

Lb. 12.

FISZEL SZECHTER

Eksperyment z bliźniętami

W maju 1944 r. przybył do Birkenau Nr wytatuowany A. 5107. Zaraz po przybyciu obu braci - bliźniaków odstawiono ich na bok, do szpitala. Dziewięć razy brano im krew, mierzono paznokcie, części ciała, wszystko pod nadzorem *SS Obersturmführera-Lagerarzta.* Wiele bliźniaków (przeważnie dziewczęta) przedtem już zmarło po tych zabiegach. Bliźniaki nie otrzymały nawet normalnej racji żywnościowej i musiały ciężko pracować w kamieniołomach.

Lb. 11.

Dr OTTO WOLKEN

Opis komory gazowej

Dnia 4 listopada 1944 r. przydzieleni zostaliśmy 100 więźniów do pracy przy obsłudze w komorze gazowej i krematorium w Oświęcimiu. Komory gazowe znajdują się w piwnicach pod krematoriami. Schodzi się do nich po kamiennych

schodach. Piwnica jest podzielona na trzy części. Po stronie prawej znajduje się „rozbieralnia", jak to zwykle w łaźniach bywa, na ścianach są półki i haki. Lewa strona piwnicy to właśnie komora gazowa. Wchodzi się do niej żelaznymi drzwiami, w których umieszczona jest mała, okrągła szybka obserwacyjna. Od wewnątrz szybka ta zaopatrzona jest drucianą siatką tak, by zrozpaczone ofiary w śmiertelnej walce nie mogły jej rozbić. Druga część komory gazowej jest właściwie dużą salą (12×6 m) przedzieloną ścianką tak, że tworzy dwie ubikacje. Każda z tych ubikacji posiada wyżej opisane żelazne drzwi z okienkami obserwacyjnymi. Przy stosunkowo małej ilości ofiar pracuje się — ze względów oszczędnościowych — tylko w jednej ubikacji. Każda komora, biało ubielona, posiada dla zmylenia czujności ofiar napisy na ścianach w języku francuskim, polskim, niemieckim i holenderskim: „Przestrzegajcie czystości, nie zapominajcie o mydle i ręczniku".

Gdy tylko ofiary dostają się do komór, częścią gwałtem, częścią przez dezorientację, drzwi zostają hermetycznie zamknięte. I teraz zaczyna się właściwe działanie.

Trzy lub cztery rury gazowe mocno drutem okolone opadają z góry aż do podłogi tak, że gaz wpuszczony do piwnicy opada na dół i dostaje się przez dziury i otwory do komory. Gdy po kilku minutach (3—7), gaz kończy swoje działanie, wietrzy się ubikacje za pomocą wentylatorów, które rozmieszczone w ścianach prowadzą na powietrze.

Zagazowane trupy sprowadza się windą elektryczną do przed-krematoriów. Tu załadowane na wozy, doprowadzone zostają do pieców. Każde krematorium posiada 15, zaś dwa 18 otworów. W każdy taki otwór kładzie się po trzy trupy, które spalają się w ciągu 20 minut.

Popiół spalonych ofiar rzucano do rzeki Soły. O tym poinformowali mnie ludzie z *Sonderkommando*. Jest również pewne, że kości przerabiano na preparaty klejowe, zaś z włosów ofiar sporządzano filc.

Złote przedmioty troskliwie zbierano, głównie złote zęby, które przed śmiercią wyrywano ofiarom z ust.

Godny wzmianki jest fakt, że małych dzieci często nie gazowano, lecz kierownik krematorium *SS* strzelał je z rewolweru.

Lb. 300.

Pieśń żydowskich więźniów w Oświęcimiu*)

Wiele dni długich i nocy bezsennych
minęło od chwili naszego rozstania,
i żal wielki i smutek bezdenny
pozostał z naszego wielkiego kochania.
Do mnie należał cały świat bogaty,
a dziś jako więzień wyglądam przez kraty
In Sonderabteilung

Nocą puszysty śnieg dachy pobielił,
a potem ponury poranek grudniowy
przez szpary w zasłonach gdy zajrzał do celi,
nas zastał jak zwykle na wszystko gotowych,
ludzi co mają na czole wyryte
zaszczytne wyzwisko — żydowscy bandyci
In Sonderabteilung

Nic nas nie wabi, nic nas nie nęci,
bo przyszłość każdemu z nas dobrze jest znana,
i w jednym da słowie się streścić „Oświęcim",
w tym słowie, co boli człowieka jak rana,
każdy z nas dzisiaj stawia pytanie,
jak wielu z nas jutro w tej celi zostanie
In Sonderabteilung

Czasem marzenia fantazję mą pieszczą,
że jakiś ślad po nas już tutaj zostanie,
że wierni rodacy nam kiedyś umieszczą
kamienną tablicę na szarej tej ścianie,

*) Popularna piosenka śpiewana przez żydowskich więźniów w Oświęcimiu.

na niej zaś będą te słowa wyryte:
tu byli więzieni żydowscy bandyci
In Sonderabteilung.

(Autor nieznany).

MANIEK HERSTEIN

Ewakuacja

Do Sommberbergu przyjechał kurier z rozkazem ponownego wyjścia w drogę. Pół godziny po przejściu przez rzekę wysadzono wszystkie mosty. Kilku *heftlingów* i prowiant (oczywiście dla *SS*) pozostały jednak po drugiej stronie. Teraz ludzie coraz częściej padali z wycieńczenia po drodze, do słabszych pozostających w tyle strzelano. Nocowaliśmy w stodołach, gdzie na bardzo małej przestrzeni stłoczono nas wszystkich (z początku 500 osób). Dawano nam dziennie dwa lub trzy ziemniaki, potem tylko co drugi dzień, w końcu co trzeci tę samą rację. Chleba nie dawano nam w ogóle. Wydzielanie dawało *SS-manom* okazję do strzelania. Strzelali za nierówne stanie w ogonku, za próbę podniesienia najmniejszego kawałka łupiny.

Podsłuchałem raz w nocy przez dziurę w ścianie stodoły rozmowę dwóch bandytów niemieckich, którzy przechwalali się swoimi bohaterstwami w stosunku do nas. Dnia 17 kwietnia po dwóch dniach postu wydzielili nam ziemniaki. Po rozdzieleniu po dwie sztuki zostało w koszyku kilkadziesiąt ziemniaków. Wygłodniali nieszczęśliwcy rzucili się na nie, a wtedy bandyci zaczęli strzelać w tłum. Wyglądało zupełnie jak na wojnie. Stałem wprawdzie z boku, ale zabłąkana kula przeszyła mi szczękę i wyszła koło ucha. Dostałem krwotoku z gardła i nosa. Bez opatrunku, bez opieki lekarskiej maszerowałem dalej. W tym dniu przeszedłem 17 km, a potem jeszcze trzy tygodnie maszerowałem. Szczęściem *Obersturmführer* Falsche (który mnie postrzelił), nie widział, że jestem ranny, w przeciwnym razie byłby mnie dobił. Trzej inni, którzy zo-

stali również postrzeleni, jeden tylko w rękę, zostali na miejscu dobici.

Naszym pożywieniem była trawa, szczaw, liście z drzew i surowe zgniłe łupiny. Nawet za to strzelano. Taki sam wymiar kary był za picie wody z rynsztoków, bagien, kanałów. Nie wiem, w jaki sposób to przetrzymałem. Do głodu przyłączyła się biegunka, która nas wykończała. Z końcem kwietnia i początkiem maja padały śniegi. Nocowaliśmy pod gołym niebem, a marsze w dzień boso po śniegu dziesiątkowały nas.

Lb. 159.

DANIEL FISZGARTEN

Statystyka

W sierpniu 1944 wywieziono cały kielecki obóz. Wtłoczono nas po 100 osób do wagonu. Wieziono nas do Buchenwaldu 16 dni. Po drodze z 500 umarło 200 z uduszenia i z głodu, bo na 20 osób dawano bochenek chleba raz na dwa — trzy dni.

Lb. 86.

KÖNIGSBERG

ELZA WEINHEBER

Śmiertelny bieg

Styczeń 1945. O 1-ej w nocy kazano nam ustawić się piątkami. Dwie godziny staliśmy na miejscu. Chorych wzięto na „rewir". Zaczęto nas popędzać, jak przypuszczaliśmy, w stronę morza. Zebrało się dużo *wachmanów*. Kolumna była mocno obstawiona, bito nas kolbami, kto nie mógł szybko iść, tego strzelano. Już w hali zostało dużo trupów.

Kobiety trzymały się za ręce, by nie pogubić swych piątek i tak biegłyśmy. Po 35 km nie mogłam więcej biec. Nogi strasznie mi spuchły. Rzuciłam się w głęboki śnieg, starałam się nie oddychać i leżąc twarzą w śniegu, udawałam trupa.

Przechodzący niemcy ściągnęli ze mnie płaszcz i sprzeczali się, czy jeszcze żyję. Szczęściem poszli. Leżąc, słyszałam strzały, tuż, tuż, obok mnie. Leżałam tak może dwie godziny, aż cały pochód przeszedł. Byłam zupełnie skostniała. Gdy uciszyło się, wstałam i zobaczyłam wokół siebie pełno trupów, kobiet i mężczyzn.

Lb. 19.

PINKAS ABRAMOWICZ

Gdy Amerykanie zbliżali się

18 stycznia 1945. Przeżyliśmy już dwa dni bez pracy. W południe tego dnia był apel *SS*, które okrążyło całą grupę więźniów i setkami rozpoczęliśmy marsz. Każdej setki więźniów pilnowało 12 *SS-manów*. Maszerowaliśmy w wielki mróz, w ciągu 24-ech godzin zrobiliśmy 80 klm, bez przerwy, bez posiłku. Droga usiana była trupami. W nocy była wichura, mróz dochodził do 30 stopni. *SS-mani* ustawali, ale zabierało ich auto. Wypoczynek był pod gołym niebem w rozwalonej cegielni. Nie otrzymaliśmy posiłku. Maszerowaliśmy dalej 24 godzin, aż zaszliśmy do Gliwic. Zagnali nas do tamtejszego obozu. Na jednej pryczy było pięciu więźniów. Raz jeden dostaliśmy rzadką zupę-wodę. Załadowano nas do wagonu po 100 ludzi. W ciągu 11 dni dostaliśmy dwa razy po bochenku chleba i odrobinie margaryny. W ciągu jazdy zbieraliśmy na postojach trochę śniegu do picia, ale niemcy za to strzelali. Zmarłych wyrzucano w biegu przez okno. Z 21.000 ludzi zostało 7.000.

W miarę zbliżania się wojsk amerykańskich wieziono nas dalej w nieznane w ciągu 19 dni, przez Austrię, Niemcy i Czechy. W czasie bombardowania i ostrzeliwania z karabinów maszynowych trochę ludzi zbiegło. W wagonach *SS* nie ustawało w znęcaniu się nad nami. Wszyscy na komendę musieli schodzić i załatwiać swoje potrzeby. W każdym wagonie siedmiu uzbrojonych *SS* strzegło więźniów. Wreszcie dowieziono nas do Mauthausen. Tam rozebrano nas do naga, kąpano i wsadzono

do baraku, po pięciu na jednej pryczy. Grożono nam kamieniołomami, ale zamknięto nas w barakach, dawano kromkę chleba i trochę zupy-wody na dzień. Więcej się nami nie interesowano.

Lb. 75.

RENIA TAUBENBLAT

Przed wyzwoleniem

Wyszłyśmy z Lipska kilka dni przed zajęciem miasta przez wojska aliantów. Uciekamy przed upragnioną wolnością, o której śnią serca nasze tak długo już, idziemy bez odpoczynku, nocami i dniami. Pilnują nas dobrze katy w zielonych mundurach *SS* i *Aufseherki* z kijami. Jesteśmy głodne. Na polach zieleni się słodki rzepak, nęcą nas surowe ziemniaki w szarej ziemi, łodygi rabarbaru. Piątki rozlatują się nagle i tłum głodnych dziewcząt rzuca się na pole rzepakowe. W ciągu jednej minuty pole zniszczone jest przez *Haeftlingów*, którzy znowu idą piątkami naprzód, gryząc słodkie łodygi. *SS* nie może jednak patrzeć spokojnie na zniszczenie niemieckiego pola. Zdejmuje karabin i strzela. Najpierw w powietrze, potem w *Haeftlinga*. Najgorzej gdy po drodze stoi kopiec z ziemniakami. Wtedy rzucają się wszystkie, nawet najmniej odważne. Napychają kieszenie i torby, niebaczne na *SS*. I znowu ktoś zostaje przy kopcu.

Przechodzimy przez miasta Grimma, Wurzem, Oschatz, Strehla, Meissen, Riese. W przeciwnym kierunku ucieka niemiecka ludność cywilna. Pewnego dnia zdarzył się straszny wypadek, który wyrywa nas z otępienia. Po deszczowej nocy, podczas której leżałyśmy na trawie obok drogi, idziemy dalej. Po godzinie kilkuminutowy odpoczynek, bo kobiety dalej nie mogą iść. Siadają piątkami wzdłuż drogi. Nie widzimy nic, mamy mgłę przed oczyma, które się same zamykają. Nagle nadjeżdżają czołgi niemieckie. Zrywamy się szybko, ale nie wszystkie. Trzy kobiety nie zdążyły wstać. Matka z dorosłymi córkami. Przejechał po nich bezlitośnie czołg i pozostawił krwawe strzępy ludzkie na drodze.

Wędrujemy dalej. Przeprawiają nas przez Łabę barką. Przez chwilę w sercach lęk, że utopią, a potem myśl: wszystko jedno! — i tak nie mamy już sił. Nad nami bombowce Sprzymierzeńców, lotnicy nie wiedzą, że to więźniowie i strzelają z karabinów maszynowych. Rzucamy się na ziemię, transport rozbija się w mig. Samoloty nad naszymi głowami. Kule gwiżdżą koło ucha. — „Boże ocal nas, daj przeżyć".

Samoloty odlatują. Podnosimy się z ziemi i idziemy dalej. Nocami przechodzimy przez miasta. Dziwne tajemnicze światła, rakiety, szum aparatów nad głowami i bomby. — Naszym mieszkaniem są lasy, posłaniem gałęzie i trawa.

Rozpalamy ogniska i gotujemy „zupę" z pokrzyw, czasem nawet i z ziemniaków, buraków lub karpieli, wykopanych szybko z ziemi, kiedy *posten* nie widzi.

Niemcy otoczeni są ze wszystkich stron. Nie mają dokąd nas gnać. Na miejsce postoju wybierają las na stromej górce. Otaczają nas straże. I tam siedzieliśmy trzy tygodnie, okropne, deszczowe, bez promyka słońca, z tęsknotą oczekując wyzwolenia.

Lb. 99.

PO MIASTACH I MIASTECZKACH

KRAKÓW

JULIAN GROSS

Okrucieństwa

Dnia 5 grudnia 1939, podczas pamiętnej obławy na Kazimierzu, wujek mój Maksymilian Redlich był w biurze *Judenratu* na Krakowskiej, gdzie pracował jako urzędnik. Około godziny 7-ej rano *SS-mani* obstawili gminę i zażądali wydania trzech urzędników. Każdy się bał, nikt nie chciał wyjść, bo na ulicy strzelali. Wkońcu wujek zdecydował się z nimi pójść. Zaprowadzili go do bożnicy przy ul. Izaaka, kazali podpalić tory i bóżnicę. Wujek odmówił. Za odmowę został zastrzelony. Następnego dnia przyszedł do mieszkania jego *SS-man* i powiedział do brata: „Pańskiego brata zastrzelono" i kazał mu potwierdzić zawiadomienie o śmierci. Podczas pogrzebu wujka zauważono na cmentarzu starszego Żyda, który kręcił się wśród grobów. Był obłąkany. Jak się okazało 5-go grudnia złapano go na ulicy i zaprowadzono do gazowni. Po drodze schwytano małego chłopca, którego w gazowni rozebrano i rzucono na rozpalone żużle, a starcowi kazano posypywać go gorącym popiołem. Chłopak spłonął na węgiel, starzec zaś oszalał.

Tego samego dnia córkę właściciela składu zabawek rozdarli pogrzebaczem w poszukiwaniu złota. Pochowano ją w ten sam dzień co wujka.

Na ulicach Krakowa ciągle filmowano. Np. złapali Żyda z brodą, wcisnęli mu rewolwer do ręki, kazali trzymać *S. A.-mana* mocno za szyję i kierować rewolwer wprost na niego.

Lb. 29a

Mgr. LEON SALPETER

Rewizje i aresztowania

Grudzień stoi pod znakiem nieustających rewizji i aresztowań. Punktem kulminacyjnym jest zamknięcie i obstawienie całej dzielnicy żydowskiej przez *SS-owców*, które trwało

dwa dni. W przeciągu tego czasu odbywały się rewizje i grabieże po wszystkich mieszkaniach żydowskich. Zabierano kosztowności, bieliznę, odzież, wszystko co przedstawiało jakąś wartość. Żydów kręcących się po ulicach w tej dzielnicy, jakoteż poza nią, sprowadzono do lokali, przeważnie szynków i restauracyj w dzielnicy żydowskiej, gdzie poddano ich szczegółowej rewizji.

Kobiety były badane ginekologicznie przez *SS-manów* i *agarów*. Po przeprowadzeniu rewizji wystawiano nagich ludzi na widok publiczny. Nie obeszło się także bez ofiar. Strzelano do opornych, zabijano za ukrywanie przedmiotów wartościowych.

Przez pierwszych kilka miesięcy życie płynie w ghetcie względnie spokojnie. Zdawało się, że ten nowy porządek utrzyma się do końca wojny. Niestety optymiści doznali rozczarowania.

Zaczynają się branki. W nocy zjawiają się milicjanci żydowscy w domach, zabierają i aresztują wedle listy, sporządzonej przez gestapo. Następnego dnia po aresztowaniu zjawia się przedstawiciel gestapo, który zabiera wszystkich aresztowanych. Ginie po nich wszelki ślad. Po kilku tygodniach otrzymują rodziny urzędowe zawiadomienie o śmierci niektórych.

Pieczątki i niebieskie kartki

W czerwcu 1942 dostaje prezydium żydowskiej gminy polecenie przygotowania sali w budynku *J. S. S.* Mają być dwie sale, maszyny do pisania, stoliki. Termin wyznaczono na sobotę i niedzielę. Zgłosić się mieli wszyscy ze swoimi dowodami pracy. Zgłosili się masowo. Straż *O. D.* pełniła służbę. Nie wiedziano, że prowadziło to na śmierć. Ale zapanowała panika. Ludzie bez pracy bali się, bezrobotnym nie dano pieczątek na *Kennkarcie*, a także nie wszyscy pracownicy otrzymali pieczątki, zależało to wszystko od urzędnika niemieckiego.

Komisyj bvło kilkanaście (urzędowali przedstawiciele

z *Arbeitsamtu* i jeden gestapowiec). Robotnikom tego samego warsztatu przy jednym stoliku dawano pieczątkę, a przy innym odmawiano. Rządził los i przypadek.

Po kilku dniach *O. D.* dostało polecenie, by w nocy sprowadzić wszystkich bez pieczątek, na jedno miejsce. Kilka tysięcy osób podlegało wysiedleniu. Ponieważ jednak akcja prowadzona przez *O. D.* nie dała niemcom wyników zadowalających, uczyniono odpowiedzialnym prezesa gminy żydowskiej Dra Rosenzweiga i na polecenie władz niemieckich przeznaczono go wraz z rodziną na wysiedlenie. We środę pod wieczór wyprowadzono około 5.000 Żydów w niewiadomym kierunku. Jak się jednak wkrótce okazało, wszyscy poszli na śmierć.

W piątek tego samego tygodnia nowe polecenie władz, by przygotować tę samą salę i stoliki. Wszyscy Żydzi mają się zgłosić w sobotę z dowodami pracy i *Kennkartami* i tym razem zamiast pieczątek otrzyma każdy szczęśliwiec niebieską kartkę.

W sobotę rano zaczyna się nowa rejestracja, która polega na badaniu dokumentów. Ci, którzy kartek niebieskich nie otrzymali, zostają zatrzymani w ogródku przylegającym do budynku, skąd grupami wyprowadza się ich na plac „Optimy". Przetrzymuje się ich tu do następnego dnia. Ukazuje się zarządzenie władz, że każdy w ghetcie bez niebieskiej kartki będzie rozstrzelany.

Wysiedlenie i ścieśnienie ghetta

W niedzielę w południe wyprowadza *SS* policja niemiecka kilka tysięcy osób. Zabiera się dzieci rodzicom i rodziców dzieciom. W czasie akcji strzelano. Byli ranni. Również w szpitalach przeprowadzano kontrolę dokumentów.

Bezpośrednio po „wysiedleniu" ścieśniono ghetto. 10.000 Żydów wysiedlono. *Stadthauptmann* poleca gminie likwidować mieszkania żydowskie znajdujące się przy ul. Rękawka, części Węgierskiej, Czarneckiego, Krakusa od strony Magistratu oraz po parzystej stronie Limanowskiego. Reszta mieszkających w tej dzielnicy miała się przenieść do zmniejszonej dziel-

nicy żydowskiej. W tym celu ustanawia gmina żydowska biuro kwaterunkowe, które zajmuje się uregulowaniem stosunków mieszkaniowych w zmniejszonym ghetcie. Ciasnota...

Drugie wysiedlenie

Dnia 27 października w nocy obstawiono ghetto wojskiem i policją niemiecką. Wśród Żydów wybuchła panika, gdyż zdają sobie sprawę, że nadchodzi znów wysiedlenie. Małej garstce udało się w nocy kanałami wydostać z ghetta. Rano 28-go czytamy obwieszczenie, że wszyscy Żydzi winni zgłosić się przed *Arbeitsamtem* placówkami. Zjawiają się tam funkcjonariusze gestapo, którzy przeprowadzają selekcję. Grupę przeznaczoną do wysiedlenia gromadzono na placu Zgody, reszta poszła do pracy. Przeważnie wybierano starszych, ale poszli nawet kierownicy działów bez uwagi na fachowe wykształcenie. Ponieważ liczba przeznaczonych do wysiedlenia nie była zadowalająca, gestapo obwieszcza, że ghetto ma zostać *judenrein*. Było to w południe. Chciano w ten sposób wypłoszyć Żydów ukrywających się po piwnicach i norach. Cel został osiągnięty. Odesłano na plac Zgody jeszcze około 1500 Żydów, osiągając cyfrę ogólną 6.000 i ci wysłani zostali o godz. 5-tej po południu tegoż dnia na dworzec w Płaszowie, skąd pojechali w bydlęcych wagonach do Bełżca. Gestapo zgodziło się, by opieka społeczna przy gminie żydowskiej wysłała żywność, chleb i zupę dla straceńców. Ci, którzy wrócili z roboty, nie wiedzieli, że ukryci w norach zostali zabrani. Lament i płacz.

Wysiedlono szpitale, sierociniec, bursę, azyl, Montelupich i wzięto ludzi z okolicznych *lagrów*. Po tym wysiedleniu znów rozporządzenie o zmniejszeniu ghetta, w którym zostało około 10.000 Żydów. Wysiedlenie objęło kierowników „Optimy" i firmy Madritsch. Mają być zlikwidowane mieszkania żydowskie, ulice żydowskie znajdujące się po drugiej stronie pl. Zgody (t. zw. Ukraina), Dąbrowskiego, Janowa Wola, część Lwowskiej (gdzie *wacha*). Wysiedleniem październikowym kierował okrutny *Sturmbannführer* Haase i *Obergruppenführer* Scherner.

Trzecie wysiedlenie

W niedzielę 14-go marca 1943 r. wmaszerowała do ghetta kompania wojsk *SS* z Haasem i Goethem na czele. Byli również obecni referenci dla spraw żydowskich: Kunde, Heinrich i Neumann, którzy przechodzą do odcinka ghetta B., a w międzyczasie wszyscy Żydzi, którzy mieszkali w odcinku B. gromadzą się na placu Zgody i czekają na wyrok. Nadjeżdżają auta, które zabierają kolejno Żydów. Równocześnie padają strzały na pl. Zgody. Inni *SS-owcy* wchodzą do szpitali, ogólnego i epidemicznego i dla nieuleczalnie chorych. Zbiry strzelają wszystkich chorych w szpitalu, pielęgniarzy i lekarzy. Zabijali też każdego Żyda napotkanego w odcinku A. Na pl. Zgody odbywa się segregacja. Goeth wybrał 150 mężczyzn, którzy mieli być przeznaczeni do likwidacji ghetta i do *lagru*. Haase uważa, że jest ich za dużo i wydaje polecenie, by 75 wykończyć.

W odcinku B. było około 2.500 Żydów młodych, starych i dzieci. *Tagesheim* liczył około 250 dzieci, które zostały wyprowadzone na plac Zgody. Na miejscu zastrzelono wtedy około 700 Żydów, około 2.000 wysłano do gazu do Oświęcimia. Ażeby się nie łudzili i wiedzieli, że idą na śmierć, zabrano im wszystkie pakunki, które mieli ze sobą i zostawiono je na pl. Zgody.

Plac Zgody i okoliczne podwórza zasiane były trupami. Kogo odrazu nie zabito, dobijano. Matki z dziećmi w objęciach padały przeszyte kulami.

Taki był ostatni akt tragedii Żydów przebywających w ghetcie krakowskim. W niedzielę po południu nowy rozkaz *SS*, by usunąć zwłoki ze szpitali, z podwórzy i placu Zgody. Usuwanie trupów trwa cały dzień poniedziałkowy. Ciała rzuca się na furmanki i wywozi na cmentarz w Płaszowie.

Lb. 193.

ABUSCH WACHSMAN

Wyrwany z kolumny śmierci

W akcji czerwcowej 1942 r. zginęło 9.000 Żydów. Ja również znalazłem się w transporcie do Bełżca, gdyż nie otrzymawszy niebieskiej kartki, zgłosiłem się na plac „Optima" do-

browolnie do wysiedlenia. Na placu znajdowało się około 4.000 Żydów, którzy bez jedzenia i spania siedzieli przez 36 godzin w strasznych warunkach. Panował niebywały żar. Nie dopuszczono ani jedzenia ani wody. Rewidowano ludzi, szukano pieniędzy i złota. Nikt z obecnych na placu nie wiedział, dokąd transport idzie i nie wierzył, by szedł na stracenie. Gdybyśmy byli poinformowani, wielu z wysiedlonych mogłoby się ratować. Przed wymarszem ustawiono wszystkich na ul. Węgierskiej piątkami i pod silnym kordonem *Schutzpolizei* kondukt ruszył ul. Limanowskiego, Wielicką, Wolą Duchacką do Prokocimia na rampę załadowczą.

Tu ujrzeliśmy wagony ciężarowe, doczepione do pociągu, który wiózł Żydów z okolicznych miasteczek (Jędrzejów, Słomniki, Miechów).

Przed załadowaniem nas do pociągu, zjawili się oficerowie z gestapo, wysegregowali spośród nas 86-u mężczyzn, wśród których i ja się znalazłem. Zaprowadzono nas do *Arbeitslagru Julagu*, gdzie przemówił do nas Klima: *„Ihr seit mit einem blauen Auge davongekommen. Jetzt heisst es arbeiten und Arbeit heisst leben"*. Wtedy dopiero zrozumieliśmy, że transport, który pozostał na kolei przeznaczony jest na śmierć.

Lb. 88.

HENRYK MEISEL

W kanale

Dnia 13 marca 1943 gdy nastąpiła likwidacja, postanowiłem nie iść do Płaszowa, gdyż byłem poszukiwany. Wybrałem drogę do miasta przez kanał. Droga to nie najwygodniejsza. Trzeba było skoczyć w dół z wysokości 5 metrów do wody po kolana. Posuwać się naprzód może tylko człowiek zgięty, pochylony do połowy. Było nas pięciu kolegów i jeszcze dziesięć osób, niektóre z dziećmi na rękach. Podczas drogi jedno dziecko zmarło z uduszenia. Ja zemdlałem dwa razy, upadłem do wody. Kanał zbudowany był w ten sposób, że po obu bokach był występ na stopę, a w środku była woda. Smród i ciemności egip-

skie. Latarka wypaliła się bardzo szybko, a zapałek było niewiele. Po godzinie posuwania się ujrzeliśmy słabe światełko — klapa kanałowa. Podnoszę klapę palcami, nad głową przejeżdża tramwaj. Zamykam klapę i idziemy dalej. Jeszcze dziesięć minut i drugi otwór. Wspinam się po schodkach i widzę, że jestem na Zabłociu, koło stacji. Jest trzecia po południu. Na bocznicy stoi pusty wagon, wchodzimy do środka i czekamy, aż będzie zmrok. Wieczorem udajemy się w stronę Wisły.

Lb. 22a.

NATALIA WEIN

Obrazek z więzienia

Skierowano mnie na podwórze, skąd zdaleka widać było duży prostokątny kurnik, z boków i z góry odrutowany. Tam więźniowie-skazańcy bez złudzeń przechadzali się i rozprawiali o wszystkim, odległym od tego, co wtedy było naszym udziałem. Kiedy porównywałyśmy nasz los więzienny z losem „szczęśliwych", „wolnych" ludzi ghetta, widziałyśmy raczej różnicę tylko stopnia. Tutaj był maleńki prostokąt ziemi i powietrza, tam trochę więcej przestrzeni. Było to więzienie w więzieniu. Ale w ghetcie nie słyszałam tak często oderwanych od rzeczywistości rozmów, ani nie przeżyłam tak szczerego darzenia się nawzajem dobrymi uczuciami. Na tym małym skrawku gruntu zebrało się dużo inteligencji, która ze świadomym uporem pragnęła krótki okres dzielący ją od końca przebyć w atmosferze ulubionych spraw, wznieść się ponad klęskę, przeobrazić rzeczywistość wbrew woli morderców.

Jednego dnia nadeszła wiadomość, że za kilka dni pójdzie transport na stracenie. Sto kilkadziesiąt kobiet przyjęło tę wiadomość na ogół z względnym spokojem. Nastały dziwne dni skupienia i kontemplacji. Dziewczęta opowiadały wiele ze swojego życia. Opowiadały o jasnych chwilach, o swoich ukochanych. Gdyby właśnie wtedy na brudnych siennikach, w ponurych celach z zakratowanymi oknami, niemieccy zbrodniarze dokonali mordu, śmierć nie byłaby tak ciężka. Były one pogrą-

żone w stanie dobroczynnej narkozy, opancerzone przed śmiertelnym strachem.

W dwa dni później odszedł transport śmierci więźniów „na papierach", inne zostały jeszcze, oczekując swej kolejki. Były godziny w ciągu dnia, kiedy wychodziło się na przechadzkę, na skrawek prostokątny, po którym dreptali więźniowie i więźniarki. Z upragnieniem oczekiwaliśmy tej chwili, kiedy klucz przekręcał się w zamku i równocześnie słyszało się: „Można wychodzić". Z poszczególnych cel wysypywali się mężczyźni i kobiety. Zachłannie czerpało się powietrze. Przez tę chwilę odżywała wola życia. Najczęściej jednak zdarzało się, że po kilku minutach przybiegał jeden z *OD* i zaganiał całą gromadę więzienną do cel, bo gestapo, referenci *Judenfrage* są na dyżurce.

Wbiegało się wtedy jeden poprzez drugiego. Byliśmy zdumieni, gdy pewnego razu podczas chodzenia tam i z powrotem, zobaczyliśmy kilku gestapowców podchodzących wprost ku nam. Kazano nam zostać na miejscu. Nie można się było cofnąć do celi. Dwaj gestapowcy przyszli badać stan więzienny. Wiadomo było, że w jednej z męskich cel znaleziono piłkę do przerzynania drutów. Podejrzenie padło na dwóch młodych ludzi. Wywleczono ich na środek promenady więziennej. „Bijcie się nawzajem", brzmiał rozkaz. Zaczęła się walka. „Mocniej", zawołał jeden gestapowiec, a drugi kopał ich i bił z całej siły. Widowisko trwało tak długo, aż obie ofiary, omal bez życia, leżały na ziemi. Później nałożono im kajdany na nogi i zmuszono do skakania wśród drwin i śmiechu gestapowców. Znieruchomiałe przesiedziałyśmy całą noc. Na drugi dzień wyciągnięto dwóch młodzieńców z celi. Nie wrócili więcej. Von Mallotke kazał ich wykończyć. To ten, który musi stracić własnoręcznie kilku Żydów, by móc z apetytem zjeść obiad.

Był jeden więzień, który pocieszał całe społeczeństwo więzienne. Usiadłyśmy więc w naszym kącie na bulwarze żydowskiego więzienia, jak nazywałyśmy nasz opłakany deptak i rozprawiałyśmy. Więzień pocieszał nas jak mógł. Mówił, że przemoc będzie złamana i mordercy nasi zapłacą za wszystko.

Zagnane do naszych cel, wróciłyśmy na prycze. Najtrudniejsze były noce. Kobiety ulegały wtedy strasznej obawie przed nadchodzącym dniem. Popadały w ataki histeryczne, nerwowe, sercowe. Komendantki krążyły z lekarstwami i słowami otuchy. Rano dowiedziałyśmy się, że nasz więzień zdobył podstępem truciznę i zażył ją.

Lb. 250.

ROMAN KRAFTLOS

Akcja na Placu Zgody.

Dnia 14 marca 1943 roku byłem obecny przy ostatecznej likwidacji ghetta krakowskiego. Rodziców moich wywieziono już poprzednio w kierunku wschodnim, więc do Bełżca albo Majdanka. Zostałem z młodszym bratem.

Ogłoszono, że mamy się stawić o szóstej rano na Placu Zgody. Plac otoczono kordonem policji, zajeżdżały motocykle i auta z oficerami policji. O godz. 9-tej nadciągnęła formacja *SS*, która czekała. Wszystkie wejścia zastawiono kozłami i drutem kolczastym. Na plac wpadają *SS-mani* i zaczyna się popłoch. Biją kobiety i dzieci, które stoją oddzielnie. Zmuszają do zrzucania na ziemię tobołków, zabranych zgodnie z ogłoszeniem. Zaczynają bić mężczyzn. Ludzie nie mają miejsca ani możliwości ucieczki. Tłoczą się jedni na drugich i tratują.

Upadłem na ziemię i nie mogłem się podnieść. Ktoś mnie bił po głowie. Leżąc, ściągnąłem ze siebie plecak i wstałem. Ustawiano wszystkich w szeregi i zaczęła się segregacja. Zaczęto od ul. Lwowskiej. Komendant Goeth wybrał 200 mężczyzn fachowców i odstawił ich na bok. Ale przyszedł szef Haase i orzekł, że to za dużo. Znów segregacja tych dwustu. Wybrano grupę starszych kobiet i poprowadzono do bramy dużego domu przy ul. Wita Stwosza. Po chwili rozległy się stamtąd strzały.

Pierwsze wyprowadzono za bramę kobiety z dziećmi i załadowano na auta. Nie można opisać wszystkiego. W popłochu zgubiłem brata i nie wiem, co się z nim stało. Z mojej grupy wybrano nas dwudziestu do pracy i odprowadzono na *Ord-*

nungsdienst. Po dwóch godzinach, gdy akcja była już zakończona, wyprowadzono nas na plac do robienia porządków. Oprócz nas było jeszcze 60 ludzi, pozostałych z grupy 200 fachowców. Naprzód sprzątaliśmy plac, gdzie leżały pozostawione przez Żydów tobołki i plecaki. Wszystko poszło do budynku *Möbelbeschaffungsstelle*. Rozdzielono nas na grupy do sprzątania poszczególnych miejsc. Poszedłem z moją grupą na podwórze domu, gdzie leżało 15 starszych kobiet, zastrzelonych podczas akcji. Przyszedł rozkaz, żeby wszystkie zastrzelone kobiety rozebrać do naga. Musieliśmy to robić. Potem wkładaliśmy trupy na platformę. Na drugim podwórzu leżeli pokotem zastrzeleni mężczyźni, wśród nich wielu młodych. Dwóch było żywych. Jednego udało się nam ukryć, drugiego zastrzelono w ten sposób, że kazano mu się położyć twarzą do ziemi i strzelono w tył czaszki. Przeważnie wszyscy mordowani byli w ten sposób.

Lb. 119.

SAMSON KONIGSBERG

Łup

Po akcji 14 marca 1943 roku nadszedł oddział więźniów z obozu, jako *Säuberungskolonne* pod fachowym kierownictwem *SS* Ritschka i towarzysza jego Zugsbergera, aby oczyścić byłe ghetto. Chodziło o grabież majątku po wysiedlonych i złożenie go w punktach zbornych. „Oczyszczanie" odbywało się ulicami i obejmowało każdy dom od strychu aż do piwnicy. Ponadto trzeba było w każdej izbie opukać ściany, zrewidować piece i rury do pieczenia w poszukiwaniu za ukrytymi skarbami. Punktami zbornymi są wolne budynki w dzielnicy, a więc meble składa się przy ul. Węgierskiej, pościel, bieliznę i szmaty przy ul. Józefińskiej, żelazo, blachę i piece żelazne przy ul. Targowej. Robota odbywa się „planowo".

Warto zajrzeć do takiej składnicy. Doznaje się wrażenia, że znajdujemy się w domu towarowym, tylko że właściciele towarów są już na drugim świecie. W jednym budynku mieści się składnica naczyń kuchennych. Dom obok, to składnica szkła

i porcelany. Idę dalej na drugie piętro. I tu oczom nie wierzę. Pokoje urządzone, jakby wystawa w sklepie. Angielska, niemiecka, czeska i polska porcelana, kryształy i fajanse. Zasłużeni dygnitarze spod znaku trupiej główki wybierają sobie co chcą. Zrozumiałem, że rzeczy nagromadzone w składnicach *SS* wywożą.

Lb. 353.

Dr MATYLDA ŁÓW

Akcja w szpitalu

Ludzi zastrzelonych na ulicy złożono na podwórzu szpitalnym w liczbie kilkuset. Nie pozwolono ratować ludzi, którzy postrzeleni jeszcze żyli. Kilka samobójczyń przywieziono jeszcze żywe na podwórze szpitalne, lecz ratować ich nie pozwolono. W czasie wysiedlania zabrano wszystkich pacjentów. Już w nocy dyrekcja dostała nakaz wydania chorym ubrań. Na drugi dzień w południe nie było już nikogo.

Nieliczne porody odbywały się na oddziale chirurgicznym. Dzieci zatruwano najpierw morfiną, później w braku trucizny nie podwiązywano pępowiny. Przerwania ciąży robiono często.

Lb. 211.

Przez okno tramwajowego wozu*)

Gdy tramwaj „trójka“ zjechał z mostu i był już na Podgórzu, konduktor powiedział głośno: „Proszę, żeby wszyscy zeszli z pomostu do środka, nie wolno patrzyć w okna“. Wszyscy struchleli, wiedzieliśmy, że nastąpi coś strasznego, lecz nikt nie wiedział co. Pomimo zakazu stanąłem sobie tak, że widziałem doskonale przez okno wozu tramwajowego, co się działo na ulicy. Na Placu Zgody leżało około 30 trupów nakrytych celtą. Gestapowcy strzelali do kogo im się podobało. Trupy pomordowanych Żydów pławiły się we krwi. W pewnym momencie

*) Z opowiadania Polaka naocznego świadka, podała Zofia Hradowa

widziałem, jak dwoje dzieci leciało z trzeciego piętra, związane razem. Nieco dalej wyskoczyła kobieta z trzeciego piętra, przyciskając maleńkie dziecko do piersi. Przy wyjściowym i wejściowym murze ghetta stali gestapowcy z automatami i siekli z nich do wsiadających do aut Żydów. Ładowano mężczyzn i kobiety, wielu likwidowano na miejscu. Pomimo, że tramwaj pędził jak szalony i jazda trwała trzy lub cztery minuty, mnie się zdawało, że wieki upłynęły. Słychać było rozdzierające krzyki rozpaczy i bardzo częstą strzelaninę. W tramwaju panowała cisza mrożąca krew. Na twarzach kobiet i niektórych mężczyzn widziało się łzy, a dzieci tuliły się do nóg starszym osobom i, aby nie słyszeć, zatykały uszy paluszkami. Jak długo żyć będę, momentu tego nie zapomnę.

Zaszedłem do znajomych. Byłem u nich może godzinę, bo trzeba było wracać do domu. Zobaczyłem auto niemieckie Czerwonego Krzyża, które jechało od strony Skawiny. Wysiadło z tego auta kilka osób, wojskowi i kobiety, a między nimi jeden Żyd, który musiał robić to, co mu kazano. Grupa ta zatrzymywała się przy każdej zastrzelonej ofiarze i Żyd musiał zawiązywać przygotowaną szmatą twarz zastrzelonego, niemki zaś ze śmiechem i drwinami zabierały ofiarom zegarki, pierścionki, futra i płaszcze, buty i kapce. To zawiązywanie szmatami twarzy nieszczęśliwych ofiar miało prawdopodobnie zapobiec ewentualnym próbom robienia zdjęć fotograficznych.

Lb. 197.

MIECZYSŁAW PEMPER

Zbiry przedstawiają się

Do głównych szefów należeli gestapowiec Kerner i jego przełożony Heinemayer z działu politycznego *S. D.* w Krakowie przy ulicy Pomorskiej 2, który sporządzał listy straceńców mordowanych wprost na Montelupich we więzieniu, albo wysyłanych do Oświęcimia z notatką P. V. *(politisch verdächtigt).* Był dalej referent *Zollfahndungstelle* Wagner (urzędu ści-

gania przestępstw skarbowych i dewizowych z siedzibą przy ul. Sarego 2).

W czerwcu 1942 podporządkowano wszystkich Żydów wyłącznej kompetencji *SS*. Ustawa czerwcowa była podstawą „prawną" przeprowadzanych wysiedleń, likwidacji mienia, zsyłki do obozów pracy i koncentracyjnych.

Trzej oprawcy

Unterscharführer-SS Pilarzik miał lat około 28, przystojny, wysokiego wzrostu, szczupły blondyn, zadebiutował w krwawym wysiedleniu w Krakowie 28 października 1942, gdzie, jak opowiadał, po raz pierwszy zobaczył tylu Żydów naraz. Był to alkoholik, chory na żołądek. Po wysiedleniu październikowym był prawie do końca referentem żydowskim. Gdy przyjeżdżał do ghetta, ulice pustoszały. Pierwszą większą jego akcją było wystrzelanie grupy młodych robotników, wracających z budowy baraków na ul. Jerozolimskiej do ghetta, za oddalenie się od kolumny. Szalał szczególnie podczas większych akcji ghetta.

Goeth Amon (Leopold) *Untersturmführer SS*, około 2 m wysokości, ponad 100 kg wagi, o potężnej budowie ciała, był współorganizatorem obozów śmierci w Bełżcu, Treblince, Sobiborze. 13 lutego 1943 przeniesiony do *SS Polizeiführer im Distrikt Krakau* do przeprowadzenia specjalnego zadania, likwidacji ghetta w Krakowie, czego dokonuje 13 i 14 marca 1943 r. Niszczy ghetta w Tarnowie, Rzeszowie i Przemyślu 1 września 1943. Jest głównym winowajcą śmierci kilku tysięcy Żydów w Płaszowie, wychowuje podległych sobie *SS-owców* w duchu sadyzmu, bezkarności i zbrodni.

Hujer Albert *Oberscharführer SS*, o wzroście więcej niż średnim, blondyn, mocnej budowy ciała, brał udział w likwidacji ghetta w Krakowie 13 marca 1943, szalał w szpitalu przy ul. Józefińskiej 14. W Płaszowie był bezwzględnym i zimnym mordercą, strzelał z uśmieszkiem do bezbronnych ludzi. Przez

długi czas wykończał transporty Polaków i Żydów z Montelupich. Miał bliznę na wardze po ranie zadanej mu scyzorykiem przez idącego na śmierć więźnia z Montelupich.

Lb. 251.

ALEKSANDER SALOMONOWICZ

Tortury

Widziałem jak znęcano się nad ofiarami przez bicie szpicrutą przeważnie w twarz i oczy. Torturowano różnymi ćwiczeniami cielesnymi, wieszano w tyle związanymi rękoma na słupkach, przy czym bito drągami, sztabami żelaznymi aż do nieprzytomności.

Lb. 65.

JÓZEF KAPOTA

Fragment

Od lata 1942 pracowałem w warsztatach samochodowych Gestapo przy ul. Konarskiego. Podczas wysiedlenia z Krakowa, pracowników warsztatu w liczbie 24 zamknięto jako *politische Häftlinge* w więzieniu na Montelupich. Tam osadzono nas we wspólnej celi. W celi było 60-ciu ludzi. Rano dostawaliśmy czarną kawę i pół kg chleba na 6 osób, na obiad zupę, a wieczorem czarną kawę, której często nie było, gdy wracaliśmy z pracy za późno. Praca trwała do 6-ej wieczorem, często ją przedłużano. W czasie Zielonych Świąt 1942 widziałem egzekucję dwóch młodych Żydówek, które aresztowano za przebywanie „na aryjskich papierach". Stracono je o godz. 5-ej rano.

Lb. 147.

RÓŻA GEISLER

W celi na Montelupich

Odwieziono mnie na Montelupich. Przesłuchanie trwało od godz. 10-ej rano do 10-ej wieczór. Pytali, czy jestem Żydówką i tak bili po twarzy, że głowa mi zdrętwiała i nie czułam już potem uderzeń. *Untersturmführer* Bone zbił mi nogi

szpicrutą tak, że były całkiem czarne. Potem kazał mi stać twarzą do pieca i zapowiedział, że będę tak długo stała, aż ogrzeję piec, a szpicrutą walił po karku. Dał mi dwie minuty czasu do przyznania się, ale już po chwili kazał mi nadstawić dłonie i bił szpicrutą raz po jednej, raz po drugiej. Ręce skurczyły się z bólu, po czym bił po drugiej stronie. Ściągnął mi żakiet i w lekkiej bluzeczce i spódniczce zaprowadzono mnie do piwnicy.

Na środku piwnicy stały dwa wyżłobione kozły. Głowę opierano o jeden, siedzenie o drugi. Tłumacz trzymał głowę, a Bone bił. Po lewej ręce łóżko żelazne, na nim deska na ukos. Mdlejących umieszczano nogami ku górze, głową ku dołowi. Po prawej ręce stała duża skrzynia z narzędziami tortur: klatka piersiowa z żelaza — do zaciągania na piersiach, maska gazowa, strzykawki, igły do wpychania pod paznokcie, grube z cienkimi końcami, łańcuchy, kłódki. Ze sufitu zwisało coś podobnego do huśtawki, sznury służące do zawieszania ludzi na ramionach, pod tym był stół, a na nim drabina. Piwnica była wysoka, był wodociąg z bieżącą wodą i dwa wiadra.

Bone pokazał mi zawartość skrzyni, grożąc użyciem. Tłumacz położył mnie na kozłach, trzymał za głowę, a Bone walił. Musiałam liczyć do 25-ciu, a gdy przestawałam, musiałam zacząć od nowa. Z początku krzyczałam, lecz potem nie czułam już uderzeń. Podnieśli mnie i kazali się przyznać, a gdym się opierała, kazał mnie Bone powtórnie położyć, lecz opierałam się i nie dałam się wywlec z kąta. Wówczas uderzył mnie szpicrutą trzy razy po głowie tak, że straciłam przytomność. Gdym się zbudziła, leżałam na łóżku, ale moi oprawcy ściągnęli mnie i kazali się umyć. Miałam obolałe ręce, robiłam to więc niezgrabnie. Wówczas tłumacz zauważył, że chociaż z wyglądu nie zdradzam Żydówki, to ruchy mnie zdradzają. Stamtąd kazali mi pójść na III piętro celem podpisania protokołu, lecz nie byłam w stanie chodzić. Popychali mnie na górę, podnosząc pod ramiona. Usiąść nie pozwolili, wody nie dali. Protokołu nie podpisałam, gdyż wzbraniali się mi go przeczytać. O godz. 2-giej zamknęli mnie powtórnie w piwnicy.

Duża cela, beton, cztery małe okienka zakratowane, ciemno, piec nigdy nieopalany, filary. Wyglądało jak w katakumbach. Brudne sienniki, bez koców, wody mało, misek nie było, lekarz nie przychodził i nie puszczano do lekarza. Gestapowcy wlewali przez okno wodę, od czasu do czasu strzelali przez okno, gdy ktoś się przy oknie pokazał. Podczas transportów (co 4 do 5 tygodni w piątek) gestapowcy wpadali, bili, kopali. Klucznica odczytywała listę tych, które się przyznawały, że są Żydówkami. Prowadzono je jak bydło na rzeź, pod karabinami, popychając i wywożono do obozów lub na rozstrzelanie.

Do celi przyprowadzono mnie w opłakanym stanie. Współwięźniarki zaalarmowały klucznicę o lekarza. Lekarz-więzień zrobił mi opatrunek na głowie. Miałam dwie dziury i mam jeszcze znaki.

Codzień rano musiałyśmy odmawiać modlitwę *JUDEN-SPRUCH:*

„Wir Juden sind schuld an allem, am Krieg und Unglück, wodurch das deutsche kostbare Blut vergossen werden musste. Wir Juden sind Schwindler, wir Juden sind Gauner und die grössten Verbrecher. Fluch über uns Juden!“

Lb. 226.

LWÓW

RÓŻA WAGNER

„Ukraińcy“ hulają

Były to dnie i noce trwogi. Rzadko kto spał w mieszkaniu, ukrywano się po piwnicach, strychach i t. p. i rozpoczęto już wtedy kombinowanie kryjówek i schronów. Razu pewnego, a było to we wtorek, i ja znalazłam się w wielkim niebezpieczeństwie. Opiszę to szczegółowo. Mieszkałam z całą moją rodziną przy ul. Zamarstynowskiej w pobliżu więzienia na tejże samej ulicy. Od samego rana owego pamiętnego dnia zaczęły dochodzić słuchy o łapaniu Żydów do „trupów“. Z kamienicy

nikt nie odważył się wystawić nosa za bramę, był to bowiem dzień święta ukraińskiego i zapowiadano niespodzianki. Szczególna obawa była o mężczyzn. Na drugim piętrze u jednej z lokatorek naszej kamienicy odkryliśmy mieszkanie o nader szczęśliwym rozkładzie.

Z kuchni prowadziły wąskie drzwi do ustępu, który od strony ganku był prawie niewidoczny. Drzwi te zamaskowano, przesuwając kredens i w ten sposób sporządzono kryjówkę dla mężczyzn. Ponieważ mieszkałyśmy na parterze, bałyśmy się zostać w mieszkaniu. Cała rodzina zebrała się u wspomnianej sąsiadki, ja zaś zostałam na ganku na parterze i w razie niebezpieczeństwa miałam dać znać siostrze dyżurującej na ganku drugiego piętra, aby mężczyźni skryli się do ustępu. Było ich kilkunastu i nie mogli bez przerwy usiedzieć w kryjówce. Nie przewidywałyśmy, że i kobietom grozi niebezpieczeństwo. Była godzina 11-ta przed południem. Opowiadano, że przez ulice prowadzą Ukraińcy kolumny mężczyzn i kobiet żydowskich. Jednakże nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co się dzieje. Nagle ukazał się w bramie wyrostek o fizjognomii bandyty. Z miną pełną sarkazmu i nienawiści powiedział: „chodźcie no, panienki, popracować trochę". Zamarło we mnie serce. Wezmą nas do trupów. Jednak bez słowa prośby czy oporu, poszłam za nim, zadowolona, że na drugim piętrze zdążą się ukryć.

Ledwo wyszłam poza bramę naszej kamienicy, otoczyła mnie zgraja uliczników. Szłam popychana, poszturkiwana w kierunku koszar. Przed koszarami stał szpaler mężczyzn, kobiet i dzieci — szumowiny miasta. Zanim zdążyłam objąć wzrokiem widowisko, oślepiło mnie uderzenie w twarz. Dzikie wrzaski, ktoś porwał mnie za włosy, przerzucana jak piłka z rąk do rąk, dostałam się we wrota koszar, a stamtąd wśród szturchańców i kopnięć wyleciałam, jak strzała z procy, na dziedziniec. Oszołomiona i na wpół przytomna z bólu, instynktownie poczułam, że najbezpieczniej będzie oddalić się czym prędzej od wejścia i zabrać się do pracy.

Skorzystawszy więc z chwili, gdy moi oprawcy przyjmo-

wali następną ofiarę, wymknęłam się na środek dziedzińca, na którym były już setki mężczyzn, kobiet i dzieci. „Cóż tu jest do roboty", pytam najbliższą sąsiadkę. „Proszę nie rozmawiać", odparła zapytana, „proszę nachylić się i zgarnywać rękami piasek na kupę, gdyż jeśli jakiś wyrostek zobaczy, że pani tego nie robi, narazi się pani na dalsze znęcanie i bicie". Nie potrzebowałam już więcej wyjaśnień. Nie praca była celem, dla którego sprowadzano tu coraz więcej nieszczęśliwych ofiar. Ale zabrałam się do pracy. Utkwiłam wzrok w bramę wejściową i z ulgą skonstatowałam, że wśród wyrzucanych raz po raz nie było nikogo z moich najbliższych. Tymczasem „zabawa" wzmagała się. Nieludzkie krzyki. Rozbite głowy, zmasakrowane ciała i zniekształcone oblicza bitych, zalane krwią zmieszaną z błotem, przyczyniały się do rozpętania instynktów tłuszczy. Omdlałe kobiety i starców żydowskich, leżących już prawie bez ducha na ziemi, okładano jeszcze zapamiętale kijami, kopano i wleczono po ziemi. Z okaleczonych i posiniaczonych ciał zdzierano ubrania, bez różnicy, mężczyzna czy kobieta. My, którzy mieliśmy już ten czyściec poza sobą i schyleni gorliwie zmiataliśmy rękoma piasek z podwórza, patrzyliśmy ze zgrozą na te sceny. A gdy nienasyceni oprawcy zdarli z jakiejś kobiety całą odzież i kijami okładali nagie jej ciało, przechadzający się po dziedzińcu niemieccy żołnierze, proszeni przez nas o interwencję, odpowiadali: *„Das ist die Rache der Ukrainer"*. Przechadzali się z minami władców i fotografowali nagie kobiety: *„Das wird im Stürmer sein"*.

„Brama śmierci"

Ostatecznym terminem przesiedlenia do ghetta okazał się dzień 7 września 1942 r., po przeprowadzeniu masowych „akcyj" i umieszczeniu reszty na skurczonym obszarze. Jeszcze przed rozpoczęciem masowych akcyj nie ustawały akcje sporadyczne, które w różnych formach prowadzone dzień w dzień pożerały dziesiątki ofiar.

Pamiętną jest „brama śmierci" pod mostem przy ul. Pełtewnej, przeznaczona na wejście do ghetta. Ileż niewinnej, mę-

czeńskiej krwi starców i staruszek żydowskich zostało tam przelanej od listopada 1941, tj. od czasu, gdy rozpoczęły się przeprowadzki do dzielnicy żydowskiej. Sceny z czasów tych przeprowadzek legły, jak ciężkie kamienie, na naszych sercach i duszach. Z czasem tak przywykliśmy do barbarzyństw hitlerowskich, że przestały one oddziaływać silniej, jeżeli nie dotyczyły członka najbliższej rodziny. Lecz widok masowych przeprowadzek nikomu chyba nie zatrze się w pamięci.

Już od brzasku, aż do późnych godzin wieczornych ulice Zamarstynowska i Pełtewna zawalone były furmankami, obładowanymi dobytkiem żydowskim. Pomiędzy furmankami przepychali się piechotą biedacy, przeważnie kobiety, przenoszące mienie w tobołkach i na plecach. Można było zabrać wszystko, trzeba tylko było minąć szczęśliwie „bramę śmierci". Pod mostem na ulicy Pełtewnej, Żółkiewskiej i Zamarstynowskiej nie przepuszczano Żydów. Czatowała tam banda siepaczy gestapo. Z przewożonych rzeczy zabierali, co się im podobało. Przy tej sposobności zatrzymywali także i właścicieli rzeczy. Puszczeni wolno szczęśliwcy opowiadali o stosowanych tam torturach historie, od których krew ścinała się w żyłach.

Opowiadał mi naoczny świadek, jak urządzano widowiska kosztem zatrzymanych tu Żydów. Wybrano chudego, wysokiego mężczyznę i grubą, niską kobietę i uzbroiwszy tę tragikomiczną parę w kije, kazali im bić ustawionych w szeregi nieszczęsnych rodaków. — Krzyki bitych zagłuszane były przez śmiechy oprawców.

Lb. 144.

SALOMON LEMLER

Zastraszenie

Wyszedłem z domu, bacznie się rozglądając po ulicach i obchodząc zdaleka podejrzanych ludzi. Wypatrywałem niemców „łapiących" Żydów do robót. Właśnie skręciłem z bocznej ulicy na Pełczyńską, gdy nagle natknąłem się na gestapowca i grupę czterech Żydów. Zapóźno już było na cofnięcie się. Chciałem grupę tę nieznacznie wyminąć, gdy nagle okrzyk:

„*Du Jude, komm her*" zatrzymał mnie na miejscu. Chwilę po tem stałem już w szeregu jako piąty. Chodziliśmy jeszcze pewien czas po pobliskich ulicach, dopóki prowadzący nas gestapowiec nie skompletował swego oddziału do liczby dziesięciu. Wówczas zaprowadzono nas do siedziby gestapo przy ul. Pełczyńskiej. Tam wprowadzono nas do pokoju na parterze, zupełnie pozbawionego mebli, z wyjątkiem ławy pod ścianą.

Pozostawiono nas samych. Po upływie pół godziny drzwi się otwarły i wszedł do izby inny już gestapowiec, którego sam wygląd fizyczny mógł najodważniejszego przyprawić o dreszcze. Wysoki, barczysty, o twarzy zawodowego kryminalisty i katorżnika, zeszpeconej blizną od oka aż po usta. Ubrany w mundur, miał na sobie nadto biały rzeźnicki fartuch, w ręku zaś długi rzeźnicki nóż, wiszący na rzemyku. Szczegóły te utkwiły mi w pamięci wyraźnie mimo położenia, w jakim byłem.

Gestapowiec zbliżył się do nas, rozstawił szeroko nogi, wsparł się pod boki i bez słowa począł nas, jednego po drugim, lustrować dziwnie nieruchomym spojrzeniem. Zdawało mi się, że to trwa wieki. Wreszcie, nie wiem czym się kierując, wybrał jednego z nas. Skinął na niego palcem, bez słowa polecając iść za sobą. Pozostało nas w izbie dziewięciu w oczekiwaniu swego losu. Nagle ciszę przerwał straszliwy krzyk żywcem zarzynanego człowieka. Nie było to wołanie o pomoc, lecz wrzask, jaki człowiekowi wydziera z gardzieli śmiertelne przerażenie w jego ostatniej minucie. Zerwaliśmy się na równe nogi. Trwoga ścisnęła nas za gardła. Potem była cisza.

Jeszcze nie zdążyliśmy ochłonąć, gdy drzwi się znowu otwarły i do izby wszedł ten sam gestapowiec, w pokrwawionym fartuchu i z nożem, z którego jeszcze krew ściekała kroplami na podłogę. I znowu, bez słowa, wzywa skinieniem wybraną przez siebie ofiarę. Był nią młody, może osiemnastoletni chłopiec. Po ich odejściu izbę zaległa znowu grobowa cisza. Nagle znów niesamowity krzyk rozdarł ciszę. Serca biły nam, zdawało się, że uderzenia krwi rozsadzą mózg i piersi. W chwilę potem zjawił się gestapowiec po trzecią ofiarę, potem po czwartą, piątą i szóstą.

Byłem siódmy z kolei. Zupełnie wyczerpany, nie odczuwałem już właściwie grozy. Wiedziałem co mnie czeka, wspomniałem rodziców i rodzinę, której już nigdy nie zobaczę, poza tym prawie zupełnie obojętny szedłem za moim przewodnikiem. Droga nie była daleka. Przez korytarz, prawie naprzeciw były drzwi. Weszliśmy i — stanąłem jak wryty. Widok, jaki przedstawił się moim oczom, był tak niespodziewany, że podziałał jak uderzenie obuchem w głowę. Nie mogłem z osłupienia z miejsca się ruszyć. Oto moich sześciu poprzedników, których uważałem za żywcem porżniętych, siedzi i oskubuje z pierza gęsi i kury...

Lb. 46.

JAKUB DEUTEL

Trzy pogromy. W więzieniu. Cyjankali

Dnia 2. VI. 1941, tj. w drugim dniu po wkroczeniu niemców do Lwowa miał miejsce pierwszy pogrom Żydów. Oprócz niemców brały w nim czynny udział szumowiny spośród miejscowej ludności. Żydów wywlekano przemocą z domów, po obrabowaniu i po masakrach pędzono grupami na plac więzienia przy ul. Zamarstynowskiej. W tym czasie znalazłem się na mieście, zdążałem bowiem do pracy, a spostrzegłszy rzeź Żydów, zdołałem ukryć się w domu znajomego Polaka, skąd mogłem doskonale widzieć potworne sceny.

Widziałem wielu Żydów w okrutny sposób pobitych, okaleczonych, do naga rozebrane kobiety i dzieci, broczące krwią, starców, którzy z upływu krwi padali na ulicy. „Bohaterzy" niemieccy, napawający się strasznym widokiem, robili zdjęcia.

5 lipca 1941 odbył się drugi pogrom Żydów we Lwowie. Tym razem zabrano kilka tysięcy Żydów pod pozorem przydzielenia ich do pracy. Zawleczono ich przemocą na dawny plac tennisowy przy ul. Pełczyńskiej, tuż obok siedziby gestapo. Stamtąd już nie wrócili do swoich rodzin. Trzymano ich tam przez trzy doby bez pożywienia, znęcając się nad nimi potwor-

nie. Dnia 8 lipca wywiezieni zostali „na Piaski" na stracenie. Straciłem wówczas brata i dwu wujków.

W cztery tygodnie później, w rocznicę zamordowania Petlury, odbył się trzeci pogrom Żydów. Tym razem sprowadzono Żydów z całego miasta, mężczyzn, kobiety i dzieci na plac więzienia przy ul. Łąckiego, gdzie odbyła się rzeź. Zabijano żelaznymi sztabami, masakrowano ciała, dzieci ginęły na oczach rodziców, rodzice na oczach dzieci. Padło wtedy ofiarą kilka tysięcy Żydów. Widziałem wielu znajomych i kolegów, byłem niemym świadkiem ich mąk, a świadomość, że nie mogę im pomóc, była dla mnie straszna.

W gestapo było zatrudnionych około 600 Żydów, większość rekrutowała się spośród inteligencji, celowo zmuszanej do ciężkiej pracy fizycznej. Ludzie ci pracowali przy budowie garażów samochodowych. Głównym katem był tam *SS Hauptscharführer Kaiser*. Jego to dziełem było sprzątnięcie każdego dnia kilku spośród ciężko pracujących Żydów. Nieraz oddzielał ojca od syna, a gdy ojciec błagał o litość nad dzieckiem, też ginął z ręki oprawcy. Nieraz matki, które przychodziły z zapytaniem, dlaczego ich dzieci nie wróciły do domu z pracy, dzieliły los swoich najbliższych.

Po ukończeniu głównej budowy więzienia, po trzech miesiącach, zaczęła się praca specjalna. Polegała ona na wydobywaniu pomników z cmentarza żydowskiego i brukowaniu nimi olbrzymich podworców w budynkach gestapo i więzienia. Jako nadzorcy zostali przydzieleni sadyści i zboczeńcy, którzy z zegarkiem w ręku stali, dając tak krótki termin do wykonania roboty, że pomimo nadludzkich wysiłków nieszczęśliwych pracowników niemożliwością było wykonać pracę. Sadyści brali do niej ludzi spośród inteligencji, nie mających sprawności fizycznej. Zwyrodnienie dochodziło do tego, że ludzi wycieńczonych głodem strzelali i dusili. Specjalistami w tym byli *SS. Oberscharführer* Karl Ulmer, *SS. Oberscharführer* Gleicher, *SS-man* Müller i inni.

Normalnie co dwa tygodnie odbywały się w więzieniu akcje wysiedleńcze Żydów złapanych i aresztowanych na mie-

ście. Podczas takich akcji odbywały się okropne sceny, ładowano bowiem na auta nagie kobiety i mężczyzn oraz dzieci. Nieraz, gdy auta nie wyjechały na czas, gestapowcy szczuli psy na nieszczęsnych ludzi, albo na wielkim mrozie oblewali ich zimną wodą. Podczas akcyj wysiedleńczych na terenie więzienia widziałem znane osobistości i znajomych spośród inteligencji, lekarzy, inżynierów, adwokatów i profesorów, którzy ginęli w straszny sposób. Jako stały więzień, nieraz z narażeniem życia, rozmawiałem z tylu ludźmi. Pytali mnie, co z nimi będzie. Niektórzy wiedząc, co ich czeka, popełniali samobójstwo, wieszając się, lub przecinając sobie żyły.

W tych akcjach wysiedleńczych sadyzmem i brutalnością odznaczał się zastępca naczelnika więzienia *SS. Oberscharführer Mertens*. Był to krańcowy typ sadysty, wcielenie diabła, postrach całego więzienia. Na widok nowoprzybyłego więźnia usta jego wykrzywiał uśmiech. On był wykonawcą wyroków śmierci. Specjalnością jego było strzelanie w kark. Zajmował się również tresurą olbrzymich psów. Psy te rozszarpywały ludzi na strzępy. Mertens wkrótce zwariował i poszedł do zakładu dla umysłowo chorych, skąd na dawne stanowisko więcej nie wrócił.

Dnia 2-go czerwca 1943 pod pozorem kupna potrzebnych mi do pracy materiałów, udałem się do ghetta, aby zobaczyć się z żoną i dzieckiem. W ghetcie panował straszny nastrój, krążyły pogłoski, że tejże nocy ma nastąpić ostateczna likwidacja ghetta. Ludzie biegali po ulicach jak obłąkani, jeden drugiego pytał, co robić. Najdroższym i najbardziej pokupnym artykułem było cyjankali. Dziecku stojącemu na rogu ulicy i wołającemu „sacharyna", „sacharyna!" odkrzyknęła kobieta w szale rozpaczy „cyjankali nam dajcie, my nic już więcej nie pragniemy". Tejże samej nocy rozpoczęła się likwidacja ghetta, a ja już swoich najbliższych więcej nie widziałem.

Lb. 74.

GIZELA HEILPERN

Kamienie na brzuchach. Oczyszczenie piwnicy. Wolny strzelec

Żydzi pracowali od świtu, wozili taczkami kamienie i gruz na jedno miejsce. Około godz. drugiej po poł. — a było to skwarne, upalne lato, — bez jedzenia, spoceni i wycieńczeni usiedli na chwilę, ażeby odpocząć. Zobaczył to gestapowiec, który ich pilnował, chwycił drut kolczasty leżący na ziemi, skręcił go i zaczął okładać najbliżej stojących Żydów po twarzy tak, że krew spływała strumieniami. Jedni dawali się bić bez odruchów nawet, inni instynktownie usuwali się. Tych zebrał gestapowiec u stóp wzgórza, kazał im pozbierać najcięższe kamienie i położyć się z kamieniem na brzuchu. Ci, którzy mogli wytrzymać, leżeli w milczeniu, inni wydawali ze siebie chrapliwe, zduszone głosy. Potem kazał wszystkim wstać, trzem zaś położyć się z powrotem. Wtedy skakał po kamieniach, które leżały na brzuchach, kolejno po trzech mężczyznach. Krew buchała im z ust i zalewała twarze. Następnie kazał im wstać, unieść kamienie i biegiem krążyć dookoła placu. Ofiary padały co krok na ziemię. Gestapowiec kazał im wdrapywać się na górę, a sam stanął koło nich z rewolwerem w ręce. Potem kazał im położyć się rzędem na ziemi i po kolei strącał każdego w dół kopnięciem buta. Powtarzało się to kilkakrotnie.

Przy ul. Lisa Kuli 18 pracował jako palacz pieców człowiek z wykształceniem uniwersyteckim, muzykolog. Pewnego dnia w obawie przed akcją ukrył się w piwnicy wraz z żoną i rocznym dzieckiem. Piwnicę zamknął na kłódkę z zewnątrz, a sam wślizgiwał się do piwnicy maleńkim otworem od strony ogrodu. Ukrytym groziła jednak śmierć głodowa. Dlatego też po kilku dniach wyszedł o zmroku do budynku i jedną z pracownic ze łzami prosił, by dostarczała im chleba i wody. Trwało tak przez kilka miesięcy. Jednego dnia zepsuła się elektryczność i jeden z mieszkających tam gestapowców wszedł do piwnicy, chcąc naprawić elektrykę. Szukał przewodu elektrycznego właśnie w zamkniętej na kłódkę piw-

nicy. Wyważył drzwi, ujrzał wewnątrz ukrytych Żydów i z wrzaskiem: *Juden, Juden!* wbiegł do swojego pokoju, chwycił automat i wraz z kilku innymi gestapowcami wpadł do piwnicy. Bezbronną rodzinę otoczyła grupa rozwścieczonych gestapowców, którzy kopali ich i tłukli automatami i nieprzytomnych powlekli do auta, by ich wysłać na śmierć.

Pewnego razu, przechodząc ulicą Zamarstynowską widziałam następującą scenę: elegancko ubrany gestapowiec kazał każdej napotkanej na ulicy Żydówce, kłaść się do rowu i strzelał do niej z rewolweru. W ten sposób zastrzelił kilkanaście osób, trupy zostawił w rowie i z całym spokojem poszedł dalej.

Lb. 96.

PRZEMYŚL

LIDA GOLDMANN

Likwidacja ochronki

Pracowałam w ochronce, a później po ostatecznym zlikwidowaniu ochronki w listopadzie 1942, w szpitalu. Dzieje ochronki to najstraszniejszy obraz wśród tragicznych przeżyć ghetta. Nie było ani jednej akcji, któraby nie godziła w pierwszym rzędzie w dzieci ochronki. Przed pierwszą akcją matki spodziewające się wysiedlenia, w nadziei, że dzieci będą nie ruszane, oddawały je w ostatniej chwili do ochronki. A gdy nie starczyło czasu, porzucały je na ulicy w nadziei, że zostaną przygarnięte. Ale już akcja sierpniowa pochłonęła dzieci i starców. Musiałyśmy wyprowadzać jedne i drugich na rozkaz gestapo wprost na plac. Byli tam gestapowcy Benewitz, Stegemann i Reisner. Resztki dzieci znowu zebrały się w ochronce aż do września 1943 r., kiedy to zlikwidowano ochronkę doszczętnie. I znowu na rozkaz gestapo wyprowadziłyśmy wszystkie dzieci wraz z niemowlętami na miejsce zawagonowania.

Po powrocie z placu zastałyśmy w ochronce jedyne dziecko, które błąkało się samo w pustym domu, pozostawione

przez przeoczenie i chwilowo ocalałe. Następnego dnia zjawili się gestapowcy w ochronce i zabrali całą bieliznę zakładu. Pomagali im w tym faszyści ukraińscy, którzy zagrabili wszystko, co miało jaką wartość.

Lb. 325.

RUT GRUNBERG

Oczyszczanie bunkrów

Dnia 2. IX. 1943 już o godzinie czwartej nad ranem zapanował w ghetcie niesamowity ruch. Dzielnica była zamknięta i otoczona przez gestapo. W panicznym strachu i rozpaczy uciekano do bunkrów. Pomimo pogłosek, że warsztaty będą chronione, pracownicy nauczeni doświadczeniem, że słowo niemieckie nie ma wartości, ukryli się w bunkrach i do pracy się nie stawili. Ja również ukryłam się w bunkrze przy ul. Deckerta 7, gdzie zastałam już około 100 osób. W bunkrze przygotowane były: woda, karbid itd. Około godziny szóstej wieczorem opuściłam wraz z mężem kryjówkę, a w godzinę później odkryli gestapowcy bunkier, jak wiele innych zresztą, w których ukryli się Żydzi. Gestapo likwidowało bunkry ręcznymi granatami i dymnymi świecami. Wydobywano z nich setki Żydów, rozstrzeliwano na miejscu, a zwłoki palono.

Lb. 321.

TARNÓW

RENIA FRÖHLICH

Akcja

Dnia 24 czerwca 1942 rozplakatowano wezwanie, aby każdy Żyd przygotował sobie pakunek 10-kilogramowy „do wysiedlenia". W czasie akcji nie wolno było przystąpić do okna, ani wyjść na ulicę. Karty wysiedleńcze mieli dostać przede wszystkim bezrobotni i niezdolni do pracy. Dzieci, kobiety i starcy dostawali karty wysiedleńcze. Akcja trwała cały tydzień. W pierwszy dzień zabrano chłopców do lat 13-tu. Ludzi prze-

znaczonych na wysiedlenie spędzono pod dom kahału. Trwała gęsta strzelanina. Niemcy chodzili po mieszkaniach, wyciągali ludzi, strzelali na cmentarzu. Synowie grzebali ojców pod batem. Część ludzi wpakowano do szkoły Czackiego, po czym wpuszczono parę i poduszono wszystkich zamkniętych w salach. Przez dwa dni był pozorny spokój. W poniedziałek spędzono znowu ludzi na rynek w Tarnowie. Przez długie godziny musieli tu klęczeć, trzymając głowy przy ziemi. Równocześnie gestapowcy zalewali się wódką w szynkach. Na środku rynku była arena przeznaczona do zabijania dzieci. Szereg godzin zabijano dzieci i dorosłych na miejscu. Pozostałych wpychano na wozy tak gęsto, że niektórzy ginęli w drodze. Akcja była skończona.

Lb. 67.

IZAK IZRAEL

Z kozła dorożki

Jeździłem z gestapowcem Rommelmannem opieczętowywać mieszkania po wysiedleńcach żydowskich. Wchodził do mieszkania, a znalazłszy ubrania, bieliznę, złoto i pieniądze, zbierał wszystko do walizki. Wracaliśmy do jego biura. Nosiłem jego łupy, układałem je w jego szafie.

Gdy spotykał Żyda na podwórku, na miejscu go strzelał. Jeździłem z nim często ulicą. Jeśli Żyd jakiś mu się nie ukłonił, legitymował go, a jeśli nie miał pieczątki, strzelał. Jeżeli miał pieczątkę pracy, pytał, czemu się nie kłania. Gdy Żyd odpowiedział, że nie zauważył go, brał ode mnie biczysko, obracał je grubym końcem i bił tak długo po głowie, aż krew się lała. Później, gdy się to rozeszło między Żydami, poznawali już mojego „pana" z daleka i albo chowali się prędko, albo kłaniali się.

Straszne rzeczy działy się w trzeci dzień wysiedlenia, we czwartek. Znowu nie wolno było wychodzić na ulicę. Siedziałem cały dzień w domu. Co parę minut przychodzili *SS* i legitymowali, czy się ma pieczątkę pracy. W tym dniu masami

wozili starców i żywe dzieci do Zbylitowskiej Góry w pobliżu majątku Żaby, za klasztorem. Tam *Baudienści* kopali doły. Na drugi dzień gospodarze okoliczni opowiadali, że widzieli, jak żywe dzieci wrzucano do dołu. Za dziećmi wrzucano granaty, potem zasypywano ziemią. Wtedy na wysiedlenie do Bełżca poszło 6.000 Żydów, a na miejscu zabito 12.000.

Co jakiś czas przywoził Rommelmann kilku Żydów na podwórze kahału i tam ich strzelał. Po tych egzekucjach musieliśmy brać wóz i odwozić na cmentarz. Każdy z dorożkarzy chciał się od tej pracy uwolnić. Nie mogliśmy tego robić, było to dla nas za straszne, ale wyszło takie rozporządzenie, że pierwszy wolny dorożkarz w kolejce musi jechać. Po jakimś czasie powiedziałem prezesowi, że zostały wozy piekarskie i można ich użyć jako trupiarek. Prezes powiedział, że owszem, ale spyta na gestapo. Pozwolili. Wziąłem taki wóz, zrychtowałem dwie prycze i od tego czasu wóz ten służył do wywożenia trupów na cmentarz, który był poza obrębem ghetta. Jeździł zawsze jeden grabarz i dorożkarz, który był w kolejce.

Gdyśmy widzieli Rommelmanna, jadącego z żywym Żydem, już wiedzieliśmy i zaprzęgaliśmy trupiarkę.

Dwa dni przed drugim wysiedleniem ludzie spodziewali się czegoś i w ghetcie zrobił się popłoch. Raz gdy stałem przy bramie *Judenratu,* stali tam *OD-man,* Żyd wysiedlony z Niemiec, drugi *OD-man* i jedna Żydówka w żałobie. Wyszli za ghetto. Ale gdy gestapowiec przywiózł ich do ghetta, zaprowadził na górę do prezesa i spytał się, kto ich wypuścił, a kiedy mu powiedziano, że nie zna się nazwiska tego *OD-mana,* wydał rozkaz, że za pół godziny wszyscy *OD-mani* mają się zebrać na podwórzu *Judenratu.* Skontrolowano, który *OD-man* miał dyżur przy bramce i stwierdzono, że był to ów *OD-man* z Niemiec. Rommelmann zapytał, czy on wypuścił tę kobietę za ghetto.

Okazało się, że kobieta ta wyszła z drugim *OD-manem.* Rommelmann kazał wszystkim *OD-manom* odejść, a tych dwóch *OD-manów* i kobietę zastrzelił na miejscu. Ja musiałem wtedy odwieźć trupy na cmentarz. Z wozu ciekła krew

przez całą drogę. Jeszcze przed tym podczas przesłuchania pytał Rommelmann kobietę, czemu uciekała z ghetta. Powiedziała, że słyszała, że ma być wysiedlenie. Wtedy on rzekł: „Wysiedlenia żadnego nie będzie, wy Żydzi sami robicie popłoch".

A na drugi dzień ghetto było obstawione. Pojechałem do domu, mieszkałem wtedy na ul. Starodąbrowskiej. W ghetcie panowała rozpacz. Ludzie płakali, szukali sobie bunkrów, robili to szybko i nerwowo. Przeważnie gonili po ghetcie i nie wiedzieli co robić. O godzinie 9-ej przyszedł Rommelmann do *Judenratu* i nakazał, aby sporządzić listy pracowników firm, bo dostaną oni pieczątki. Radziliśmy z bratem, co mamy robić. Postanowiliśmy poszukać kryjówki. W *Judenracie* był straszny ruch, ludzie tłoczyli się, płacząc, rozpaczając, błagali o pieczątki. Gestapowiec Grunow wpadał od czasu do czasu, raz strzelał w powietrze, a raz do ludzi. Gestapowcy dawali pieczątki, komu im się podobało. Z dorożkarzy dostało tylko czterech pieczątki. Wieczorem odwiozłem wszystkie *meldekarty* do *Judenratu*. Wszyscy rzucili się na dorożkę, każdy szukał swojej. Powstał płacz, krzyk, ludzie tratowali się, wyrywali sobie *meldekarty* z rąk, rabowali obce, zrywali zdjęcia, przylepiali swoje, kilka tysięcy ludzi wpadło do sali *Judenratu*. Walczyli o pieczątkę, pieczątka bowiem oznaczała życie. Gestapowcy którzy siedzieli na środku przy stole, popędzili wszystkich na plac i przeznaczyli do wysiedlenia.

Wszyscy klęczeli z głowami do ziemi. Od czasu do czasu niektórzy z klęczących wyrywali się do stołu i dostawali pieczątki. Mój szwagier też podbiegł do stołu, ale jeden z *esesowców* tak go uderzył w głowę i ogłuszył go tak dalece, że zamiast do szeregu leciał w inną stronę. Wówczas *SS-owiec* strzelił za nim i on padł. Ja to widziałem z kozła mojej dorożki i nie mogłem mu pomóc. Musiałem wozić kilkaset żywych ludzi na cmentarz. Przez drogę wołali do mnie ludzie: „Powiedz pan mojej żonie, mojemu ojcu, mojej siostrze, gdzie nas wożą i po co". Pojechałem na nowy cmentarz pod sam mur i tam ludzie schodzili z dorożek. Kopano doły. Gdy obróciłem za trzecim

i czwartym razem, widziałem już rozebranych do naga ludzi. Leżeli już pod murem zastrzeleni. Jeszcze się rzucali, jeszcze ciała drgały. Naprzeciw siedział na krześle gestapowiec i *Baudienści* w ubraniach zabitych szukali złota i pieniędzy.

W czasie największego mordowania ludzi ukryłem na moim podwórzu w bunkrze moją żonę i dziecko. Na tym samym podwórku był basen z rybami, a w nim kilkadziesiąt kilogramów karpi. Mieszkali tam także handlarze drobiu i w kurnikach było jeszcze kilkadziesiąt kur. Wpadł tam gestapowiec, ale kiedy zobaczył tyle kur i karpi, zabrał cały kosz dla siebie. Pokazał to swoim kolegom, zajętym strzelaniem Żydów. Przerwali na chwilę swoje „zajęcie", zaczęli zajeżdżać na moje podwórko, a ja miałem tam wszystkich moich najbliższych ukrytych. Byłem pewny, że znaleźli mój bunkier. A tymczasem oni — podczas największego mordowania — zajeżdżali po karpie i po kury.

W czasie wysiedlenia gestapowcy zabierali ubrania i bieliznę z *Judenratu*. Woziliśmy przez kilka godzin parę tonn tego towaru. Przez cały czas miałem przy sobie moją córeczkę. Był skwarny dzień. Co chwila inny gestapowiec chciał mi ściągnąć dziecko z kozła. Ale jakoś się wypraszałem. Kilka razy gdy przejeżdżałem koło żony, prosiła mnie o trochę wody. Jechał ze mną pijany żandarm. Gdyśmy na Starodąbrowskiej ładowali rzeczy, żandarm powiedział, że nas wszystkich zabije. Przyjechał furman z trupiarką, miał już trzy trupy wewnątrz. Zabrał czwartego. Wtedy żandarm powiedział do niego, żeby szybko odwiózł te cztery trupy i wrócił po nasze dwa. Byłem pewny, że to po mnie i mojego furmana. Powiedziałem do Holzera: Teraz ja pomogę ci włożyć tego trupa, a kto pomoże ci za godzinę mnie włożyć? Byłem pewny, że to ostatnia moja godzina. W chwilę później dopiero żandarm powiedział, że te dwa trupy leżą obok w piwnicy.

Żandarm kazał mi jechać, ale dziecko zostawić. Nie odezwałem się, ale dziecka nie zostawiłem i szybko odjechałem. Przejeżdżałem przez plac. Stał tu przy bramie *Oberscharführer* Opelman, wyciągnął rewolwer i chciał mnie zastrzelić, bo

myślał, że chcę dziecko wywieść za ghetto. Zacząłem go prosić, że to moje dziecko i że nie mam go komu zostawić, że ono przecież ma pieczątkę.

W szkole Czackiego znosiliśmy rzeczy sami z dorożek. Był tam bardzo ciężki kosz i furman chciał go sobie lepiej ustawić, by go wziąć, ale żandarm tak go zaczął niemiłosiernie bić, że upadł skrwawiony na ziemię. Córeczka moja to widziała, ale wiedziała, że jej nie wolno płakać, bo ją o to prosiłem. Więc zaczęła nagle gryźć palce. „Tatusiu, ja nie płaczę, widzisz, ale boję się tylko o ciebie". Wróciliśmy do ghetta.

Widziałem dzieci mojego brata klęczące przed egzekucją, a gdy przejeżdżałem, dzieci wołały: „Wujku, ratuj nas". Żona też wołała za mną o wodę. Nie mogłem nikomu pomóc...

Lb. 331.

WIELICZKA

BRUNO HOLLÄNDER

Kontrybucja i wysiedlenie

Każdy starał się o t. zw. *Einsatz*, który miał go chronić przed wysiedleniem — śmiercią. Jeszcze na kilka dni przed tym zorganizowano szpital żydowski. W lipcu 1941 nałożona została na społeczeństwo żydowskie kontrybucja w kwocie 100.000 zł, którą po kilku dniach podwyższono do pół miliona. Taki był zwyczaj, że kontrybucja poprzedzała wysiedlenia. Koszty wysiedlenia i przejazdu do komory gazowej w Bełżcu i Treblince musieli pokryć sami Żydzi. Suma kontrybucyjna została w całości złożona. Żydzi, oddając swoje ostatnie pieniądze, odetchnęli z ulgą. Może dzięki temu wysiedlenie będzie łagodniejsze. Tymczasem ukazały się wezwania skierowane do wszystkich Żydów, by stawili się do godziny 7-ej rano na łące koło dworca kolejowego. Wysiedlenie zupełne było faktem. Znikąd ratunku. Ucieczka była niemożliwa. Miasto od siedmiu dni otoczone było policją i żandarmerią. Na łące tysiące ludzi młodych i zdrowych, dzieci i starców. Masa przeznaczona na zagazowanie.

Nigdzie nie słychać płaczu ni lamentu. Nikt nie błaga, nikt nie prosi. Matki kurczowo tulą swoje dzieci. Straszne przeczucie maluje się na twarzach wszystkich. Stoją karabiny maszynowe. Kierownicy wysiedlenia, *SS-mani* Kunde i Heinrich, zadowoleni ze siebie, poruszają się wśród nieszczęśliwej masy.

Lb. 172.

SKAWINA

ZOFIA HRADOWA

Żywe groby. Desperatka*)

Pogoda była cały dzień przepiękna. W mieście roiło się od ludzi, mówiono, że jest tam kilka tysięcy Żydów. Posterunki policyjne stały dookoła miasta tak gęsto, że mucha nie przeleciałaby. Przez kilka dni było względnie spokojnie, dopiero około wtorku zaczęła się straszliwa męka tych ludzi. Po jednej kontrybucji następowała druga i trzecia. Nadszedł straszny piątek. Zjechały do Skawiny dwa auta pełne katów. Chodzili po mieście dumni jak pawie. Co godzinę wydawano rozporządzenia coraz surowsze tak, że same władze gubiły się w nich.

Nikt tej nocy nie spał. Z piątku na sobotę słychać było strzelaninę. Odważniejsi Żydzi ratowali się ucieczką, którą po największej części przypłacali życiem. Ogólnie znana dentystka, zwana popularnie Julką, skryła się w gęstych krzakach bzu, trzymając w ręce teczkę. Gdy przyszli po nią gestapowcy, dostała ataku nerwowego, poczęła głośno krzyczeć i to ją zdradziło. Po wystrzale upadła twarzą na kupę gnoju obok klozetu. Leżała tak dwa dni.

Z ulicy Radziszewskiej szli Żydzi czwórkami. Matki tuliły swoje maleńkie dzieci do piersi, mówiąc do nich: „Cicho, cicho moje jedyne dziecko, moje serce jedyne". Ludzie szli powoli i w ciszy. Kazano im wchodzić do aut, dzieci brano za nogi

*) Z obserwacji Polki.

i wrzucano na tych, którzy tam już byli. Gdy auto było pełne, odjeżdżało szybko w stronę lasu, na Podbory. Tam były już przygotowane głębokie doły. Ciała zastrzelonych spadały w dół, a reszta na autach patrzała na to bestialskie mordowanie, zmartwiała i bezsilna, czekając na swoją kolej. Były wypadki, że małe dzieci wpadały postrzelone w dół, a później gramoliły się na brzeg w górę, chcąc wydostać się z dołu. Wtedy kat odwracał karabin i kolbą roztrzaskiwał główki dziecięce. Gdy dół wypełniony był niemal po brzegi, rozkazano upitym poprzednio *Baudienstom* zasypywać go, chociaż ciała ludzkie jeszcze się poruszały.

Grupka czterech osób zwracała na siebie ogólną uwagę. Ojciec, matka i dwie młode, śliczne dziewczęta. Był to właściciel wsi spod Myślenic z rodziną. Stali w milczeniu, przytuleni do siebie, trzymając się razem. Podszedł do nich gestapowiec, rozkazał obu dziewczętom usunąć się na bok, rodzicom kazano wejść na auto. Córki jednak nie chciały rozłączyć się z rodzicami, popędzono zatem wszystkich na auto. Gdy auto zajechało na plac, na miejsce stracenia Żydów, kazano im się rozebrać do naga i znowu dziewczęta się temu oparły, same się nie rozebrały i nie dały się rozebrać rodzicom. Gestapowcom spieszyło się bardzo. O godzinie 12-ej bowiem miała być zakończona likwidacja miasta. Kazano im pochylić się twarzami ku ziemi, ale starsza córka rozdarła suknię na piersiach i zawołała: „Nie, bandyto, strzelaj i patrz w moje oczy, nikczemny, niech cię moje oczy prześladują całe życie, ty Teutonie przeklęty". Gestapowcy ustawili karabin maszynowy i wystrzelali całą rodzinę, a potem *Baudieńści* ponieśli ciała do wspólnego grobu.

Drgające mogiły

Z każdego wozu zabrano starych, chorych, siwowłosych, niezależnie od wieku, łącznie 140 osób. Ludzi tych odwożono ciężarówkami do lasu we wsi Tyniec, wyładowano na skraju lasu i pędzono 30 m w głąb, nad przygotowane od dwóch tygodni

mogiły. Egzekucji dokonał z rewolwerów pluton *Sonderdienstu*, złożony z 15-tu osób. Użyta do pomocy służba budowlana przysypywała trupy i rannych wapnem. W każdej z trzech mogił leżą po trzy warstwy trupów. Według relacji ówczesnego sołtysa wsi oraz członków służby budowlanej, którzy brali udział w grzebaniu ofiar, wszyscy prawie zostali żywcem pogrzebani. Ziemia w dołach drgała i poruszała się jeszcze przez kilka godzin.

Lb. 45.

RABKA

RUBIN TRAUM

Strzał do grobu

W Rabce była szkoła gestapo. Kierownik *Obersturmführer* Rosenbaum, prawdopodobnie z Berlina, zastrzelił jedną rodzinę złożoną z ojca, matki i dwojga dzieci, bo nosiła to samo nazwisko.

Podczas akcji w Rabce *Stabscharführer* Bonnert obchodził swoje ofiary, strzelał do nich z tyłu a ciała zastrzelonych wpadały do grobu. Albo też sam Bonnert strącał je kopnięciem w dół.

Zdarzyło się raz, że grób był zasypany, a słychać było charczenie i rzężenie. Jeden z wachy ukraińskiej nachylił się, strzelił na chybił trafił w głąb, ale rzężenie nie ustało.

Lb. 200.

DĘBICA

LONKA GERTEL

Sceny podczas akcji

Był już jeden wielki grób masowy. Ziemia falowała jeszcze po setkach trupów. Inne katusze przechodzili jeszcze ci, którzy pozostali w dzielnicy. Rozdawano *kennkarty*. „Ja mam

pieczątkę, ale brat mój, siostra nie mają". Rodziny były rozdarte. Ci bez pieczątek stali bladzi i zrezygnowani. Gestapowcy z rewolwerami w rękach gonili między ludźmi. Padł rozkaz: „Wszyscy bez pieczątek na łąkę!"

Łąka zapełniła się mężczyznami, kobietami i dziećmi. Jeden z gestapowców urządził sobie tutaj zabawę. Głośno zapowiedział: „Kto dociśnie się do stolika, dostanie pieczątkę". Ludzie poczęli się pchać, jeden przez drugiego. Każdy walczył o życie. Rozlegały się jęki duszonych i tratowanych. Nieprzytomni ludzie parli ciągle naprzód. Z góry patrzył na nich otyły gestapowiec. W sadystycznym uśmiechu drgały jego kąciki ust, a zaczerwienione oczy patrzyły zbójecko.

Przy stoliku stanęły dwie młode dziewczynki. *Mir, bitte,* wyciągnęły z trudnością ręce z *kennkartami. Was!?* wykrzyknął ostro gestapowiec, podniósł rękę z rewolwerem. Padły dwa strzały, dziewczęta nie zdołały nawet jęknąć i już ciała ich zbryzgane krwią leżały na ziemi. Za chwilę znowu ludzie zaczęli się pchać do stolika i niebawem upadło znowu ciało, tym razem młodego mężczyzny. Chciał ratować swoją siostrę, powiedział, że to jest jego żona. „To nie jest żona", krzyknął gestapowiec i kula z rewolweru przeszyła pierś młodego człowieka.

Po akcji ludzie wyszli z ukrycia, z bunkrów. Tymczasem nowa akcja i nowe pieczątki. Droga usiana była poprostu ciałami martwych. Leżeli młodzi i starzy, kobiety i dzieci. „Nikt już z nich nie ucieknie", powiedział jeden gestapowiec do drugiego. „Nie ma potrzeby liczyć, co?" I ubawieni żartem śmiali się.

Lb. 352.

RZEPIENNIK

ABRAHAM KOHANE

Obiad po rzezi

O 3-ej nad ranem przyjechali, obudzili wszystkich Żydów i kazali każdemu zabrać 25 kg najlepszych rzeczy. Zegnano ich wszystkich z tobołkami na jeden wielki plac. 12-tu gestapow-

ców weszło do szynku, kazali sobie podać 15 litrów wódki. O godzinie 6-ej rano rozkazali ludziom klęknąć na placu, rzeczy odebrali i złożyli na auta. Skierowano ich wszystkich do lasu koło Dobry, po drodze bito nielitościwie Zaczęła się egzekucja. Kiedy zasypywano ludzi, słyszano krzyki: „To mi pali oczy". Jeszcze żywych rzucano do grobu. Dzieciom rozbijano główki o drzewa. Małe dzieci rozdzierano żywcem. Po skończonej egzekucji gestapowcy zaproszeni zostali na wystawny obiad w miasteczku.

Lb. 57.

ŁAŃCUT

REGINA LANDAU

Ciała dzieci zwierzętom cyrku

We wrześniu 1939 kazali nam niemcy opuścić Łańcut i iść za San pod karą śmierci. O godzinie 6-ej rano wszyscy mieliśmy zebrać się na placu, a do godziny pierwszej po południu nakazano nam opuścić miasto. Jedni istotnie szli w stronę Sanu, inni rozprószyli się po wsiach, uważając, że jakoś to będzie. Ukryłam się na wsi. Po jakimś czasie wróciłam do Łańcuta, gdzie zastałam dom wyrabowany.

Pewnego dnia przybyło gestapo z Jarosławia. Urządzono łapankę na ulicach, zabrano 24 osoby, mężczyzn i kobiety. Więziono ich przez kilka miesięcy, a pewnej nocy wyprowadzono na cmentarz i tam pojedyńczo zastrzelono. Jedna kobieta i jeden mężczyzna ocaleli, udając zabitych, a po egzekucji ranni zbiegli. Kobieta leczyła się w szpitalu w Rzeszowie, gdzie ją gestapo odnalazło i zastrzeliło. Mężczyzna uratował się. Gestapo czyniło poszukiwania w Łańcucie, kazało odkopać grób zamordowanych, ale rachunek się zgadzał, bo tymczasem przybyły dwie nowe ofiary, również mężczyzna i kobieta.

Kiedy była akcja w Łańcucie, poszłam na wieś, przez dzień ukryta byłam w ziemniakach, przez innych parę dni w kuku-

rydzy, przez kilka dni u znajomego chłopa, wreszcie skryłam się w polu w życie W tym czasie ukryłam siostrzenicę lat siedmiu i siostrzeńca lat dziewięciu w stajni ich dawnego domu. Głodowały. Kradłam im z ogrodów jarzyny. Po kilku dniach na skutek donosu przyszło gestapo do kryjówki dzieci. Przesłuchanie trwało od 4 rano do 1 po południu. Nie zdradziły one mnie, ani innych Żydów. Gestapowiec wyprowadził je na cmentarz. Po drodze pocieszał dziewczynkę, by nie płakała, bo „pójdzie do nieba i spotka tam swoją mamusię i tatusia i ciotki". Dzieci nie chciały wejść w bramę cmentarza. Gestapowiec próbował je raz jeszcze zmusić, by powiedziały, gdzie jest ciotka, ale dzieci odmówiły. Wtedy je bił, kopał, na cmentarzu kazał im iść w krzaki i strzelił naprzód do dziewczynki. Dostała ona cztery kule, chłopczyk trzy. Zwłoki rzucił potem zwierzętom cyrku, który wówczas występował na targowicy w Łańcucie.

Lb. 224.

RÓŻA WAGNER

Przeprawa przez San 1939

Przychodzimy nad San w trzecim dniu tułaczki, nad ranem. Koło rzeki stoją gestapowcy i przemocą wpychają ludzi na łódkę, t. zn. na dwie zbite deski, z których kobiety i dzieci wpadają do Sanu. Dookoła widać pełno topielców z poprzednich dni, przy brzegu stoją kobiety we wodzie, trzymając dzieci ponad głową, wzywają ratunku, a gestapowcy odpowiadają na to strzałami.

Z moją rodziną dostaliśmy się do miasteczka Radomyśla, po drugiej stronie Sanu, zamieszkałego przez 45 rodzin żydowskich i tutaj pozostaliśmy przez jakiś czas wraz z innymi wysiedlonymi z Tarnobrzegu. Głód i brud. Dalej nie można było jechać, bo grasowali bandyci, gdyż teren do Rawy Ruskiej był nieokupowany. Pragnęliśmy wszyscy wydostać się z tego piekła.

Lb. 101.

IZYDOR HERZ

Jak Oester zakatował chłopca

Dnia 21 lipca 1942 r. z Baranowa zawagonowano nas do Dębicy. Tam nas wyładowali, przy czym bili nas i katowali. Cały dworzec załadowany był ludnością żydowską. Później zaprowadzili nas na miejskie pastwisko, gdzie tłoczyło się około 45.000 Żydów, spędzonych z całego rejonu Dębicy. Ustawiono nas dziesiątkami, przeganiając z jednego miejsca na drugie, poprzez barykady złożone z *SS-manów*, którzy zaraz wyławiali starszych ludzi i na miejscu rozstrzeliwali. Bicie i znęcanie się nad ludźmi podczas tego było okrutne.

Około godziny 9-ej rano przyszli nowi *SS-mani*, zaczęli wybierać mężczyzn zdrowych i silnych, do których każdy się pchał z całych sił. Szybko wybrali cztery grupy mężczyzn, złożone z 450 osób. Jedną grupę wysłali do Rzeszowa, druga poszła do Pustkowia, trzecia do Tarnobrzegu, a czwarta została w Dębicy jako *Reinigungskommando*, kolumna sprzątająca. *SS-mani* zabrali się do masowego mordowania dzieci żydowskich. Chwytali je za nóżki, odcinali bagnetami główki lub uderzali główkami o słupy elektryczne stojące blisko szosy. Resztę zawagonowano i wysłano do Bełżca, do komory gazowej.

Mnie skierowano do Rzeszowa. Pamiętam, jak jeden chłopak z Nowego Sącza chciał uciec. Złapano go, oddano w ręce gestapowca Oestera, który skuł mu ręce kajdankami, zmusił go do przysiadu, ręce skute przyłożył do kolan, przez ręce i kolana przeciągnął długi kij, po czym powiesił go na dwóch ławkach i zaczął bić po rękach tak, że paznokcie odlatywały i ręce zsiniały. To samo zrobił z nogami. W końcu, gdy biedak stracił przytomność, rozluźnił mu kajdany, uderzył go raz jeszcze kijem po głowie, obudził go, kazał mu stanąć i wtedy dopiero strzelił mu dwa razy w głowę. Po tym wszystkim zapalił papierosa i kazał ciało sprzątnąć.

Lb. 314.

RADZIECHÓW

MAURYCY BAUER

„Noch eine Kugel"

Pewnego dnia do prywatnego domu, gdzie zebrani byli Żydzi na modlitwę, wpadli gestapowcy ze Stanisławowa, wypędzili na gościniec modlących się 40-tu Żydów, kazali im pracować w tałesach (szatach liturgicznych), toczyć walec o pojemności 10.000 litrów, którym się miażdży kamienie przy szutrowaniu gościńca. Żydzi padali z wycieńczenia i bicia. Wkońcu zastrzelono ich.

W lipcu 1941 z pewnej grupy pracujących wzięli sobie gestapowcy czterech młodych chłopców na rynek, wyrwali im włosy, obcięli palce, a potem dopiero zastrzelili.

W lipcu 1942 złapał 29-letnią kobietę pewien gestapowiec w chwili, gdy wyrywała w ogrodzie prywatnym jakąś roślinę. Kazał ją zaprowadzić na posterunek, sam udał się do jej domu, gdzie był jej mąż i trzy córeczki lat 2-ch, 4-ech i 5-u. Mąż spostrzegł się i uciekł, gestapowcy zabrali dziewczynki i na dziedzińcu posterunku mieszczącego się w Rynku, w pałacu hr. Badeniego rzucili dzieci psom na pożarcie w oczach matki. Potem dopiero zastrzelili matkę i również rzucili ciało psom.

Arbeitsschef kazał ustawić się Żydom według placówek pracy na dużym placu odebrał wszystkim karty pracy i zarządził ustawienie się w czwórki do marszu. Wśród ludzi powstała panika. Kolumnę otoczono policją i popędzono do Kamionki Strumiłowej odległej o 32 km. Po drodze strzelano i bito niemiłosiernie. W drodze przyłączono do transportu grupy Żydów z okolicznych wsi. Spędzono wszystkich nad dwa ogromne głębokie bunkry, z których słychać już było jęki i strzały. Na polu leżało mnóstwo ubrań. Daleko na górkach stali okoliczni chłopi i patrzyli.

Do bunkru wpędzano po sześć osób. Każdej szóstce zaglądano w usta i wybijano złote zęby. Potknąłem się i upadłem. Na mnie padali ludzie i kilka trupów leżało na mnie. Nie ruszałem się. Niemcy krzyczeli: *„Es lebe die deutsche Revolu-*

tion", „Es lebe die deutsche Technik", a ofiary błagały: *Noch eine Kugel.*

Był już wieczór. Niemcy posłali po chłopów, by zasypali groby. Była chwila, kiedy nie było nikogo. Dźwignąłem się w górę, odgrzebałem się spośród trupów, wydostałem się z dołu i po trawie doczołgałem się do lasu.

Lb. 388.

KSIĄŻ WIELKI

CHAIM EHRLICH

10.000 na łąkach

Znalazłem się w tłumie pędzonym na „wysiedlenie". Konwojenci tłukli nas niemiłosiernie. Nie dawali nam wody do picia. Posuwano się tak powoli, że w 10 godzin uszliśmy 30 km. W końcu znaleźliśmy się w Słomnikach, na mokrych łąkach, gdzie trzymano nas cztery dni, bez picia i bez jedzenia. Na łąkach tych było 10.000 ludzi z różnych okolicznych miejscowości. Przez cały czas bili nas tak okropnie bez ustanku pałkami, że w dwa miesiące później byłem chory. Było wiele wypadków porodu. Na krzyki rodzących nadbiegali *SS* i rodzące kobiety bili pałkami do krwi.

Lb. 247.

CZORTKÓW

Taniec po szkle

W pierwszej łapance w Czortkowie złapano 380 Żydów na ulicy, niby do pracy. Zabrano ich do więzienia i tam na podwórzu mordowano. 50-ciu zastrzelono z karabinu maszynowego, reszcie kazano tłuc flaszki, potem tańczyć na szkle boso. Musieli kłaść się na ziemię z rękami założonymi w tył głowy, lizać i połykać piasek i glinę. Zabawa ta trwała kilka godzin. Zemdlonych zostawiono na miejscu, resztę zapędzono do klatki schodowej, pędzono ich w górę i w dół i siekierami mordowano.

Trupy grzebano na podwórzu więzienia. Z dołu dochodziły głosy: „Jeszcze żyję, jestem tylko ranny, nie zasypujcie mnie". Grób mimo to zasypano i zacementowano.

Lb. 225.

TARNOPOL

LESER STERNFELD

Pogrom

W poniedziałek o godz. 5-ej rano dowiedzieliśmy się, że akcja się rozpoczęła. Całą noc nie spałem, gryzły mnie wszy i pchły. Byłem tak zmęczony, że upadałem, gdyż w piątek i sobotę bez wytchnienia harowałem przy żniwach i młócce.

W poniedziałek odbyły się okrutne sceny. Jeden przeraźliwy krzyk tłumu. Milicjanci prowadzą kobiety, dzieci i starców na stracenie. Ludzie usiłują uciekać, *esesowcy* strzelają, pełno trupów i krwi. Ja z moimi kolegami zostaliśmy na placówce pracy. Czekamy tam, aż akcja będzie ukończona. Kiedy już było ciemno, ruszyliśmy do ghetta. Zastaliśmy bramę otwartą. Wszystkie drzwi domów otwarte, szyby powybijane, ciała na ulicach, kałuże krwi, samotne dzieci błąkają się.

Lb. 407.

STANISŁAWÓW

BARBARA WARSZAWSKA

Hitler daruje wam życie

Od godz. 6 rano prowadzono falangi ludzi z pakunkami, dzieci we wózeczkach, popychano starców, których bili kolbami, jednemu staruszkowi rozpłatali w drodze czaszkę. 16.000 Żydów pędzono drogą na cmentarz. Na cmentarzu były przygotowane ogromne rowy. Nagich ludzi rzucano do rowu, gdzie dusili się, ginąc w męczarniach. Dzieciom ukręcano główki. Jakieś dwie kobiety oszalałe z rozpaczy biegły po ulicy ze śpiewem. Cały dzień strzelano. Wieczorem *SS-owcy* powiedzieli jeszcze do ostatniej grupy: „Hitler daruje wam życie".

Podczas jednej akcji siedziałam schowana w piwnicy. Siostra moja i szwagier zostali w mieszkaniu, ponieważ ich karty pracy chroniły rzekomo przed śmiercią. Nagle usłyszałam krzyk mojej siostry: „Natan, ja chcę żyć, zabierają mnie, a ja chcę żyć".

Lb. 54.

KULIKÓW

Dr JAKÓB GROSSBART

Pierwsze transporty do Bełżca

Dzień w dzień, wieczorami urządzali sobie *SS-owcy* harce z bezbronną ludnością żydowską, bili, strzelali i demolowali mieszkania. Zaganiali do rzeczki, kazali zanurzyć się zupełnie w wodzie, a kto wychylał głowę, tego bili polanem. Urządzali sobie takie zabawy bez uwagi na porę roku.

W kwietniu 1942 zaczęto wysyłać pierwsze transporty na Bełżec. Przejeżdżały one przez Kulików. Wagony towarowe szczelnie zamknięte, okienko zakratowane drutem kolczastym, a każdy wagon strzeżony przez gestapowców. Początkowo nie orientowano się dokąd i w jakim celu jadą. Wypadki wyskakiwania z wagonu były sporadyczne. Po kilku tygodniach jednak, gdy transporty były coraz częstsze i wiedziano już, jaki jest cel tej podróży, wyskakiwanie z wagonów było na porządku dziennym. Zdarzały się wypadki rozsadzania wagonu. Ale większość tych ludzi, którzy odważyli się uciekać, padała zaraz od kuli gestapowca, lub ciężko ranni czekali na śmierć wśród katuszy z ręki ukraińskich faszystów. Pola położone wzdłuż tej trasy były po takim transporcie zasiane trupami.

Dwoje dzieci w wieku lat 3 i 6 przywlokło się do Kulikowa. Starszy 6-letni mający cały bok posiekany od kul opowiadał, że gdy go matka wyrzucała oknem wagonu, zawisł na drucie kolczastym, którym było zakratowane okienko, a gestapowiec strzelał do niego jak do celu, aż spadł. Płacząc, mówił: „Co ja im zawiniłem, lub mój mały braciszek".

Coraz częstsze były wypadki śmierci z głodu lub wycieńczenia, a ludzie opuchnięci byli zjawiskiem powszechnym. .

W 1943 13-letni chłopak wyskoczył z pociągu zdążającego do Bełżca. Urwało mu nogę. Leżał w lesie przez tydzień, pasterze przynosili mu jadło. Zmarł w lesie z ran. Z 550 Żydów kulikowskich ocalałem tylko ja jeden.

RADOMSKO

MARIA WIDAWSKA

Koncentracja

Ghetto w Radomsku to dno nędzy. Tysiące obdartych, na wpół dzikich, wśród nich starcy, kobiety i dzieci. Ledwo dowlekli się do ghetta i tam padali trupem z wycieńczenia. Snieg z zawieruchą. Z wielkim trudem umieściłam dziecko w kuchni. Było to chyba jedyne ciepłe miejsce w Radomsku. Straszliwy tłok, nie mieliśmy miejsca, gdzie można by stanąć. Zmarznięci ludzie tłoczą się do kuchni. Żandarmi uzbrojeni w pałki odganiają ich. Bezustannie z miasteczek nadciągały nowe tłumy nędzarzy, pochody głodnych. Ludzie, którzy od września do ostatnich dni listopada kryli się po lasach, których głód i zimno wygnały z lasu, zdecydowali się zebrać tutaj w ghetcie radomskim na skutek wezwania niemieckiego, że nic im nie grozi i że znajdą schronienie w przeznaczonym dla Żydów miejscu tzn. w ghetcie. Był to jednak podstęp: niemcy chcieli zegnać wszystkich w jedno miejsce i wyłapać.

W miesiąc później zlikwidowano ghetto, Żydów wysłano do Treblinki do komory gazowej.

Lb. 217.

SASÓW

MICHAŁ PERLMUTTER

Uprzejmy kat

Taktyka *Hauptsturmführera* Warzoga była inna, niż taktyka gestapo w ogólności. Był uprzejmy i niby życzliwy w sto-

sunku do Żydów i przeprowadził akcję wysiedleńczą w nastroju przyjaźni i zaufania. Przekonał Żydów, że wysiedlenie oznacza zmianę terenów pracy. Ludzie nie domyślali się, że idą na śmierć. W spokoju zabrali swoje rzeczy, bez sprzeciwu wchodzili na auta. Warzog dawał Żydom do rąk swoje rewolwery.

Lb. 223.

BORYSŁAW

GINA WIESER

Pogrom. Bohaterstwo, zemsta. Likwidacja sierocińca

Tak więc odbył się potworny pogrom dokonany przez ukraińskich faszystów. Od rana wyciągano ludzi z domów, prowadzono ich w stronę więzienia, gdzie rzekomo były trupy Ukraińców i w drodze masakrowano ich. Robili to przeważnie młodzi uzbrojeni w różne narzędzia, głównie młotki z ostrymi końcami do tłuczenia kamieni. Mieli także karabiny. Łamano kości, wybijano oczy i zęby. W ciągu 24 godzin trwania pogromu, zginęło 180 ludzi. Mnie prowadzono i bito do nieprzytomności, potem polewano wodą i znowu bito.

W szpitalu zobaczyłam najlepszą moją przyjaciółkę tak zmasakrowaną, że jej nie poznałam. Oczy miała na wierzchu i twarz zupełnie czarną. Umarła też po kilku dniach męki.

Ukraińcy spędzali Żydów do stodół i palili ich żywcem.

Następnego dnia po pogromie burmistrz ukraiński wydał zakaz mordowania Zydów. Mimo to przyszli ze wsi ukraińscy hitlerowcy i rzucili się z kosami na Żydów. Był to tak straszny widok, iż mimo że po tym widziałam niejedno, nigdy tego nie zapomnę. Dzika horda z pałkami, kosami i kijami przeciwko bezbronnym kobietom i dzieciom. Niemcy obecni wtedy w mieście, nie gestapo, ale zwykli żołnierze i oficerowie, pomagali zbrodniarzom. Dostałam w twarz od oficera, do którego zwróciłam się o pomoc.

W sierpniu 1942 roku przyjechało gestapo lwowskie. Wy-

wieziono wtedy do Bełżca 5.000 ludzi. Muszę tu opowiedzieć o śmierci mojego dziadka. Był to pobożny 78-letni Żyd, który postanowił sobie, że nie da się wziąć żywcem i przynajmniej jednego niemca zabije. Po wysiedleniu zastaliśmy go w jego mieszkaniu. Padł od kuli, leżał krzyżem na podłodze. Niemcy zastali go przy rannej modlitwie, w jednej ręce trzymał modlitewnik, a w drugiej siekierę. Był odziany w tałes. Kula była szybsza niż jego siekiera, ale żywcem nie dał się wziąść.

Następna akcja była już zwykłą mordownią na miejscu. 15 lutego 1943 roku przeprowadziło ją miejscowe *Szupo* o 6-ej rano. 600 ludzi, w tym dużą ilość dzieci, zapakowano do kina i trzymano ich tam trzy dni. Tymczasem w samym mieście obok rzeźni kopano dla nich dół. Egzekucja odbyła się w ten sam sposób jak wszędzie. Ludzie rozebrani do naga stawali na desce nad dołem, karabin maszynowy zmiatał ich do grobu. Dzieci z aut zrzucano chwytając je za kark, nie używano przy tym kul, rozbijano głowy kolbami, albo o mur.

Z tej akcji chcę zanotować epizod. Żona jednego z pracowników naftowych z dwuletnim dzieckiem zamknięta była w kinie. Mąż wybłagał u dyrektora zwolnienie jej. Ale, gdy przyjechali po nią, była już sama. Dziecko zabrano jej, bo już wtedy odbywało się pod rzeźnią mordowanie. Gdy wywołano ją wraz z dzieckiem i to wyraźnie z dwuletnim, bez namysłu wzięła za rękę najbliżej stojącego 8-letniego chłopczyka i oświadczyła mordercom że to pomyłka, bo to jest jej dziecko.

Muszę opisać także sprawę Lonka Hoffmana. Chłopak ten był jeszcze w czwartej akcji w transporcie do Bełżca. Przysłano po niego na stację, żeby go wyciągnąć. Ale on chciał zabrać ze sobą dziecko zupełnie obce, które przyczepiło się do niego. Ponieważ nie pozwolono mu, postanowił razem z dzieckiem tym pójść na śmierć. Ale w drodze wyskoczyli z pociągu i wrócili razem do Borysławia. Lonek ukrył dziecko i swoją matkę w lesie, w bunkrze, lecz leśniczy Ukrainiec wydał bunker. Matka i dziecko poszły na śmierć. Lonek zaprzysiągł zemstę. Nie miał pieniędzy na broń, wykopał więc w lesie świetną kryjówkę, sprzedał ją i za pieniądze kupił rewolwer.

Pewnego dnia wieczorem zasadził się na leśniczego w jego własnym domu i zastrzelił go w sieni.

W akcji borysławskiej gestapowcy okazali szczególne zdziczenie i bestialstwo. Zajechali samochodem ciężarowym do sierocińca i małe dzieci w wieku czterech do dwunastu lat przewieźli na dworzec kolejowy, po czym z samochodu rzucali dzieci do wagonu jak kamienie, na skutek czego większość dzieci doznała złamania rączek i nóżek. Dużo miało rozbite główki. Grupę Żydów wywieziono za miasto. Były tam przygotowane doły i prawie wszystkich żywcem zakopano.

L. 89.

BOCHNIA

ANNA STEINBERG

Nie mogli wierzyć

Wiedziałam, że wysiedlenie ma na celu wyjazd do Bełżca, bo miałam wiadomości od rodziny z Rawy Ruskiej, że wszystkie transporty idą do Bełżca i że oczekuje się tam transportów z Wieliczki i Bochni. Siostra moja pracowała u *Kreishauptmanna* w Rawie Ruskiej i ten jej opowiadał o krematoriach w Bełżcu, ale znajomi, których przestrzegałam, nie wierzyli wiadomościom z Rawy Ruskiej.

10 listopada 1942 roku była akcja w Bochni. Zabrano kilkadziesiąt osób z miasta, trochę więźniów z Wiśnicza i kilku z placówek rolnych wokoło Bochni, w sumie około 500 osób. Strzelano na ulicach. 70 trupów leżało na ulicach Bochni. Akcję przeprowadzało gestapo krakowskie, gestapowcy Kunde, Heinrich i gestapo bocheńskie. Także o tej akcji dowiedziałam się od mojej rodziny wcześniej i ukryłam się na wsi.

Lb. 253.

BRODY

RAFAŁ SCHLEGEL

Tablice

Przed ghettem była tablica dla Polaków:

„Halt, za przekroczenie ghetta — kara aresztu i 10.000 zł, a od strony żydowskiej:

„Halt! — granica ghetta — za przekroczenie — kara śmierci".

Lb. 66.

PRZEMYŚLANY

HALINA PFEFFER

Spaleni żywcem

Skryłam się z bratem w sadzie. Widziałam jak niemcy podpalili kuchnię ludową i wrzucali ludzi do ognia, by się żywcem palili. Został przy życiu tylko ten, kto uciekł w las.

Lb. 233.

ZBARAŻ

LEOPOLD BIEDER

Pogrom

Niemcy rozebrali córkę rabina do naga, wsadzili ją do beczki z wodą, potem rozdarli pierzynę i obsypali nieszczęsną pierzem. Bardzo się śmiali i bawili tym. Całą moc Żydów wsadzili do stawu w ubraniach i kazali im tak stać nieruchomo parę godzin.

Skazańcy byli nadzy. Musieli sobie sami wykopać grób, potem ich strzelano. Jakieś dziecko, rzucone do grobu, płakało jeszcze długo po zasypaniu. Do drugiego dołu wrzucono ludzi idących do pracy, w ubraniach, z narzędziami pracy, zaopatrzonych w śniadania. Zasypano ich stojąco.

Sporządzono listę do *Himmelkommando* 530 Żydów. Ska-

zańców wyciągano z łóżek. Jeśli nie zastano poszukiwanego, brano zastępcę, bo liczba musiała się zgadzać. Równocześnie nałożono kontrybucję w złocie i pieniądzach.

Lb. 238.

WIKTOR LITTNER

Po akcji. Listy z Warszawy

Schowaliśmy się do bunkru. Zaledwie zatrzasnęliśmy deskę nad naszymi głowami, kiedy usłyszeliśmy *Juden heraus!* i dzikie krzyki, walenie kolbami. Ziemia spadała nam na głowy, dusiliśmy się w ciasnym bunkrze i tak przesiedzieliśmy całą noc. Rano oczom naszym przedstawił się straszny obraz miasteczka. Poszczególni ludzie błąkali się po ulicach, płacząc i krzycząc. Wszystkie domy otwarte, motłoch rabował opuszczone mieszkania.

Pewnego dnia zajechały dwa auta. W pierwszym siedział gestapowiec Rokita. Żydzi musieli wyjść na ulicę. Rokita przemawiał, podając, że teraz wydzieli się ludzi do pracy w obozie. Jedna z kobiet zapytała Rokitę, czy mogłaby pójść do tego samego obozu, w którym mąż jej jest już od dawna. Na to odpowiedział: „Pójdziesz do obozu, gdzie są sami piękni mężczyźni i tam możesz sobie jakiegoś poszukać". Nazajutrz o ósmej rano Żydzi zgromadzili się. Większość miała przy sobie cyjankali i zachowywała spokój. Lecz Rokita się nie zjawił, natomiast rozeszła się wiadomość, że za umieszczenie w obozie żąda 25 tysięcy złotych od osoby. Ludzie rozeszli się do domów.

Nadszedł „czarny piątek". Po południu podpalono budynki żydowskie i synagogi. Żandarmi szli od domu do domu, rabowali, mordowali, gwałcili młode dziewczęta.

Otrzymałem od syna następujący list z ghetta warszawskiego: „Mój Drogi Ojcze! Dziękuję Ci za list i za przesyłkę pieniędzy. Nie wyobrażasz sobie, w jakim położeniu zastał mnie Twój list. Od trzech dni dosłownie nie mieliśmy ani ja, ani żona moja kęsa chleba i czuliśmy zbliżającą się śmierć gło-

dową. Trudno mi o tym wszystkim pisać, gdybyś mógł mnie stąd wyratować... Kiedy przechodzę koło wystawy i widzę chleb, wstrzymuję się całą siłą, by nie wybić szyby i nie ukraść chleba. Gdybyś nas zobaczył, wszystkie moje słowa nie byłyby potrzebne".

Drugi list: „Mój Drogi Ojcze! Może jednak będziesz miał możność zabrać mnie stąd. Ja i żona moja zabierzemy się do każdej najgorszej roboty. W ghetcie warszawskim jest około pół miliona Żydów. Codziennie jest paręset pogrzebów. Trupy leżą po trzy, cztery tygodnie na cmentarzu. Jeśli mnie możesz ratować, ratuj"...

Po takich listach od syna zrozpaczony prosiłem znajomych o radę, ale nikt mi nie mógł poradzić. Miasteczka nie można było opuścić, groziła za to kara śmierci. Wkrótce dostałem znowu list pisany ręką mojej synowej: „Mój Drogi Ojcze! Syn Twój nie może sam pisać, jest zbyt słaby. Cały jest spuchnięty. Ma teraz 41 stopni gorączki. Jak będzie silniejszy, to Ci napisze".

To była ostatnia moja wiadomość o synu z Warszawy. Po głodzie w ghetcie nastąpiła likwidacja.

Bunker

Myśleliśmy o sporządzeniu kryjówki. Zbudowanie bunkru nie było jednak łatwe, ponieważ chałupa nasza nie była oddzielna i nie miała piwnicy. Koło pieca kuchennego stał mały stolik. Deska, która łączyła nogi tego stołu, łatwo się wyjmowała. Pod tą deską wyżłobiliśmy dziurę i nakryli wiekiem tak, że niewtajemniczony nie mógł nic zauważyć. Musieliśmy jednak to wszystko tak zrobić, ażeby deski w żadnym miejscu nie były puste, lecz oblepione ziemią i nie różniły się dźwiękiem od reszty podłogi. Z trudem udało się nam zabrać wiele wiader ziemi. Wkońcu bunker był gotów. Tyle było przestrzeni w jamie pod podłogą, że cztery osoby mogły się tam od biedy wcisnąć. Z boku wykopaliśmy wgłębienie, w nim ułó-

żyliśmy deskę, wstawili wodę i świecę, nawet mały termos. Tak przebyliśmy wiele nocy i dni grozy.

Lb. 385.

BOLECHÓW

STEFANIA RIEDLER

Taniec nagich

Niemcy spędzili wszystkich Żydów do jednej sali w budynku szkolnym w Bolechowie. Kazano wszystkim starym Żydom i młodym Żydówkom rozebrać się do naga. Przy akompaniamencie muzyki tanecznej i płyt gramofonowych musieli starcy nago tańczyć z nagimi dziewczętami. Podczas tańca gestapowcy strzelali do nich jak do figur...

Lb. 231.

HERMAN LEWKOWICZ

„Kuczimunie"

Kopaliśmy „kuczimunie" t. zn. doły o wymiarach mniej więcej 2 m na 2 m. W kryjówkach tych mieliśmy się ukryć. „Kuczimunia" zaopatrzona była w piec. Gotowaliśmy w nocy, aby dym nie zdradził schowka. Nad ziemnym bunkrem postawiliśmy dla niepoznaki spróchniały pień, wydrążony lejowato, którego spód był szeroki, a w nadziemnej części pnia był mały otwór, w dzień niedbale zasypany próchnem. Tak wyglądał komin. Wejście znajdowało się o kilkanaście kroków dalej. Do „kuczimuni" prowadził tunel. Specjalne oddziały niemieckie miały za zadanie wyszukiwanie psami „kuczimuni". W jednej takiej obławie wydobyto z ziemi około 1.500 ludzi. Wielu nie chciało wyjść z kryjówek. Strzelano wtedy do środka i trupy zostawiano na miejscu. Jeden z moich kolegów siedział również w „kuczimuni" z całą rodziną. W pewnej chwili ktoś powiedział cichym głosem: *„Stoją nad naszą kuczimunią"*. Matka nie wytrzymała nerwowo i zdradziła wszystkich. Z tej obławy niektórych młodych wysłano do obozów.

Lb. 283.

DZIECI OPOWIADAJĄ...

JÓZEF ERNER — 15 LAT

Bywalec

Jak przyszło ghetto w Warszawie, przenieśliśmy się na ulicę Ceglaną pod Nr. 10-ty. Było coraz trudniej o jedzenie, zaczął się szmugiel przez druty. Ja mam bardzo dobry wygląd, chodziłem kilka razy dziennie do dzielnicy polskiej. Z początku nie było tak ostro. Policjanci polscy mnie znali i myśleli, że jestem katolik, bo dużo chłopców polskich szmuglowało wtedy do ghetta.

Głód w ghetcie był coraz większy, a wyjście coraz trudniejsze. Pilnowano wszystkich bram i przejść. Z towarem trzeba było bardzo uważać, kiedy była zmiana policji. Byli tacy, którym się płaciło; inni nie dali ani dostąpić do siebie, tylko zaraz łapali, albo bez pardonu strzelali. Często cały towar się „spalił" — dwa razy zabrali mi wszystko, a miałem wtedy drogi towar: żyto i cukier. Straciłem wszystkie pieniądze i trzeba było zaczynać od nowa.

Byli mali żydowscy chłopcy, którzy nie mieli dużo pieniędzy na handel, ani wiele siły do dźwigania. Oni skakali pod drutami i po murze jak wiewiórki. Nabierali ziemniaków lub zboża w zanadrze, za koszulę i tak przenosili. Ja potrafiłem przenieść na raz 20 kg ziemniaków albo cebuli.

W ghetcie był taki głód, że ludzie padali. Trupy leżały na ulicach. Tyfus strasznie panował. U nas w domu wszyscy zachorowali na tyfus i leżeli w szpitalu na Leśnej. Wtedy przyszły na mnie ciężkie czasy, musiałem żywić wszystkich. Jak mama była zdrowa, pracowała w kuchni dla dzieci i przynosiła wieczorem zupę do domu. Teraz tylko ja sam pracowałem na nich. Było mi wszystko jedno, nie dbałem o kule, wiedziałem, że muszę im przynieść chleb i coś do jedzenia. Tak długo się trzymałem, aż oni wyszli ze szpitala. Wtedy sam się położyłem. Po tym tyfusie byłem taki słaby, że nie mogłem udźwignąć nawet 10 kg ziemniaków.

Ojciec mi umarł na tyfus.

Jak była pierwsza akcja w ghetcie, byłem po aryjskiej

stronie. Powiedzieli mi znajomi chłopcy, żebym nie szedł, bo oni widzieli, jak niemcy strzelali na ulicy do małych dzieciaków. Nie mogłem wytrzymać, chciałem się czegoś dowiedzieć. Na trzeci dzień znalazłem brata w firmie, tam gdzie pracował. Powiedział mi, że ukrył się na czwartym piętrze i słyszał jak siostrzyczka krzyczała, gdy ją wyciągali z domu. Matkę także zabrali.

Brat kazał mi uciekać, nie wracać do ghetta. Znalazłem pracę koło Tarczyna, we wsi Przypkow. Powiedziałem, że ojca nie mam, matkę zabrali na roboty do Rzeszy. Uwierzyli mi.

Była tam jedna dziewczynka, co też pasła krowy. To była napewno Żydówka. Nie chciałem pytać, żeby się nie bała, alem zaraz poznał. Ją chłopcy zaczepiali, tom ich tak wygrzmocił, że jej potem dali spokój.

Pół roku tak tęskniłem za domem, że nie mogłem ani jeść, ani spać. Płakałem całymi nocami. Jednego dnia zabrałem manatki i pojechałem do Warszawy. Poszedłem na placówkę, na Łódzką 20 i tam dowiedziałem się, że brat żyje. Wystarali się dla mnie o przepustkę i wszedłem razem z nimi do ghetta. Brat był po chorobie bardzo zniszczony, płakał jak mnie zobaczył. Z rodziny nie było nikogo.

Była wiosna 1943 r. Mówili, że partia przygotowuje powstanie w ghetcie. Brat poszedł do powstania. Przyszedł w nocy w mundurze, miał rewolwer.

W kwietniu przyszło wielkie wysiedlenie i zaczęło się powstanie. Domy, całe ulice się paliły. Chcieliśmy przejść kanałem do małego ghetta, do zakładów Toebbensa. Ubrania się na nas paliły, na głowy włożyliśmy blaszane kubły. Od Gęsiej do Leśnej szliśmy dzień i noc. Brat szedł z nami, mówił, że wszystko przepadło.

W kanale były olbrzymie szczury, stare, siwe. Piszczały jak wściekłe i rzucały się na nas. Kto miał broń, strzelał do nich.

Dwa tygodnie byliśmy u Toebbensa, potem zabrali nas wszystkich na *Umschlagplatz*. Trzy dni i trzy noce staliśmy tam i czekali na transport. Łotysze bili nas i katowali. Niemcy

krzyczeli: *„kto ma złoto, dostanie wody"*, bo ludzie umierali z głodu i pragnienia.

Powieźli nas do Poniatowa, ale ledwieśmy wyszli z wagonów, kazali iść z powrotem. Ludzie wiedzieli, że jadą na śmierć.

Przywieźli nas do Lipowej, stamtąd pieszo do Majdanka. W Majdanku dostaliśmy pasiaki i numerki. Na placu, zagrodzonym drutem kolczastym, staliśmy całą noc. Padał deszcz. To był „karny" deszcz, tam wszystko było „karne".

W obozie była karna praca, całkiem nieużyteczna: doły wykopywać i zakopywać, przenosić kamienie z jednego miejsca na drugie i potem z powrotem, maszerować wokoło w szeregach. Mali chłopcy chodzili cały dzień w kółko w słońcu i deszczu.

Blokowy wygłosił do nas przemowę: „czy wy wiecie, co to jest *K. L.*? Pewnie myślicie, że to *Konzentrationslager*, nie — to jest *„kein Leben"*. Wy tu może chcecie żyć? To ja wam pokażę. Kto się spóźni na apel, kto będzie miał w zapasie chleb, albo pieniądze, albo drugą koszulę, będzie powieszony. Kto będzie kłamał, kto będzie mówił prawdę, kto będzie powolny — będzie powieszony".

Moja bratowa pracowała w *Gärtnerei*. Gdy się o tym dowiedziałem, wkręciłem się do *kommanda*, które pracowało na *Komanderówce*. Nie było łatwo się zobaczyć. Ona się do mnie czołgała po ziemi, w błocie, ale jakie to było szczęście, żeśmy się znowu widzieli, mogli się objąć i pocałować. Po tym dostała bicia, ale jeszcze z daleka rzucała mi całusy i śmiała się, udawała, że ją nic nie boli.

Z Lublina, z placówki uciekł więzień, za co mieli pięciu powiesić. Cały dzień budowali szubienicę, mieli wieszać przy wieczornym apelu. Ja tak się bałem o brata, byłem całkiem nieprzytomny. Wszyscy mieli patrzeć, jak będą wieszać. Przyszła placówka — 69 ludzi. Kazali się wszystkim rozebrać do naga. Rozkaz: nie wieszać, ale bić. Każdy dostał 50 kijów. Kładli na ławkę, do bicia zwołali wszystkich *capo* z pięciu pól. Stawało dwóch *capo*, jeden z jednej, drugi z drugiej strony

i bili na przemian. Tak jak kowale w kuźni. Ludzie mdleli, wtedy oblewano ich wodą i bito dalej. Wszyscy w Majdanku po jakimś czasie mieli od bicia czarne tyłki. Jak w latrynie albo w łaźni widać było kogoś z białym tyłkiem, to zaraz się wiedziało, że to nowy.

Wybrali mnie na blok 19, gdzie byli chorzy i dzieci. Tam były ciągle selekcje na gaz. W nocy zabrali 13 ludzi, kilku mężczyzn i chłopców i powiesili na drutach. Wiedziałem, że stąd pójdę tylko na śmierć. Usłyszałem, że wysyłają gdzieś na roboty, przekupiłem chlebem wartownika i uciekłem z tego bloku. Dołączyłem się do grupy wyznaczonych na wyjazd.

Pojechaliśmy do Skarżyska-Kamiennej. Tam był obóz pracy. Brud i ciężka praca, ale więcej wolności. Pracowałem przy hydraulice, przy centralnych ogrzewaniach w fabryce amunicji.

W lecie 1944 roku pognano nas na dwa miesiące do Sulejowa, 500 osób. Tam kopaliśmy okopy. Norma dzienna była: rów długości 10 m, szerokości 6 m i głębokości 2,80 m. Dostawaliśmy na pięciu bochenek chleba i na cały dzień 1 litr zupy. W polu dawało się czasem wykopać 40—60 ziemniaków. W nocy gotowaliśmy je na piecu z cegieł, w blaszankach. Wody nie było, oszczędzaliśmy więc kawę i w kawie gotowaliśmy ziemniaki. Pracowało się wtedy dwanaście godzin. Do pracy gnali nas biegiem pięć kilometrów w piasku, albo błocie i tak zgrzani musieliśmy biegiem przejść rzekę, mając wodę powyżej pasa.

Przyjechaliśmy do obozu w Buchenwaldzie. Obóz ciągnął się na 40 km. Byliśmy tam tylko trzy dni, dali nam numerki. Po trzech dniach poszedł transport do kopalni soli w Stassfurcie. Podałem się za specjalistę od centralnego ogrzewania.

Głód tam był straszny. Rano jeden chleb na pięciu i kawa i o tym trzeba było pracować do szóstej wieczorem. Wtedy zupa - woda z trzema ziemniakami. Codziennie padali ludzie z głodu i wycieńczenia. Próbowali ucieczki, bo było wiadomo, że wojna już niedługo się skończy. Jak złapali takiego uciekiniera, to go wieszali na słupie, na rękach skutych kajdanami,

na karku stawiali jego buty. Pod nogami miał cegły tak, że ich ledwo dotykał palcami. U dołu, w słup były wbite żelazne kolce, które jak tylko ruszył nogą, wbijały mu się w nogi. Tak stał 24 godziny. Gdy jeszcze żył, dostawał taczkę piachu i musiał ją pchać biegiem, aż padł.

To był straszny obóz. Ciągle nowe kary i głód.

.b. 135.

MARCEL GRUNER — 11 LAT

Spotkanie z mamusią

W obozie płaszowskim tatuś umieścił mnie w fabryce szczotek, bo mówiono, że te dzieci, które nie będą pracować, pójdą na rozstrzał. W szczotkarni robiliśmy szczotki do butów i ubrania, mazaki do pasty, *glancówki* i *flaszkówki*. Była norma, musiało się zrobić 50 mazaków na dzień. Jak sobie nie mogłem sam poradzić, to mi ktoś ze starszych pomagał.

Był raz wielki apel w obozie. Nie pamiętam daty. Wszyscy musieli się rozebrać, ubranie wzięli pod pachę i szli przez plac, a *Lagerarzt* Blanke stał i patrzał. Jak mu się tylko ktoś nie spodobał, to posyłał do stolika, tam zapisywali sobie nazwisko. Potem ci ludzie pierwsi szli na transport.

Dzieci wszystkie, nawet te pracujące, miały iść do *Kinderheimu*. Wszyscy się tego bali, bo z *Kinderheimu* wywożono. Dzieci odstawiono na bok, przyszedł kierownik *lagru* i wybrał dzieci. Ale nadszedł komendant Goeth i krzyczał na niego, że za dużo dzieci zostawił i zaczął sam wybierać. Dzieci, między którymi ja też byłem, odprowadzono do *Kinderheimu*. Staliśmy na podwórzu, za drutem kolczastym, pilnowały nas niemki *Sturmanki*. Tatuś poszedł do komendanta i prosił, żeby mnie zostawić. Naprzód Goeth złościł się i groził, że tatusia zastrzeli, ale potem pozwolił mnie stamtąd zabrać. Z 400-tu dzieci było uratowanych 15. Siedzieliśmy w budynku wartowni i jak dzieci szły do transportu, jeszcze piętnaścioro uciekło do nas. Nasza trzydziestka siedziała na wartowni dwa tygo-

dnie. Nie mogliśmy wyjść na obóz, bo inni ludzie, którym dzieci zabrano, nie mogli patrzeć na nas, tak płakali dzień i noc.

Przyjechaliśmy do Oświęcimia. Naprzód do *Auschwitz I*, gdzie spaliśmy, a na drugi dzień pieszo poszliśmy do Brzezinek *(Birkenau)*. Wtedy już nie palono ludzi i niektóre krematoria były zburzone, ale myśmy nie wiedzieli napewno i myśleliśmy, że idziemy na gaz. Dopiero jak przyszedł tatuator i zaczął nam robić numery, uwierzyliśmy, że nie idziemy na śmierć. Byliśmy na *D. lagrze*, ja na bloku 29 a tatuś na 9-tym, ale mogliśmy do siebie chodzić i rozmawiać. W pierwszych dniach tatuś pracował przy bardzo ciężkiej robocie, dźwigał żelazne sztaby i szyny i części samolotów. Po kilku dniach miał całkiem spuchnięte nogi i strasznie wyglądał. Zaczął się starać i dostał się do szewców, do wyrobu rzeczy ze skóry. Wtedy już było lżej.

Myślałem ciągle o mamusi, o tym, gdzie jest i czy ją jeszcze kiedyś zobaczę. Mówili nam, że różne transporty nadchodzą, a także z Płaszowa. Gdzie tylko widziałem kobiety przez druty, biegłem wypatrywać, czy gdzie nie napotkam mamusi.

Jednego dnia widziałem jak *komando* kobiet nosi ulicą za drutami prycze. Poszedłem do drutów i patrzałem, ale mamusi między nimi nie było. Nagle jedna z kobiet zaczęła wołać: Marcel! Marcel! Poznałem głos, to był głos mamusi! Ale mamusi nie mogłem w żaden sposób poznać, była boso i w łachmanach. Nie mogła się zatrzymać, musiała iść razem z innymi, tylko ja biegłem wzdłuż drutów i tak rozmawialiśmy. Kilka razy kobiety nosiły te prycze i za każdym razem biegłem tak długo jak można było i rozmawiałem z mamusią. Mamusia bardzo płakała. Pocieszałem ją, mówiłem: „Nie płacz mamusiu, napewno będzie wszystko dobrze!“ Potem pobiegłem do szewców i powiedziałem tatusiowi, że znalazłem mamusię. Tatuś wystarał się u szewców o buty i przerzucił mamusi na tamten *lager*, bo oba *lagry* były obok siebie. To nie było łatwe, ale jakoś się udało. Pierwszym razem jeden but pozostał między drutami i dopiero jak *Aussenkommanda* wracały z pracy, *capo* wydostał ten but.

Zaczęła się likwidacja obozu. Chciałem iść z tatusiem razem, ale dzieciom kazano *zurück* i tylko powyżej piętnastu lat zabierano. Tatuś pożegnał się ze mną i zostałem sam. Mamusia nawet nie wiem kiedy poszła... Lb. 8.

LUIZA GRUNER — 12 LAT

Mamusia poszła, ja robiłam koperty

Kazali nam się przeprowadzić do ghetta i mamusia dostała pracę w Optimie. Przyszła akcja. Mamusia nie mogła dostać pieczątki i przekupiła policjanta polskiego na bramie, on ją wypuścił i pojechała do Wieliczki. Mnie schowała w kartoflach w piwnicy. Byłam tam dzień. Wujcio kupił za 16 tysięcy złotych dwie pieczątki u niemców. Mamusia po akcji wróciła.

Zmniejszyli ghetto i musieliśmy się przeprowadzić. Potem była znowu akcja. Była segregacja. Dziesiątkowano wtedy. Co dziesiątego strzelali. Mamusia poszła do segregacji, a ja z ciocią do kanału. Szczury i myszy biegały, my siedziałyśmy na desce. Byłyśmy tam dzień. W tej akcji zabrali wszystkie dzieci, które widzieli. Potem raz niemiec widział mnie na ulicy, zdjął karabin i chciał mnie zastrzelić, ale ja uciekłam.

Wybudowano baraki i przeprowadzono tam ludzi, ale tylko pracujących. Wtedy ja poszłam do komisarza ghetta Guttera, powiedziałam, że mama jest w barakach, że ja mam 13 lat (miałam 10) i że chciałam dostać pracę. Dostałam pracę w papierniczym *gemeinschafcie*. Robiłam koperty, od 6-ej rano do 4-ej musiałam zrobić tysiąc kopert. Nosiłam opaskę, dostałam blaszkę z numerem i łatę Z. *(Zivil)*. Pracowałam tylko jeden miesiąc. W fabryce mną się opiekowali, jak przychodził Goeth podkładali mi papiery na krzesło, żeby wyglądało, że jestem większa. Lb. 228.

ZYGMUNT WEINREB — 9 LAT

WYSZŁA NA MIASTO I WIĘCEJ NIE WRÓCIŁA

Mama sprzedała pierścionek i kupiła sobie polską *kennkartę*. Potem pojechała do Makowa Podhalańskiego szukać mie-

szkania, a ja miałem za nią tam pojechać. Zostałem w ghetcie do października i przed samą akcją wyprowadził mnie kuzyn, który miał protekcję u komendanta granatowej policji. Poszliśmy do Łagiewnik do cegielni, tam miałem czekać u stróża P. Kuzyn miał przepustkę i szedł w opasce, a ja szedłem za nim o kilka kroków. Kilka dni siedziałem u tego stróża i mama przyjechała po mnie.

Pojechaliśmy do Makowa i mama się tam zameldowała i mieliśmy kartki żywnościowe. Tam ciągle mieliśmy boja, był taki człowiek co nas znał z Krakowa, ale jakoś nam uszło. Mama często musiała jeździć do Krakowa, żeby sprzedawać różne rzeczy i z tego żyliśmy. W maju 1944 mama pojechała we środę wieczorem i miała wrócić we czwartek albo w piątek. Mówiła, że jak się jej uda teraz sprzedać, to będziemy mieć na jakiś czas spokój. Tymczasem jak pojechała, tak nie wróciła więcej. Gdy mamy w niedzielę nie było, to już myślałem: Oho, jest źle. Jeszcze sobie myślałem, że był pewnie wielki tłok i mama nie mogła wsiąść do pociągu. Ale za kilka dni przyjechał po mnie P. i opowiedział, że mama była u niego i wyszła na miasto i więcej nie wróciła. Zabrał trochę rzeczy i przyjechaliśmy na cegielnię. U P. ukrywał się też mój kuzyn, który siedział w komórce.

Około 20 czerwca P. pojechał do Makowa, żeby przywieźć resztę rzeczy. Tymczasem wszystko się tam wydało, że my jesteśmy Żydzi i tam go oddali policji. Do cegielni telefonowali z posterunku z Makowa i żona P. się dowiedziała. Przybiegła do mnie i kuzyna, że musimy zaraz uciekać, bo z P. przyjedzie policja. Poszliśmy przed siebie w pola, błądziliśmy w górę i w dół. Potem kuzyn powiedział, że musimy się rozstać, bo tak to nas ktoś zauważy i kazał mi przespać noc w polu i na drugi dzień przyjść na ulicę Brodzińskiego. Jeszcze mi pokazał drogę z Borku Fałęckiego na Zakrzówek. Tam rosło wysokie zboże.

Miałem ćwiartkę białego chleba, to zjadłem, zapiąłem sobie zimową czapkę pod brodą, otuliłem się cały bluzką i tak spałem. Ale na drugi dzień kuzyna nie było na ul. Brodziń-

skiego i już go więcej nie widziałem. Myślę, że go złapali. Chodziłem po ulicach Podgórza i zobaczyłem krewnego mojej gospodyni z Makowa, jak wysiadał z dorożki. Uciekłem przed nim, ale zaraz na drugim rogu ulicy znowu go spotkałem. Gdzie tylko szedłem, widziałem go. Nie wiem, czy byli ludzie tacy podobni do niego, czy mi się tak zdawało. Byłem bardzo głodny i zmęczony. Jeszcze jedną noc spałem na Zakrzówku, ale rano byłem ledwie żywy. Spotkałem tramwajarza i on mi poradził, żeby iść do żłóbka na ul. Polną w Dębnikach. Tam mi powiedzieli, że tylko małe dzieci przyjmują i poszedłem dalej.

Lb. 5.

ROMAN GOLDMANN — 14 LAT

„Mnie się wtedy udało dosięgnąć miary"

Do Oświęcimia jechaliśmy trzy dni. Było to letnią porą 1943, ale dokładnej daty nie pamiętam. Wyładowano nas na rampie w Birkenau (Brzezinki) i ustawiono w kolumny. Przyszli Żydzi z *Kanady* i eskortowali transport do łaźni. *Kanada* to były składy rzeczy pozostałych po zagazowanych. Żydzi, którzy tam pracowali, nazywali się *„ludzie z Kanady"*. Widzieliśmy kominy krematorium i pytaliśmy tych ludzi, co to jest. Oni mówili, że „piekarnie". Staliśmy w kolejce. Nikt nie wiedział, gdzie naprawdę idziemy, czy do łaźni, czy na gaz. Każdy zjadał, co miał jeszcze przy sobie, bo to może już ostatni raz, lepiej zjeść, bo nie wiadomo, co będzie. Nikt nie płakał, tylko wszyscy politykowali. Naprzód poszły kobiety. Przez pięć dni nie wiedzieliśmy, co się z nimi stało, dopiero potem zobaczyłem mamusię na sąsiednim bloku.

Dostałem się z innymi chłopakami do pracy w *rollkomandzie*. Były dwie *rollwagi*, a gdy było dużo roboty, dochodziła trzecia. Najwięcej roboty było, jak przychodziły transporty. Pamiętam transport z Theresienstadt. Dużo tych ludzi przyjechało już martwych, zaduszonych, albo zmarłych z wycieńczenia. Ich trupy myśmy na rollwagach wozili na spalenie do krematorium. W drodze powrotnej z krematorium braliśmy drzewo do bloków. Czasem udało nam się za to drzewo dostać

od blokowych chleba. Na *rollwagach* jeździło się po całym *lagrze*. Łatwo mi było zobaczyć się z siostrą i mamusią.

Jak tylko miałem sposobność, dowoziłem dla mamusi i siostry chleb. Mnie zawsze było łatwiej, bo na naszym *lagrze D* można było sobie coś zorganizować. Ludzie ze *Sonderkomanda*, co obsługiwali gazownie i krematoria, dostawali dwa razy w tygodniu *zulagi*, dodatkowy przydział chleba. Było zawsze tego chleba ze sto bochenków. Tym ze *Sonderkomanda* na chlebie nie zależało. Oni pracowali przy krematorium i wolno im było brać, co chcieli, z walizek tych ludzi, co szli na gaz. Mieli wtedy dosyć dobrego jedzenia. Po chleb przyjeżdżali, ale pozwalali nam go „rozłapać". Chłopaki już wiedzieli, kiedy *Sonderkomando* przyjeżdża po chleb i czatowali na tę chwilę. Kto był silny i zręczny, ten złapał bochenek albo dwa. Jak się udało, można było potem siostrze i mamusi zawieźć taki chleb. Ale niezawsze się udało. Trzeba było nawalać przed blokowym. Raz mnie złapał, jak już miałem chleb i tak zbił kijem, że trzy dni nie mogłem chodzić. Ale to i tak nie pomogło, kiedy była *zulaga* zawsze walczyłem o chleb.

Dwa razy za czasów oświęcimskich byłem na selekcji. Pierwszy raz w dwa tygodnie po przyjeździe zanim nas przeniesiono z *lagru* cygańskiego E do *lagru* D. Do D przechodzili tylko ludzie zdolni do pracy. Wtedy doktór przeznaczył na spalenie 280 ludzi, w tym 60 dzieci. Byłem między nimi. Naprzód była *blokszpera*, nie wolno było wychodzić. Potem *alles antreten!*, wszyscy na apel, do pasa nago i lekarz chodził i wybierał. Nie badał ludzi, tylko tak patrzał. Kto był bardzo chudy, starszy, kto się nie spodobał i także mniejsze dzieci, — odstawiał na bok. Ja byłem dość duży, ale bardzo źle wyglądałem i żebra mi sterczały. Ludzie starali się stać prosto i spodobać się doktorowi. Trzymali głowy do góry i wytrzeszczali oczy. To bardzo śmiesznie wyglądało. Potem ci, co na życie, poszli z powrotem, a my na osobny blok.

Wszyscy już wiedzieliśmy, co nas czeka. Nie chciałem iść na gaz, myślałem sobie, lepiej jak mnie zastrzelą, a będę uciekał. Przynieśli nam zupę. Zrobiło się przy drzwiach zamiesza-

nie. Wtedy wyskoczyłem na pryczę, z pryczy na poprzeczną belkę dachową, nogami wybiłem okienko i tamtędy na dach. Za mią wyskoczyło jeszcze kilku chłopców. Wpadłem na blok do tatusia i tam się ukryłem. Następnego dnia udało mi się przemycić razem z tatusiem na *D-lager*.

Po kilku tygodniach, gdyśmy pracowali przy *rollwagach*, była selekcja chłopaków. Zebrano wszystkich żydowskich chłopaków na *D-lagrze* i wsadzono na blok 11. Był to blok karny i wiedzieliśmy, że tu nas nic dobrego nie czeka. Tego samego dnia wszyscy uciekliśmy i pochowaliśmy się po różnych blokach. Ale nam to nic nie pomogło. Blokowy z Leonem z aprowizacji urządził na nas polowanie i po kolei wszystkich nas wyłapano. Każdy dostał po 20 kijów i dwa razy w gębę. Z tych 50-ciu chłopców, którzy byli wtedy na bloku 11-tym wybrano tylko trzech poniżej 9-ciu lat i ci poszli na spalenie. Oprócz nich byli jeszcze mali chłopcy, bliźniacy, ale tych Dr. Mengele zostawił, bo brał od nich krew na badanie.

Po dwóch tygodniach była znowu selekcja. Tym razem wzięto nas do *Waschraumu*, stamtąd wchodziliśmy kolejno do ambulatorium. W ambulatorium był doktór Mengele, ten co robił zawsze selekcje i patrzył jak szliśmy pod miarę. Musiało się mieć 1.50 m, inaczej szło się na gaz. Jeden Żyd trzymał poprzeczną listewkę i starał się, jak tylko Mengele nie patrzał, trochę ją pochylić na skos. Każdy z nas starał się znowu stanąć na palcach, żeby głową dosięgnąć miary. Ale to niewiele pomogło. 32 chłopców nie miało miary, ci zostali odprowadzeni do osobnego bloku. Mnie się wtedy udało dosięgnąć miary.

Mamusię i siostrę przeniesiono do *F. K. L. (Frauen Konzentrationslager)* i trudno się było z niemi zobaczyć. Prosiłem blokowego, to mi czasem pozwalał iść z *komandem* czyścicieli kanałów, wtedy mogłem się z nimi zobaczyć. W grudniu 1944 siostra została wysłana na transport do Niemiec, a tatuś trochę później. Mamunia została do ostatniej chwili, ale dwa dni przed likwidacją obozu ja zachorowałem na odrę, miałem wysoką gorączkę i leżałem na *Krankenbau*. Nie wiem, co się stało

z mamusią, bo jak wstałem, to już jej nie było. Pewno pognali ją z ostatnim transportem.

Jak niemcy zaczęli uciekać, baliśmy się, żeby nas nie zabrali ze sobą, albo nie zastrzelili i we trzech z Neumanem z Białegostoku i jednym rosyjskim chłopcem Czabanem, zrobiliśmy sobie kryjówkę pod podłogą. Mieliśmy tam zapas jedzenia, bo wtedy magazyny były rozbite i można było wszystko brać. W tej kryjówce siedzieliśmy dwa dni. Jak przyszli Rosjanie, poszliśmy we trójkę w stronę Krakowa.

Lb. 4.

ADAM LANDESBERG — 15 LAT

Gdy cena cyjankali wzrosła bardzo

W sierpniu 1942 roku mamusię złapano na ulicy, gdy szła do pracy razem z kilku innymi kobietami i odstawiono do obozu Janowskiego. Stamtąd wysłano ją transportem do Bełżca i nigdy już jej nie widziałem ani nic nie słyszałem o matce. O Bełżcu mówiono z początku, że to jest obóz pracy, dopiero potem rozeszły się wieści, że wszyscy tam idą na śmierć.

Zostałem z ojcem i mieszkaliśmy w mieście do 7-go września 1942. Podczas wielkiej akcji sierpniowej zabrano nas na milicję ukraińską. Ojciec miał dobre papiery i zwolnili go, mnie zatrzymali. Ale ojciec nie chciał się ze mną rozstać i poszliśmy razem do obozu janowskiego. Tam udało się ojcu wyprosić mnie i razem wróciliśmy do naszego mieszkania. Ojciec dalej chodził do pracy, ja załatwiałem wszystkie zakupy i gotowałem. To mi zajmowało cały dzień i nie miałem czasu na nic innego.

We wrześniu musieliśmy przejść do ghetta. Nie mieliśmy mieszkania, byliśmy bez pieniędzy i bez rzeczy. Spaliśmy na schodach albo na gankach. Potem wujek zabrał nas na strych domu, w którym mieszkał. Było wtedy strasznie. Panował tyfus, ludzie umierali jak muchy, trupy leżały po ulicach. Nie pamiętam dokładnie dat i nie wiem, kiedy jakie fakty miały miejsce, tylko niektóre mogę podać dokładnie. Nie wiem dla-

czego, ale dziwnie straciłem pamięć. Teraz jest mi już trochę lepiej, ale były chwile, wtedy kiedy się ukrywałem, że budziłem się w nocy i nie mogłem sobie przypomnieć, jak było na imię mamusi.

Odstawiono nas na plac, gdzie gromadzono tych wszystkich, którzy już przeszli legitymowanie, tam jeszcze raz segregowano i jeszcze raz odłączono mnie od grupy, ale i tym razem przemyciłem się do pracujących. Następnie zabrano naszą grupę do jednego z bloków Schwarza i tam odbyła się ostatnia segregacja, taka dokładna, że już nic nie mogłem zrobić.

Zabrano mnie i tatuś zawołał po niemiecku: *„to jest mój syn!"* Wtedy tatusia też zabrano razem ze mną i innymi przeznaczonymi na transport, czy na śmierć. Tatuś stał na boku. Ale przyjechał dyrektor *Rohstoffu* po swoich ludzi i zabrał ojca do pracujących, a ja zostałem sam. Działo się to wszystko w takim zamieszaniu i pośpiechu, że nawet się z ojcem nie pożegnałem.

Odrazu dzielono nas na grupy i wyprowadzano z obozu. Tutaj załadowano nas na lory tramwajowe i pojechaliśmy na dworzec kleparowski. Nie wiem, ilu było tych ludzi, wiem, że bardzo dużo. Niektóre dzieci były zupełnie małe, bez rodziców, jedno dziecko malutkie i nagie zmarło w wagonie. Kazano zdejmować buty i płaszcze. Usiadłem razem z innymi na ziemi i zdjąłem buty. Boso i bez płaszcza znalazłem się w wagonie. Było nas w tym wagonie 140 ludzi, pod ścianą leżeli chorzy na tyfus, umierający i małe dzieci. Niektórzy się modlili, inni płakali. Wszyscy wiedzieliśmy jedno: jedziemy do Bełżca. Staliśmy w wagonach od 12-tej w południe do 11-tej w nocy. Wtedy nastąpił wyjazd. Już koło Brzuchowic zaczęliśmy się przygotowywać do ucieczki. Było mi wszystko jedno, wiedziałem, że jadę na śmierć, nie chciałem umierać, ale jeśli już, to nie w Bełżcu, nie w gazie. Miałem wtedy 12 lat, ale słyszałem o tym i dobrze wiedziałem, co mnie czeka. Pierwszy wyskoczył przez okienko, które było bardzo wysoko, mały chłopak, za nim jeden mężczyzna, ja byłem trzeci. Z pociągu prawie nieustannie strzelano, bo ciągle ktoś wyskakiwał, ale

było ciemno i trudno trafić. Wyskoczyłem i odrazu straciłem przytomność. Uderzyłem głową o coś twardego, prawdopodobnie o słup. Obudziło mnie przeraźliwe zimno.

Był już listopad — chłodna noc, byłem boso i bez płaszcza. Całe ciało bolało mnie jak jedna rana. Na twarzy czułem skorupę krwi. Była wtedy może trzecia nad ranem. Trafiłem do pierwszej chałupy, zapukałem, nikt mi nie otworzył. Tak chodziłem od chaty do chaty, aż wreszcie jedne drzwi się otwarły. Chłop ukraiński poświecił mi w oczy latarką i już wiedział, kto jestem. Znał już pewnie takich uciekinierów z innych transportów. Zaprowadził mnie do stodoły i pozwolił przespać się w sianie. Powiedział mi, że jestem o trzy kilometry od Żółkwi. Rano przyniósł mi do stodoły śniadanie i wodę do mycia. Kazał mi popatrzeć do lusterka, miałem na twarzy skorupę zaschniętej krwi. Jedno skaleczenie na czole, po którym mam bliznę i dużo mniejszych na całej twarzy. Całe ciało miałem takie obolałe, że nie mogłem się ruszać, ale musiałem iść dalej.

Po powrocie do Lwowa mieszkaliśmy w ghetcie w koszarach *Rohstoffu,* gdzie mieli pomieszczenie wszyscy pracownicy tej firmy razem z dziećmi. Dzieci miały specjalne legitymacje. Akcje w ghetcie trwały prawie bezustannie, łapano ludzi młodych do obozu janowskiego, starych i niepracujących do transportów do Bełżca.

Dzieci też łapano i mimo legitymacji trzeba się było kryć i uważać, bo najczęściej nic nie pomagało.

W styczniu zaczęła się najgorsza, najbardziej krwawa akcja na wszystkich niepracujących. Ojciec wyszedł do pracy, a ja siedziałem w bunkrze przez dwa dni. Po tym okresie wyszliśmy na ulicę, wszędzie leżały nagie trupy. Wystrzelano wtedy w ghetcie 2.000 ludzi. Jechały sanie załadowane nagimi trupami, przykryte płachtą, na cmentarz janowski, gdzie je grzebali.

W tym czasie w *Rohstoffie* przyszła redukcja i ojca zredukowali. Wtedy ludzie starali się dostać „*W*", to był znak *Wehrmacht,* że się pracuje dla wojska. Tatuś starał się, ale

nie mógł dostać i kupił sobie takie fałszywe „W". To się nosiło na piersiach. Kogo było stać, ten sobie kupował truciznę, ale cena cyjankali bardzo wtedy wzrosła. Jedna porcja kosztowała do trzech tysięcy złotych. „W" było w każdym razie tańsze, bo już od 300 zł za sztukę i ojciec kupił sobie takie, bo nie miał więcej pieniędzy.

27 stycznia 1943 tatusia schwytano, jak wychodził i stwierdzono, że ma fałszywe „W". Zabrano go do więzienia przy ul. Żeromskiego i po dwóch dniach przyjechał komendant obozu janowskiego i zabrał go do obozu.

Zostałem sam z kuzynką o rok starszą ode mnie i wtedy zdecydowałem się na ucieczkę z ghetta.

Poszedłem na ulicę Serbską do służącej mojego wujka. Tam już była moja kuzynka i naprzód byliśmy we dwójkę, a po kilku miesiącach było nas pięć osób. Mieszkaliśmy w jednym pokoju z nyżą. Nasza gospodyni była samotna, więc nie wolno było dać poznać, że w mieszkaniu poza nią jeszcze ktoś jest. Dlatego siedzieliśmy cały dzień i rozmawiali szeptem. Gdy ktoś pukał, właziliśmy wszyscy w róg pokoju za kredens. Siedzieć mogliśmy tylko z jednej strony na kanapce, bo z drugiej było widać okna naprzeciw. Z przynoszeniem żywności dla nas było też bardzo dużo kłopotu, bo takich ilości nie potrzeba było przecież dla jednej osoby i to mogło być podejrzane.

Gdy po półtorarocznym ukrywaniu się wyszedłem wreszcie z ukrycia, nie mogłem nawet kilku kroków zrobić bez laski. Wyszedłem z anemią i blady jak trup.

Lb. 60.

RAFAŁ SCHLEGEL — 14 LAT

Niedostrzelony

Obaj z ojcem poszliśmy na wieś do znajomego chłopa, we wsi Folwarki. To było zaraz koło miasta, o jeden kilometr drogi. Tam ojciec pracował w polu i przy gospodarstwie, a ja pasłem krowy. Ale ojciec musiał wrócić do miasta i pracował u niemców na lotnisku, a ja zostałem na wsi.

Pierwsza wielka akcja była w lecie 1942. W ten dzień przyszedłem z gospodarzem z pola, a gospodyni mówi, że Żydów strzelają w miasteczku i na podwórzu naszego sąsiada zastrzelono Żyda, który się tam ukrywał. Tak mnie dali chleba ze serem, sierp i worek i kazali iść w pole żąć trawę, to mnie nikt nie pozna.

Ta akcja była przez trzy dni i ja przez ten czas byłem cały dzień w polu i dopiero jak było całkiem ciemno, zabierał mnie wujko (ja tak mówiłem na gospodarza) i szedłem spać na górę, na siano. Wtedy w Brodach strzelali tych, co uciekali, chorych i starych, a reszta szła na transport do Bełżca.

W tej akcji zabrali mi na transport tatusia, a dwóch braci do *lagru* do Sasowa. Mamusia z dwoma braciszkami została w mieście. Ja byłem ciągle na wsi, wszyscy mnie tam znali i wiedzieli, że ja Żyd, ale wujko bał się tylko dwóch sąsiadów, bo oni dużo Żydów wydali. Ale oni wydawali tylko tych, co mieli dużo pieniędzy, albo złoto, a o mnie wiedzieli, że ja biedny.

Druga akcja była w październiku 1942 i ciągnęła się dwa dni. Siedziałem przez ten czas w słomie na strychu. Po dwóch dniach przyszedł Żyd szewc, co naprawiał buty wujkowi i powiedział, że w mieście spokój, że można iść. Tak ja poszedłem, bo chciałem wiedzieć, co z mamusią. Ale chałupa była zamknięta, nie było nikogo. Mnie ludzie powiedzieli, że mamę i dwóch braciszków zabrali na transport. Ja już wtedy byłem sam.

Dziesięć dni potem zaczęła się akcja. Wszystkich Żydów łapali. Wtedy już nie mogłem zostać u mojego gospodarza, bo szukali po domach i wsiach. Poszukałem innych kolegów, co się też kryli po wsi, razem było nas trzech chłopców i dwie dziewczyny. Schowaliśmy się w tej samej wsi, w rozwalonej stolarni, tam siedzieliśmy w takim dole. Jeden chodził wieczorem po jedzenie do wsi. Tam byliśmy siedem dni. Potem nas ktoś wydał. Przyszło dwóch milicjantów ukraińskich, nie mogliśmy uciekać, bo nas tak nagle zaszli. Prosiliśmy i płakali, żeby nas puścili, a oni mówili: „Po co wam tu siedzieć, tu nie można, wy pójdziecie do ghetta". Przywiedli nas do ghetta, do

takiego rozwalonego domu od strony rzeki. Przez otwarte drzwi zobaczyliśmy taką kupę łachów — to były trupy. Wtedy znowu zaczęliśmy prosić, a jeden milicjant uderzył kolbą mojego kolegę i krzyknął: „wy parszywe Żydy chcecie żyć?" i strzelił w niego. Tamten upadł. Tak ja pomyślałem, że nie chcę patrzeć, jak będą moich kolegów strzelać i wyszedłem naprzód, niech mnie od razu zastrzeli. Milicjant pchnął mnie i strzelił. Upadłem i uderzyłem głową o czyjś but. Zabolało mnie i pomyślałem: — „czy to śmierć"? Mówili, że jak zastrzelą, to tylko raz zaboli i nic, a ja czułem, że leżę na ziemi i mam potłuczoną głowę. Słyszałem jeszcze kilka strzałów i potem zrobiło się cicho. Pomodliłem się do mamusi i pomyślałem, że jeżeli żyję, to lepiej podnieść się, niech zastrzelą, bo inaczej podpalą ten dom i trzeba się palić żywcem. Wtem usłyszałem, że koło mnie ktoś sapie. Podniosłem głowę i popatrzyłem. To dychał mój kolega, ten co poszedł pierwszy; on też nie był zastrzelony. Powiedział cicho: — *„leż, nie ruszaj się"*. Ale ja nie chciałem czekać, chciałem zaraz uciekać. Dwie dziewczynki były tak zastrzelone, że nie miały głów, były całe roztrzaskane. Na mojej głowie i szyi był ich mózg. Płaszcz miałem zakrwawiony. Prędko zdjąłem płaszcz i buty, mój kolega tak samo i poszliśmy przez rzekę. Uciekliśmy razem i błąkaliśmy się całą noc, a na drugi dzień przyszliśmy razem do naszej wsi.

Znowu poszedłem do tego wujka i już tam zostałem. Nie chciałem, żeby ludzie wiedzieli, że się u niego kryję i aż do żniw siedziałem dzień i noc w polu, w zbożu. Tam mi przynosili jedzenie i raz na tydzień, w nocy, szedłem się umyć i przebrać. Gdy już front był blisko, w marcu 1944, już nie mogłem dłużej być w tej wsi. Wujko kazał iść pod front,, może się dostanę do Sowietów. Poszedłem do wsi Berlin i tam trafiłem do chaty, gdzie siedzieli partyzanci sowieccy. Powiedziałem, że jestem z Dubna, że ojca zabrali do Niemiec, a matkę bomba zabiła. Partyzanci kazali kobiecie, żeby mi dała jeść i żeby mnie wzięła na służbę. Zaraz, jak oni poszli, gospodyni zaczęła się wypytywać, czy ja nie jestem Żyd. Nie chciałem się przyznać, zmówiłem wszystkie pacierze, jakie umiałem. Byłem tam kilka

dni i gospodyni dała mi czystą koszulę i kazała mi się umyć. Nie chciałem się cały rozbierać, ale krzyczała na mnie, że muszę i wtedy poznała, że jestem Żyd. Powiedziała, że ona się boi, bo tu są banderowcy, żebym szedł bliżej frontu. Poszedłem do wsi Bułdury. To było o trzy kilometry od frontu.

Za kilka dni przyszły już pierwsze patrole sowieckie.

Lb. 66.

RÓŻA JAKUBOWICZ — 9 LAT

U chłopów

Zaczęli łapać kobiety i starych ludzi i dzieci. I ciągle trzeba było się chować. Tatuś uprosił niemca, żeby mu pozwolił zabrać mnie i mamusię do lasu i tam byliśmy jak były największe łapanki. Potem niemcy zbudowali obóz, otoczyli go drutami i wszyscy mówili, że najlepiej będzie pracować w *lagrze,* bo tam nikogo nie zabiją. Ale do obozu nie chcieli brać dzieci, choć mamusia bardzo prosiła niemca, żeby pozwolił mnie zabrać.

Raz w nocy, jak byliśmy jeszcze w dzielnicy, była łapanka na kobiety i dzieci i mamusia zabrała mnie i przez parkan i druty uciekałyśmy do *lagru.*

Raz też ukrywaliśmy się w lesie u tatusia, w takim lochu. Siedziało tam dużo ludzi i czekało aż się skończy strzelanie. W obozie musiałam się ukrywać, żeby mnie niemiec nie widział. Albo leżałam na pryczy i jak słyszałam kroki, chowałam się pod pierzynę, albo wchodziłam w taką dziurę pod piecem. Bardzo mi się nudziło, cały dzień musiałam siedzieć sama, jak tatuś i mamusia szli do pracy, do lasu. Nie wolno mi było ani razu wyjść przed barak, a drzwi musiały być cały dzień otwarte.

Jednego razu zaczęła się łapanka. Wszyscy mówili, że to jest akcja. Tatuś nie chciał się chować, mówił, że jemu nic nie grozi i zamknął za nami drzwi. Myśmy siedziały jeszcze z innymi kobietami w kryjówce w ścianie, cały dzień i noc. Słychać było, jak w obozie strzelali. Potem przyszedł do nas

znajomy Polak i powiedział, że już się uspokoiło, ale tatusia nie było. Nie wiedzieliśmy, czy tatusia też zastrzelili, czy go zabrali.

Ten niemiec, który miał las, zbudował u siebie baraki i my z mamusią i z innymi kobietami poszłyśmy tam do pracy. Mnie mamusia zakrywała, jak tam szłyśmy, żeby mnie niemcy nie widzieli, bo byłam za mała. Tam w piwnicy wybierałam zgniłe ziemniaki i mamusia zawsze mnie zasłaniała. Ale ten niemiec, u którego tatuś pracował, wiedział, że ja jestem i zgodził się na to, ale powiedział, że jemu nie wolno trzymać dzieci i jak policja przyjedzie to i tak mnie zastrzelą.

Zaczęła się znowu akcja na dzieci, kobiety i chorych i mamusia oddała mnie do jednej chłopki do Adampola. To było bardzo blisko i mamusia do mnie chodziła i ja do mamusi, ale się wszyscy domyślali, że ja jestem Żydówka. Raz byłam u mamusi i szłam z powrotem do wsi i spotkałam fury z niemcami. Nic nie myślałam złego, a tu tymczasem ludzie we wsi mówią, że niemcy otoczyli gajówkę i będą strzelać Żydówki. Bardzo wtedy płakałam i bałam się o mamusię. Nasz gospodarz mnie pocieszał, że to może jeszcze nieprawda, ale na drugi dzień poszedł zobaczyć i przyszedł i powiedział, że jak chcę mamusię ostatni raz zobaczyć, to żebym poszła z nim, bo mamusia leży zastrzelona w rzece. Ale ja nie chciałam widzieć mamusi zastrzelonej.

Lb. 31.

EMANUEL KLIEGEL 15 LAT

W Buczaczu

Pierwsza akcja była w jesieni 1942, nie pamiętam dokładnie daty, było to zaraz po świętach szałasów. Wtedy mamusia wysłała siostrę do znajomej chłopki na kolonię Siemińcze i ona tam była dziewięć dni, a ja z mamą siedziałiśmy w bunkrze. Wtedy do Bełżca wywieziono z Buczacza 1.500 ludzi, a na miejscu zamordowano 200 osób. Potem siostra moja wyjechała

na aryjskie papiery do Lwowa, a mnie mamusia wysłała do tej chłopki na kolonię. Zawieźliśmy jej dużo naszych rzeczy, kilka worków. Ale tam przyjechał jej brat, który uciekł z Niemiec. Był to straszny antysemita, a poza tym złodziej i taki typ spod ciemnej gwiazdy. Nie mogłam tam zostać ani dnia dłużej. Przyjechałam z powrotem do Buczacza w sam raz jeden dzień po akcji. Nie wiem, ile wtedy ludzi zginęło, część wywieziono, a wszystkich chorych na tyfus zastrzelono w łóżkach w szpitalu. Ta druga akcja była w listopadzie.

W połowie grudnia wyjechaliśmy z mamusią na kolonię i nasza chłopka trzymała nas dwa tygodnie. Zrobiła nam taki schowek w stajni, gdzie była kucza dla świni i gdzie leżały ziemniaki. Tam chowałyśmy się, jak ktoś pukał. Po dwóch tygodniach chłopka powiedziała, że nie może nas dłużej trzymać, bo już zaczęli ludzie o tym mówić.

Wróciliśmy na *Gassenakcję*, łapano ludzi na ulicach. Wtedy ja poszedłem za miasto do jednego znajomego, który miał aryjskie papiery i mieszkanie. Tam przespałem noc. Naprzeciw tego domu były wykopane doły i tam o 10-ej przyprowadzili pierwszą partię Żydów na rozstrzelanie. Patrzyliśmy na to ze strychu, było wszystko widać. Nie wiem, ile było tych ludzi, ale zdawało mi się, że tłumy. Wszyscy musieli się rozbierać do naga i stawać rzędem nad dołem. Wtedy z karabinu maszynowego strzelano do nich i znowu szli następni. Widziałem na własne oczy, jak jedna staruszka upadła i gestapowiec chwycił ją za włosy, strzelił jej w twarz, a potem ją kopnął tak, że zleciała z góry na dół.

Nie wiem, ile wtedy ludzi zginęło, ale całe tłumy szły na śmierć. To była w Buczaczu pierwsza egzekucja, w której strzelano na miejscu, poprzednio strzelano tylko tych, co uciekali, albo starców.

13 kwietnia była czwarta akcja. Wtedy mieliśmy całonocne dyżury, żeby nas akcja nie zaskoczyła. Ale to zaczęło się o 4-tej nad ranem i od razu przez okno zastrzelono dyżurnego, który szedł schodami, żeby nas obudzić. Jak nas ten strzał obudził, wszyscy w pośpiechu wybiegliśmy do schronów.

Ja pobiegłem w samej tylko koszuli, a tam była taka piwnica, gdzie się lało po ścianach. Gestapowcy brali wtedy ludzi prosto z łóżek, nie pozwalali się ubierać, tylko w bieliźnie pędzili.

Gdy się uspokoiło, w tym samym tygodniu poszedłem do naszej chłopki już na stałe, bo wiedzieliśmy, że niedługo ma Buczacz być *judenrein*. Dnia 28 kwietnia przyszła do mnie mamusia. Naprzód siedzieliśmy na strychu, ale była obawa, że nas może tam ktoś zobaczyć, bo raz złodziej wszedł w nocy. Zrobili dla nas wtedy schron, do którego schodziło się ze strychu po drabinie. Był to schowek wydzielony ścianką z komory. Miał 40 cm szerokości. We dwoje nie można się tam było położyć. Spaliśmy z mamusią na zmianę, a w dzień siedzieliśmy na strychu.

W zimie, gdy było bardzo zimno, nie mogłem czasem wytrzymać i schodziłem do izby, na piec. Z naszego schowka był dziura prosto na piec i tamtędy można było się wsunąć. Jednego razu leżałem tam i nagle wszedł narzeczony córki naszej gospodyni. Byłem w samej koszuli i włosy miałem aż do ramion. Wtedy on się nastraszył i uciekł. Opowiadał potem, że w chacie jest „didko", diabeł i dlatego gospodyni ma pieniądze. Wtedy już nie można mnie było ukryć, więc gospodyni powiedziała, że jestem całkiem zidiociały i zostawili mnie w spokoju.

Byliśmy u tej chłopki 11 miesięcy. Dnia 22 marca 1944 przyszli Rosjanie i poszedłem z mamusią do miasta. Byłem bardzo chory. Nie mogłem w ogóle chodzić. Nogi miałem spuchnięte jak konewki. Byliśmy w Buczaczu, a tu tymczasem wielkie siły niemieckie szły od Kamieńca Podolskiego i Rosjanie 5-go marca wycofali się z miasta, żeby się nie dać okrążyć. Kto był mądry, na gwałt uciekał na wschód. Już siedziałem na furze razem z mamusią i nagle mamusia rozmyśliła się i wysiadła, a mnie zostawiła. Nie mogłem zeskoczyć, bo miałem chore nogi. Ludzie wrzeszczeli, żeby jechać. Mamusia wtedy zginęła w Buczaczu razem z innymi. Z tysiąca Żydów tylko stu ocalało. Resztę niemcy wymordowali.

IZYDOR NAJMAN — 13 LAT

Czortków i Kopyczyńce

W Czortkowie było już ghetto. Mieliśmy tam krewnych i było bardzo trudno o żywność. Mamusia poszła jednego dnia zanieść tam jedzenie. Mamusia wyglądała jak aryjka i po drodze nie nosiła opaski, wkładała ją tylko, gdy wchodziła do ghetta. Już wszystko załatwiła i szła z powrotem przez miasto i wtedy zaczepił mamusię gestapowiec, bo mamusia miała bardzo ładny kożuszek wyszywany i on chciał go mamusi odebrać. Ale mamusia nie chciała go dać i zaczęła się wyrywać. Wtedy wypadła mamusi z kieszeni opaska z gwiazdą i gestapowiec to zobaczył. Ludzie z naszej wsi opowiadali, że bił mamusię tak strasznie, tak okropnie. I już więcej nie zobaczyliśmy mamusi, zawlókł ją na gestapo i nie wiem, co się stało. Tylko jedna Żydówka, która wtedy siedziała na gestapo i potem wyszła, przyszła do nas i opowiadała, że jak mamusię przywlekli do tej piwnicy, to była niepodobna do człowieka, cała czarna od bicia. Tak wtedy ja chciałem zabić tę kobietę, co nam to opowiedziała, chciałem ją zabić kołkiem, tylko mnie tatuś powstrzymał. Bo nie mogłem znieść tego, że musiała nam to opowiedzieć. Czy ona nie rozumiała, że nie mogłem tego słuchać, że mnie to tak boli.

W czerwcu 1942 *Judenrat* wysyłał ludzi na robotę na rolę do folwarków, które były pod zarządem niemieckim. Wysłano 23 osoby na folwark Samołoskowce, powiat Husiatyn i ja tam pojechałem z tatusiem. Praca na folwarku była bardzo ciężka, każdy robił za trzech. Pilnował rządca Ukrainiec i bardzo męczył Żydów. Ja sam pasłem 56 owiec bez psa i bez żadnej pomocy. Nogi miałem odbite od biegania od wczesnego rana do nocy.

W czasie mego pobytu na folwarku była pierwsza akcja na Żydów. Było to w lipcu. Zabrano 1.500 ludzi na transport do Bełżca. Zabrano nam wtedy dziadzia. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, co to jest Bełżec, myśleliśmy — taki sobie *lager*. Dopiero potem ludzie się dowiedzieli, że stamtąd nikt żywy nie wyjdzie, że to jest gaz i krematorium.

Z początkiem czerwca, we czwartek nad ranem policja obstawiła Kopyczyńce dookoła i zaczęła się strzelanina. Do nas wpadł znajomy chłopak i zawołał, żeby uciekać. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Słychać było strzały, raz blisko, raz daleko. Tatuś wołał: — prędko! prędko! Naciągnąłem spodnie i bluzkę i bez czapki wypadłem na ulicę. Zdawało mi się, że tatuś za mną pędzi z bratem i siostrami, nie oglądałem się wcale. Dopiero na przedmieściu wpadłem pod stary płot w pokrzywy i zobaczyłem, że ludzie, którzy tu ze mną przybiegli, to byli obcy. Nie wiedziałem, gdzie tatuś i rodzeństwo. Chyłkiem uciekałem za miasto. Za mną słychać było strzały karabinów maszynowych. Biegłem tak cztery kilometry do Oryszkowic. W Oryszkowicach mieszkała moja niania. U niej byłem do niedzieli. Ale nie było żadnej wieści od moich i nie mogłem już wytrzymać z niepokoju. W niedzielę rano przyszedłem do Kopyczyniec. Dom zastałem pusty. Zastrzelono mi wszystkich i tatusia i brata i obie siostry, wszystko z domu wyrabowano. Zostały tylko gołe ściany.

W mieście zastrzelono cztery tysiące ludzi. W lesie o pół kilometra od Kopyczyniec kazano kopać doły. Wykopano siedem ogromnych grobów i tam leżeli wszyscy zabici i mój tatuś i brat i siostry.

Przyszedłem do Kopyczyniec o 10-tej rano, a już o 12-tej zaczęła się na nowo strzelanina. Dostałem się między dwa niemieckie auta z policją na szosie. Wiedziałem, że jak będę uciekał, to mnie zastrzelą. Szedłem spokojnie środkiem szosy i nawet zatrzymałem się przy jednym aucie, jak pastuch, taki co chce wszystko oglądnąć. Dotknąłem auta. Niemcy mnie odpędzili i wtedy poszedłem dalej.

Lb. 7.

LEON GEWANTER — 13 LAT

W lesie

Tato już wtedy chciał koniecznie znaleźć jakieś miejsce, żeby się można schować i umówił się z jednym polskim chło-

pem. On mieszkał na Łęgach nad Dniestrem, w całkiem odosobnionej chacie. Tam zrobiliśmy sobie bunkier z podkopem z pokoju. Podnosiło się deski w pokoju i przechodziło chodnikiem aż do szopy. Tam byłem z rodzicami i bratem i jeszcze dwaj Żydzi, handlarze koni. Byliśmy tam miesiąc, potem się uspokoiło i wróciliśmy do Bukaczowiec.

Musieliśmy iść do Rohatyna, bo wszystkich Żydów z Bukaczowiec wyrzucono.

Nie byliśmy tam długo, gdy stało się największe nieszczęście. Na tatę ktoś zrobił doniesienie. Oskarżono go, że nie oddał wszystkich swoich przyborów weterynaryjnych. Przyjechało wieczorem do Rohatyna gestapo i zabrali rodziców i brata. Ja w tym czasie byłem w mieszkaniu sąsiadów i dlatego ocalałem. Najpierw mi nie chciano nic powiedzieć, ale po jakimś czasie dowiedziałem się, że ich wtedy zaraz wszystkich zastrzelono. Znaleźli moją fotografię i wiedzieli, że ja jeszcze do tej rodziny należę. Szukali mnie i nawet zagrozili *Judenratowi*, że jak się nie zgłoszę, zastrzelą 300 ludzi, ale ja się cały czas ukrywałem.

Nocą poszedłem do polskiego chłopa, u którego były nasze rzeczy i on mnie przyjął. Siedziałem tam u niego na strychu kilka miesięcy, aż zaczęły się łapanki we wsi na roboty do Niemiec. Ludzie się buntowali, nie chcieli iść, wtedy Ukraińcy z niemcami podpalili wieś. Mój gospodarz z rodziną uciekł na drugą wieś, ale mnie nie mógł zabrać, bo nie miałem żadnych papierów, a wszyscy w okolicy mnie znali. W tej wsi ukrywało się dużo Żydów, przyłączyłem się do nich i poszliśmy do lasu. W lesie już było bardzo dużo żydowskich bunkrów, bardzo dobrze zbudowanych, z podwójnymi wyjściami. Była łączność między nami. Pięciu Żydów miało karabiny. Niemcy i Ukraińcy bali się wchodzić do lasu. Niemcy kilka razy zrobili na nas obławy, ale bali zapędzać się dalej w las tak, że nic nam nie zrobili...

DAWID TENNENBAUM — 14 LAT

Przebrany za dziewczynkę

Ojciec mój załatwił schronienie u pewnego Polaka w Zimnej Wodzie pod Lwowem. Dnia 5 grudnia ruszyliśmy, moja matka i ja, w towarzystwie owego Polaka do Zimnej Wody. Przebywaliśmy u niego prawie trzy miesiące. Później kilkanaście domów wzięto na ghetto, między nimi ten, w którym mieszkaliśmy. Ponieważ byliśmy formalnie zameldowani, dostaliśmy nakaz wyprowadzenia się. Wówczas moja matka wpadła na myśl przebrania mnie za dziewczynkę. Załatwiliśmy potrzebne papiery i wynajęliśmy mieszkanie w Zimnej Wodzie. To, że miałem krótkie włosy, tłumaczyła matka tym, że jestem po chorobie uszu, a to, że nie chodziłem do szkoły tym, że jestem nerwowo chory.

W najbliższym sąsiedztwie zamieszkał mój kolega szkolny. Byłem tak zmieniony, że mnie nie poznał, choć widział mnie kilka razy.

Lb. 255.

MARCEL TESSE — 9 LAT

Nr 30013 — 74717 — 14406

Podczas drugiego wysiedlenia mieliśmy pieczątki. Babcia też. Byliśmy na placu jeden dzień. Musieliśmy trzymać legitymację z pieczątkami. Mnie nie zależało na tym, czy mnie wezmą, czy nie, bo zabrano moją najlepszą koleżankę i pomyślałem sobie, że razem pójdziemy. Ale mnie nie zabrano. Babcię nam wtedy zabrali, bo powiedzieli, że była za stara. Pamiętam, że wtedy na placu puszczono duże psy i one gryzły dzieci.

Raz w nocy zbudzono nas, że ghetto jest otoczone. Mamusia zaczęła płakać, ale mnie ubrała i nad ranem wyszliśmy na plac. Polecieliśmy po pieczątki, ale gestapowcy strzelali do ludzi i pogubiliśmy się wszyscy. Ale wnet odnaleźliśmy się i kazano nam stanąć w szeregach, kobiety osobno i mężczyźni osobno. Wszyscy zaczęli mówić, że wszystkie dzieci będą strzelać. Tatuś wziął mnie pod płaszcz i wszyscy musieli

uklęknąć. Inne dzieci zebrano w grupy, obwiązano całą kolumnę sznurami i wyprowadzono za parkan. Wciąż słychać było strzały. Po jakimś czasie przyszedł gestapowiec Goeth, przechodził koło szeregu kobiet, liczył raz, dwa, trzy aż do dziesięciu i brał dziesiątą. Dzieci zabrano wszystkie.

Mnie nie zauważono. Potem kazano wszystkim kobietom pójść do baraku do krawców. Moja mamusia też była dziesiąta, ale zaczęła prosić gestapowca Blachego i ten pozwolił jej zostać. Potem Blache zaczął dziesiątkować mężczyzn, ale w środku przerwał i poszedł odebrać telegram, który do niego przyszedł. Wtedy ja wyleciałam spod płaszcza tatusia, otworzyłem drzwi baraku, gdzie były kobiety i tam mamusia ukryła mnie pod stołem, pod stosem płaszczy. Byłem w baraku ukryty z innymi dziećmi przez 12 dni. Pod stołem na jednej półce leżałem ja, na drugiej Jerzyk O. Było nam bardzo duszno, bo stół był obwieszony płachtą i powietrze nie dochodziło. Ciągle prosiłem o wodę, a mamusia się bała, żeby nie usłyszano, że jest dziecko.

Pojechaliśmy do Płaszowa. Tam mamusia i tatuś pracowali w *Ostinstitut Bücherei*, a ja chodziłem po *lagrze*. Dostałem tam numer 30013. Dostawałem dziennie jedną ćwiartkę chleba, czasami trochę margaryny, na obiad zupę grochową, czasem kapuśniak, a najlepsza była zupa *JUS-owa*. Dostawaliśmy też *JUS-owy* chleb. Nie byłem nigdy głodny.

Widziałem jak inni popychali wagony z kamieniami i byli bardzo zmęczeni. *Capo* bił ludzi, gdy byli zmęczeni i chcieli odpocząć. Czasem, gdy przywieziono auto ludzi, zawożono ich na „Hujową Górkę". Tam obok był wielki dół. Goniono tam ludzi i strzelano. Z Płaszowa zabrano mnie i tatusia do Gross-Rosen, a mamusia została w Płaszowie.

Do Gross-Rosen jechaliśmy dwa dni. Obóz był bardzo duży, pełno baraków, *SS* pilnowało, naokoło były druty kolczaste z elektrycznym prądem. Tam dostałem numer 74717. Nosiłem go na piersi, po lewej stronie. Ja tam nic nie robiłem, a tatuś miał służbę przy *Stubendienst*. Sprzątał barak, szorował podłogi. Ja byłem z nim razem. Bili tam bardzo łopatami po gło-

wie. Nosiło się pasiaki, ja nie. Zapomniałem jak długo tam byliśmy. Nikogo nie strzelano, ale ludzie umierali w szpitalu i z bicia. Kto zachorował, szedł do szpitala i prawie nigdy nie wracał, bo dawali tam zastrzyki i truli ludzi. Trupy palili w krematorium. Widziałem. Był to mały piec z wysokim kominem. Popiół wrzucano do rzeczki, która płynęła przez obóz.

Z Gross-Rosen musieliśmy wyjechać, bo nie wolno tam było być z dziećmi i gdy przywieziono jeszcze ośmioro dzieci, to nas razem wysłano do Oświęcimia. Pojechałem razem z tatusiem. Myśleliśmy, że tu już nas zabiją.

Wysłali nas do Birkenau (Brzezinki). Jest to 6 km od Oświęcimia. Jest tam jeden piec i trzy hale gazowe na żywych ludzi. W halach zagazowywano ludzi, a potem zagazowanych palono w piecach. Brano niby do kąpieli, dawano mydło, rzeczy kazano dać do gazowania, otwierały się elektryczne drzwi, ludzie wchodzili i już nigdy więcej nie wychodzili. Robiono tak najczęściej z transportami ludzi z wolności, albo z Terezyny i oni nie wiedzieli, na co idą i co się z nimi stanie.

Ja z tatusiem pracowaliśmy przy samolotach. Wytatuowano mi na lewej ręce numer B. 14406. To bardzo bolało. Nosiło się ubranie w małe lub duże pasy.

W niedzielę było pół dnia przerwy i wtedy tatuś przychodził do mnie i brał mnie na spacer. Tatuś bardzo źle wyglądał. W tym *lagrze* dostałem grzybek. Zaraziłem się od innego Żyda, Węgra, z którym spałem. Spotkałem też tam mamusię. Było to na jeden dzień przed wysłaniem tatusia. Mamusia wyglądała dobrze, przyjechała z Płaszowa. Bardzo się cieszyła. Widziałem ją na *Frauenlagrze*. Myślała, że zostanie razem z nami i cieszyła się.

Kiedy zaczęto mówić, że Rosjanie nadchodzą, ludzie się bardzo radowali, że wyjdą na wolność. Niemcy chodzili zdenerwowani i bili ludzi. Przed przyjściem Sowietów wygnali cały obóz na piechotę. Mnie nie wzięli, bo nie umiałbym chodzić piechotą i dali mnie na *Krankenstubę*. Wszystkich chorych zostawili i mieli rozstrzelać, ale już nie zdążyli.

MENDEL ROSENKRANZ — 17 LAT

Czortków — Tłuste

Akcja zaczęła się 4 grudnia rano. Nikt się tego nie spodziewał. Ulice i domy otoczyła policja i zaczęto ludzi gromadzić w bóżnicy. Ojciec ukrył nas na strychu. Mamusię, dwie moje siostry i mnie, a sam poszedł popatrzyć, co się dzieje. Wtedy go złapali i więcej nie widzieliśmy go.

W lipcu lub sierpniu 1942 — dokładnie nie pamiętam, została ogłoszona rejestracja wszystkich Żydów. Były na domach rozlepione plakaty, że w poniedziałek rano mają się stawić wszyscy na rynku i tam będzie rejestracja. W poniedziałek rano ludzie przyszli na rynek, ale nie wszyscy, bo niektórzy nie dowierzali i pochowali się w bunkrach. Ja też się schowałem z mamusią i ze siostrami. *Kreishauptmann* Doppler zaczął rejestrować, a nagle zajechały auta z gestapowcami i zaczęli strzelać w tłum. Wszystkich otoczono i zamknięto w dużym budynku tzw. dworze. Od poniedziałku do piątku trwała akcja. Gestapo szukało po domach, po strychach, w piwnicach i bunkrach. Myśmy zostali w bunkrze. Mieliśmy bardzo mało jedzenia, tylko trochę chleba. W sobotę rano gdy już było spokojnie, wyszliśmy z bunkra. Było więcej takich jak my, co się ukryli. Wzięto nas do roboty w magazynach żydowskich. Zbierano wszystkie rzeczy w jedno miejsce. Były osobne magazyny na towary, osobne na meble, osobne na garnki. Jeszcze dwa tygodnie to trwało, po dwóch tygodniach zaczęto łapać i wywozić do ghetta do Kołomyi. Zabrali mi wtedy mamusię i małą siostrzyczkę i już ich nigdy więcej nie widziałem.

W nocy zebraliśmy oboje ze siostrą nasze rzeczy i tobołki i uciekliśmy do Tłustego Przeszliśmy Dniestr. We czwartek przyszliśmy do Tłustego. Tam nie było ghetta ani akcji. Ale już w sobotę zaczęto mówić o akcji i był popłoch. W poniedziałek zaczęła się akcja. Wyłapano wszystkich ludzi, strzelano tych, którzy próbowali uciekać. Wszyscy poszliśmy na stację i załadowano nas do wagonów. Wybrano spośród nas trochę zdrowych, młodych mężczyzn, załadowano ich osobno, dano

chleb i wodę na drogę, mówili, że to do janowskiego obozu do Lwowa. Reszta pewnie miała jechać na śmierć do Bełżca. Jechaliśmy cały dzień, a nad wieczorem wybiliśmy okienko w wagonie i wyskoczyliśmy. Naprzód ja, potem siostra. Szliśmy z powrotem do Tłustego polami, przez trzy dni i noce. Spaliśmy w polu.

Na wiosnę, nie pamiętam w którym miesiącu, była zupełna likwidacja. Wtedy część ludzi zabrano do ghetta do Czortkowa, a resztę do *lagru* w Karolówce. Ja ze siostrą dostaliśmy się do tego *lagru*. Był to właściwie folwark, na którym pracowało 50-ciu Żydów. Nie było policji, nikt nas nie pilnował. Można tam było żyć. Chodziłem do roboty do chłopów, dostawałem lepsze jedzenie i przynosiłem siostrze chleb. Tak było do 23 listopada 1943. Wtedy rano przyjechało 6 milicjantów ukraińskich i jeden niemiec i łapali po kilku ludzi na plac przed stajnią i tam strzelali. Wtedy zastrzelili mi siostrę, a ja uciekłem. Zostało nas kilku, ukryliśmy się w polu, a na drugi dzień rano wróciliśmy na folwark. Wszyscy postrzeleni leżeli w dole, który był po wykarczowanym korzeniu drzewa i gdzie zawsze wsypywali śnieg i śmieci. Nieraz mówiliśmy, że może w tym dole będziemy leżeć. Leżeli tam wszyscy i myśmy ich przysypali ziemią. Widziałem moją siostrę zastrzeloną.

Lb. 1.

WITOLD i JAN JAKUBOWICZ — 13 i 17 LAT

Na gaz czy do pracy

W Szebniach byliśmy osiem dni. Dnia 4 listopada była tam akcja. Transport 2.650 ludzi, w tym naszych rodziców, wysłano do Oświęcimia. Gdy ogłoszono apel, wszyscy wiedzieli już, że będzie strzelanie albo wywózka. Ponieważ starców i dzieci w każdym razie strzelano, ojciec ukrył Janka w tapicerni, pod stosem poduszek i pierzyn, gdzie przesiedział cały dzień i noc. W tym czasie rodziców wywieziono, a starszy z nas Witold dostał się na listę 120 ludzi przeznaczonych do obozu

w Pustkowiu koło Dębicy. Na szczęście żydowski komendant obozu zapisał nas razem na tę listę, podał, że Witold ma lat 18, a Janek 15, chciaż mieliśmy wtedy 15 i 11 lat. W dwa dni później, tzn. 6 listopada zajechały auta i pojechaliśmy do obozu w Pustkowiu. Byliśmy już bez rodziców, ale na szczęście razem. W Pustkowiu byliśmy przeszło osiem miesięcy, dokładnie do 26 lipca 1944. Obóz w Pustkowiu był podzielony poczwórnymi drutami na dwie części: na obóz żydowski i polski. Żydów było wtedy ponad 600 — samych mężczyzn — z tego dwukrotnie wysłano po 100 ludzi, tak że do zupełnej likwidacji w lipcu 1944 pozostało ponad 400. Wtedy już nie było w obozie większych rozstrzeliwań; strzelano tylko Żydów, którzy siedzieli w bunkrze po stronie polskiej. Wieszano też na słupach telegraficznych, a potem palono ciała w małym krematorium, na górce za obozem.

Od nas wzięto do bunkra dwóch ludzi: jednego nazwiskiem Rapp za to, że sprzedał wartownikowi zelówki za chleb, a drugiego Schnitzlera za to, że przyniósł sobie tytoń z poza obozu, gdzie budował baraki. Rapp powiesił się w bunkrze sam, bo nie chciał wydać tych ludzi, którzy mu dali zelówki. Obaj zostali spaleni. Myśmy nie widzieli pieca, bo był w lasku, ale widzieliśmy dym, gdy palono ludzi.

W lipcu 1944 dowiedzieliśmy się, że front się zbliża, że wojska sowieckie są pod Rzeszowem. Dnia 26 lipca ustawiono nas w kolumny, dano po dwa bochenki chleba na drogę i załadowano pięć wagonów na stacji Pustków. Było bardzo gorąco. Ludzie mdleli z zaduchu i pragnienia. Nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy. *SS-mani* z eskorty mówili, że pod Berlin. Po dwóch dniach i dwóch nocach tej podróży przyjechaliśmy do Oświęcimia. Zaraz nas podwieziono na rampę śmierci pod gazownię. Cały nasz transport miał iść na gaz. Ale nasz *Lagerführer* Ruff kłócił się o nas i miał list *SS* generalmajora, że my mamy iść do pracy. Wiedzieliśmy, że walczy o nas nie z dobrego serca, ale chce jeszcze przy nas zostać, żeby nie iść na front. Sprzyjało nam także to, że gazownia pracowała całą parą, poszedł właśnie na gaz transport Węgrów i nie było dla

nas miejsca. Skierowano nas na tor do obozu Birkenau i tam nas wyładowano.

Cały transport poszedł do ogromnej hali, gdzie kazano nam się rozebrać i zostawić wszystko — wolno było zabrać tylko buty, pasek lub szelki i chleb. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka za drzwiami. Tyleśmy słyszeli o gazowniach, że idzie się niby do łaźni, że nie wiedzieliśmy, czy to naprawdę kąpiel, czy gaz. Ale była to kąpiel, a potem zostaliśmy ostrzyżeni i ubrani w cywilne ubrania z czerwonymi lampasami. Jeszcze podczas strzyżenia przyszedł rozkaz, żeby się zatrzymać, bo sprawa nie jest wyjaśniona. Wiedzieliśmy, że to chodzi o nasze życie, że może jeszcze przyjść wyrok śmierci. W końcu wpuszczono nas na blok, gdzie była kwarantanna. W ciągu dwóch dni lekarz badał nas dwukrotnie i dwu ludzi odstawiono na bok, jako niezdolnych do pracy. Potem poszliśmy jeszcze raz do hali kąpielowej, gdzie dostaliśmy pasiaki obozowe i wytatuowano nam numery.

Tego samego dnia, tj. 29 lipca 1944 ustawiono nas na *apelplacu* i przyłączono do transportu Żydów z lubelskiego. Załadowano nas na auta i część pojechała do Jawiszowic, a część, w tym my obaj, do Gliwic. W Gliwicach pracowaliśmy obaj, starszy brat dalej jako stolarz, ja jako goniec.

Nie było tam specjalnych egzekucyj w tych czasach, tylko bicie i tzw. sporty za karę, np. za złe słanie łóżek *(Bettenbau)* a więc „padnij" i „powstań" i „żabki", albo stanie twarzą do ściany bez ruchu przez dwie godziny. Codziennie były rewizje, nie wolno było mieć nic przy sobie, ani chusteczki do nosa, ani świstka papieru, ani kawałeczka chleba. Kieszenie musiały być puste, gdy tylko coś znaleziono, bito kijem lub gumą. Byliśmy cały czas zdrowi, zresztą bardzośmy się starali nie chorować, bo to było niebezpieczne. Wiedzieliśmy, że gdy ktoś choruje dłużej niż trzy dni, a *Lagerführer* się dowie, to go wyśle do Birkenau, a tam już go całkiem „wyleczą" w gazowni. My obaj myliśmy się do pasa zimną wodą na dworze tak długo, dopóki woda w rurach nie zamarzła.

W styczniu dowiedzieliśmy się, że zaczęła się ofensywa

sowiecka. Dnia 19 stycznia 1945 cały bagaż *SS-manów* został załadowany na wózki ręczne, ustawiono nas w kolumnę i zapowiedziano, że idziemy dalej na zachód. Poszliśmy, pchając wózki szosą w stronę Wrocławia.

Lb. 9.

RÓŻA BELLER — 11 LAT

Musiała się przyznać

Ciocia dała mnie do jednej pani i powodziło mi się całkiem dobrze. Za parę dni było wysiedlenie aryjskie i jak tylko się ta pani o tym dowiedziała, to mnie od razu wyrzuciła i powiedziała „idź, gdzie chcesz"! Poszłam i myślę sobie: „Idę w świat". Wchodzę do domu, gdzie dawniej mieszkałam, a do żydowskich domów nie wolno było wchodzić Polakom.

Weszłam do mieszkania. Widzę, mebli nie ma, pusto. Tylko cztery ściany. Deski od podłogi oderwane, piec rozkopany, wszystkie pokoje rozkopane do góry nogami. Wchodzę do skrytki, też wszystko rozwalone, wszędzie pusto. Zapada noc, idę i kładę się w zbożu spać. Mówię: „nie ma sensu tu tak leżeć sama jak ten pies". Więc wstaję i idę na gestapo. Mówię: „jestem polskim dzieckiem, rodziców mi wysiedlono we środę, zostałam się całkiem sama no i już". W wszystko uwierzyli i zamknęli mnie do więzienia, tam gdzie są myszy i szczury. Byłam tam trzy dni, a po trzech dniach wzięli mnie na przesłuchanie. Pytali się jeszcze raz, kto ja jestem, to im powiedziałam: „Nazywam się Lusia Hacuś" — „a gdzie ty mieszkasz dziewczynko?" — „a tam za szpitalem" — „pokaż mi gdzie?" Wziął mnie na rower i pojechał ze mną. Spytał się: „W którym domku mieszkasz?" A ja nie wiedziałam co mam powiedzieć, to powiedziałam, nie pamiętam już co. Wziął mnie na gestapo, przyjechał właśnie Loc i spytał się: „Skąd ty jesteś?" „Z Chrzanowa" powiedziałam. Więc on mówi: „Przyznaj się, o ile się nie przyznasz, to cię ukaramy". Ja się nadal przyznać nie chciałam, więc ten najstarszy z gestapo Loc zaczął mnie bić. Widząc, że to bicie mi nie pomaga, przełożył mnie na kolano

i dał mi 25 na tyłek i w końcu się musiałam przyznać, że jestem Żydówką.

A potem mnie wysłali za karę do Oświęcimia.

Lb. 426.

SAMUEL EISEN — 13 LAT

Obaj z bratem wykopaliśmy dół i pochowali tatę...

Pamiętam wszystkie akcje, jakie były przeciw Żydom, ale nie pamiętam dat. Pierwsza akcja była kontyngentowa, chodzili z listą i wybierali starych i chorych. Zabrano 300 ludzi i wywieziono. Wtedy schowaliśmy się w polu. Miałem brata, który jest ze mną — i malutkiego braciszka urodzonego już podczas wojny. W drugiej akcji była już strzelanina na miejscu, zastrzelono 100 ludzi na miejscu, a 1000 wywieziono. Wtedy mi zabrali mamę i małego brata. Wieźli wszystkich na Bełżec. Nie wiem, skąd ludzie wiedzieli, że w Bełżcu ludzi palą elektryką. Po trzeciej akcji już Tłuste było *judenrein*. Wtedy już akcję przeprowadzało gestapo i zamordowano w Tłustym 7.000 ludzi. Wykopano na cmentarzu cztery wielkie doły, poprzez każdy dół była położona deska. Na tej desce stawało naraz dziesięciu ludzi rozebranych do naga i kulomiot zestrzeliwał ich do dołu. I znowu szli następni. Strzelali tak od czwartku do poniedziałku, ale tylko nocami. Dzieci rzucano do dołu żywcem i przykładano trupami. Niemiec chwytał dziecko za kark i wołał: *„Nimm das Dreck und schmeiss herein"!* Dzieci pływały w tych dołach we krwi. Dwie dziewczynki wygrzebały się spod trupów i wróciły do miasta, ale były jak zwariowane, nie chciały nic mówić.

Resztę ludzi którzy zostali, tylko młodych i zdrowych, około 300, wysłano na folwark o dwa kilometry od Tłustego. U nas wszędzie były takie folwarki. Poszliśmy tam, tato i my obaj z bratem. Mieszkaliśmy tam w barakach i bardzo ciężko pracowali w polu. Nie było policji i nikt nas nie pilnował, ale

we wsi i w mieście była ukraińska milicja i jak się Żyd pokazał poza folwarkiem — zaraz był trup. Byliśmy na tym folwarku sześć tygodni. Zaczęto mówić, że przyjdzie akcja. Wtedy ustawialiśmy co noc straże, żeby ostrzec jakby coś było. Tej nocy kiedy przyszli, ja stałem na warcie. To było latem 1943. Była piękna noc. Wszyscy spali. Zaraz koło folwarku był staw, w którym kumkały żaby. Było ciepło i zapomniałem, po co tu stoję. Słuchałem żab i było mi tak dobrze, — ale nagle posłyszałem, że ktoś śpiewa. Poznałem, że to nie są chłopi z naszej wsi. Wiedziałem, jak oni śpiewają. To śpiewali ukraińscy policjanci. Wtedy zacząłem krzyczeć i budzić wszystkich, ale było zapóźno, bo tamci jechali na koniach i za chwilę już byli przy nas. Ludzie z baraku wyskakiwali w bieliźnie przez okna i uciekali przed siebie. Policjanci strzelali z kulomiotów i automatów i zaganiali ludzi końmi. Nie wiem, ile ludzi uciekło, ale nie dużo, bo na drugi dzień widziałem zabitych. My obaj z ojcem zaczęliśmy biec, ale kula trafiła tatę i upadł nam pod nogi. Nie zatrzymaliśmy się, tylko pędzili dalej w pola i udało nam się uciec. Była wtedy trzecia rano.

Przekradliśmy się do Tłustego, do znajomego Polaka p. G. To był stary, pobożny człowiek, mieszkał sam z żoną; schował nas na strychu przez dzień i noc. Drugiego dnia raniutko poszliśmy na folwark. Nie mieliśmy pieniędzy, tylko jeden złoty zegarek, bo wszystkie pieniądze miał tato przy sobie. Ale tato leżał już nagi i trupy dookoła też. Zabrali wszystko Rządca pozwolił nam tatę pochować. Dał nam łopaty i my obaj z bratem wykopaliśmy dół i pochowali tatę nago jak leżał. Nie mieliśmy nic, żeby go odziać. Wiem, gdzie jest ta mogiła i zawsze do niej trafię.

Ludzie nam opowiadali, że 15 km dalej w lesie są jacyś ludzie w sowieckich mundurach. Już wiedzieliśmy, że to partyzanci sowieccy. Chciałem się do nich dostać, bo długo tak nie można było w lesie żyć, robiło się zimno. Poszliśmy lasami w tamtą stronę. Chłopi powiedzieli, jak mam iść, żeby ich spotkać. Brata zostawiłem zdaleka w trawie i umówiłem się z nim na gwizdany sygnał jak wrócę, a sam doszedłem do placówki.

Żołnierz krzyknął: Stoj! Kto idiot? — wtedy podniosłem ręce do góry i powiedziałem: „Żyd, co uciekł z akcji". Żołnierz przyszedł do mnie, zapytał, kto jeszcze jest ze mną i posłał ze mną drugiego po brata. Ale brat był wtedy mały, miał niecałe 8 lat i jego kazali mi gdzieś odprowadzić, a samemu wrócić. Bardzo mi się to podobało. Umówili ze mną hasło jak wrócę — „Jewrej Hrisza" — i poszedłem z bratem do Tłustego. Poszedłem do I. W., dałem mu złoty zegarek i powiedziałem, gdzie są zakopane nasze rzeczy, że wszystkie mu dam, jak się wojna skończy, żeby mi brata przechował i on naprawdę go zatrzymał i przechował do końca. My teraz wszystko odkopali i jemu dali, chociaż sami nic nie mamy, ale on dotrzymał słowa, a ja też chciałem dotrzymać.

Zostawiłem brata i wróciłem do lasu. Dali mi mundur i wszystko co potrzeba. To była bardzo duża armia, nie wiem, ile ludzi, ale była konnica, piechota, czołgi i artyleria. Jedna kompania była z psami. Każdy żołnierz miał tresowanego wilczura. Obóz był cały okopany, były porobione bunkry. Przez cały rok byłem z tymi partyzantami. Codziennie uczyli mnie jeździć konno i strzelać. U nich trzeba było tak jeździć, żeby cugle trzymać w zębach, a obie ręce mieć wolne do ładowania automatu. Była to bardzo ciężka nauka, ale nauczyłem się tak strzelać, że zabierali mnie ze sobą wszędzie. Jeździliśmy do wsi, czasem nocą, a czasem w dzień. Niczegośmy się nie bali. Jak się dowiedzieliśmy, że gdzieś we wsi jest policja ukraińska, zaraz pędziliśmy za nimi. Niemcy nie zbliżali się do lasu.

Jeść my zawsze mieli co. Co dzień było mięso, masła dość, a wódki tyle, że stała w dużych kadziach. Ja nie chciałem pić, ale myłem się w wódce. Miałem swoje dokumenty partyzanckie, ale jak odchodziłem od nich, musiałem oddać je razem z bronią. Mówili, żeby z nimi zostać, ale ciągle nie można wojować.

JERZY SPIRA — 11 LAT

Ocalenie w latrynie

Wyszliśmy na apel 14 maja 1944 roku o godz. 5-tej rano. Ustawiliśmy się blokami. Dzieci pracujące ustawiono tak jak starsze osoby. Blok dzieci był osobny, Nr. 42. Było 50-ciu pracujących chłopców, reszta dzieci w *Kinderheimie*. 30 dziewczynek pracowało w szczotkarstwie. 50-ciu pracujących chłopców dołączono do mężczyzn. Później przyszedł komendant *lagru* Goeth, oglądnął sobie dzieci i odszedł. Za chwilę przyszedł z dwoma innymi. Goeth kazał zabrać wszystkie dzieci na górę do *Kinderheimu* 150 metrów od *apelplacu*. Odprowadzono dzieci na szosę, ustawiono najpierw chłopców piątkami. Spytano, którzy mają matkę, tych odstawiono na jedną stronę, tych, którzy nie mają — na drugą stronę. Po chwili Goeth kazał odprowadzić dzieci do *Kinderheimu*. Przyprowadzono pracujące dziewczynki. Kazano wyjść 100 starszym dzieciom na szosę. Dzieci myślały, że mają zostać przy pracy, ustawiono je, a *Aufseherki* je liczyły. Wtedy przyszło pięciu *SS*, sprowadziło dzieci pod wartownię, tyłem podjechało auto i zaczęto ładować dzieci do auta.

Wiedziałem co się dzieje. Dzieci uciekały między baraki, *wachmani* za nimi z karabinami. Widziałem, że *wachman* idzie mi naprzeciw, stanąłem sobie na drodze, *wachman* ominął mnie, leciał w przeciwnym kierunku, tam gdzie dzieci uciekły. Przeleciałem wolną drogą i wpadłem do latryny. Było już tam kilkoro dzieci, weszliśmy wszyscy pod deskę latryny i siedzieliśmy w gnoju. Siedzieliśmy tam sześć godzin cichutko. Potem słyszeliśmy ruch kobiet: jedna z kobiet ostrzegła, że *raportführer* się kręci, że nie można wychodzić. Potem przyleciała mamusia, wzięła mnie pod płaszcz do bloku, tam mnie przebrała, oczyściła ubranie i wykąpała. Przez kilka dni nie wychodziłem na apel. Tak ocalało prócz mnie pięć dziewcząt i dwóch chłopców.

Lb. 113.

HENIA RUBINSTEIN — 8 LAT

Dawczyni krwi

Matka, ojciec i dziadek zostali spaleni w stodole. Ja z wujkiem byłam w *lagrze* w Ostrowcu. Spędziłam tam rok. Po likwidacji *lagru,* zamknięto nas w wagonach i zawieziono do Oświęcimia. Jechaliśmy dwa dni i noc. Ludzie dusili się. Trupy w drodze wyrzucano. W Oświęcimiu zabrano nam ubrania. Ubrano mnie w czarną, długą i brzydką suknię, bez bielizny, na nogi dano drewniaki, wytatuowano numer.

Niemki *Aufseherki* biły dzieci.

Byłam w drewnianym baraku. Sześcioro dzieci spało w jednej koi. Pewnego dnia przyjechał *Lagerführer* i krzyczał: *„Alle Kinder raus"!* Połowę dzieci przeznaczył do gazowni. Na drugi dzień zabrano dzieci do krematorium. Jeden niemiec popatrzył na mnie i powiedział: *„Die wird noch gut sein auf Blut".* Odprowadzono mnie do bloku, brano mi często krew z palców i żył. Po paru minutach leżenia musiałam iść na apel.

Lb. 27.

JAN KULLINGER — 15 LAT

Zbawił ich lekarz

Był w Drohobyczu zamknięty obóz, gdzie Żydzi pracowali przy wyrobie dachówek. Tam zabrali obie siostry. Mamusię zabrano w akcji, zostałem z małym bratem i jedną siostrą; była chora, to ją odstawiono z powrotem z obozu. Jak była akcja, siedzieliśmy na strychu nieraz kilka dni bez jedzenia; wszystko z domu nam wyrabowali, tak, że nic już nie mieliśmy, chodziliśmy jeść do różnych ludzi. W drugiej akcji jeszcze się nam udało ukryć. Wtedy wywożono ludzi do Bełżca, a dużo zastrzelono w lesie bronickim. Potem było ghetto, ale ja i tak chodziłem wszędzie, bo inaczej trzeba by zdechnąć z głodu.

Trzecia akcja trwała cztery tygodnie. Wtedy szperali i szukali we wszystkich kryjówkach. Siedzieliśmy w takiej

zamurowanej kryjówce. Było nas około 40 osób i wydano nas. Można się było za pieniądze wykupić, ale my nie mieliśmy nic. Zabrali nas, mnie, siostrę i brata na *Sammelstelle,* ale stamtąd uciekliśmy wszyscy troje w nocy, przez okienko klozetu. Ale co z tego? Akcja nie była jeszcze skończona i zabrali nas znowu do sądu, gdzie zbierano Żydów na transport i stamtąd już nie dało się uciec. Wygnali nas na stację, jak bydło. Wagony były duże i pakowali do jednego wagonu po czterystu ludzi. Nie mogłem tam siedzieć, musiałem uciekać. Brat i siostra nie chcieli, jak ich raz złapali, to już stracili ochotę, ale ja nie. Ujechaliśmy może jakieś 30 km i ludzie wycięli dziurę w wagonie. Pożegnałem się z siostrą i bratem i wyskoczyłem. Dobrze mi się udało, nawet się nie potknąłem. Mój kuzyn Józek też wyskoczył. Spotkałem się z nim, jak wróciłem do Drohobycza i już od tego czasu zawsze byliśmy razem.

Sprzedawaliśmy gazety w polskiej dzielnicy i handlowali czym się dało. On też wyglądał jak Polak, jeszcze nawet lepiej jak ja. O siostrze z obozu dowiedziałem się, że ją wywieźli ze wszystkimi.

Z wiosną 1943 roku była zupełna likwidacja. My z Józkiem kryliśmy się po polach kilka dni, ale widzieliśmy, że nie ma co, trzeba gdzieś dalej jechać, bo tu nas wszyscy znają. Wsiedliśmy do pociągu do Lwowa. Jak tylko pociąg stanął we Lwowie, ludzie zaraz zawołali *Bahnschutza.* Odstawili nas na *Schutzpolizei* i nic się nie pytali, tylko odrazu posłali nas do ghetta. W ghetcie była likwidacja. Staliśmy na placu razem z innymi. Widziałem jak ludzie się kryli. Matki dawały truciznę dzieciom, dorosłe dzieci swoim starym rodzicom. Myślałem sobie, żeby się jakoś ratować, bo tu naprawdę brzydkośmy wpadli. Ale na razie nic się nie dało zrobić. Dopiero jak nas zagnali na lorę, w drodze do obozu janowskiego spróbowaliśmy uciekać. Ale nas zaraz złapali i obłożyli kolbami. Zacząłem mówić, że my nie jesteśmy Żydzi, że nie jesteśmy ze Lwowa, ale nikt mnie nie słuchał. Jak tylko nas przywieźli, zamknęli nas do żydowskiego bunkra, przy bramie obozu. Tam siedzieli Żydzi, którzy się podali za Polaków. Gestapowcy bili.

Jak się okazało, że jest Żydem, to tak masakrowali, że już nie można było patrzeć. Bałem się tylko, żeby Józek się dobrze trzymał i żeby się nie przyznał. Jeden gestapowiec przyszedł i patrzał na nas. Pytał, co my jesteśmy. Powiedziałem, że przyjechaliśmy z Drohobycza i przechodziliśmy tamtędy, jak jechały lory i dwóch Żydów uciekło, a nas złapali zamiast nich i tu wsadzili. Uwierzył i zaczął krzyczeć: — „To wy tu z Drohobycza przyjechaliście na rabunek do ghetta! Czekajcie, ja wam pokażę"! „Niech będzie na rabunek" pomyślałem sobie, wcale się nie broniłem. Jeden dzień siedzieliśmy w tym bunkrze, potem nas przenieśli do „aryjskiego" bunkra. Tam nam już dali jeść i za dwa dni odstawili na Pełczyńską do *kryminalki.* Tam nas przesłuchali; powiedziałem, że nazywamy się Bandrowski Jan i Józef, że mamy w Drohobyczu macochę, ojciec umarł, więc uciekliśmy, żeby szukać służby, bo macocha bije i jeść nie daje. Żeśmy przyjechali do Lwowa i szli koło ghetta i wtedy nas złapali, zamiast dwóch Żydów, co uciekli z lory. Wszystko zapisali i odesłali na Łąckiego, na *Sicherheitspolizei.* Tam jak przyszliśmy i widzieliśmy jak lekarz bada mężczyznę i odstawia na bok, już myślałem — „no, wszystko się skończyło". Ale ten lekarz, taki w okularach, podobny był do Żyda, badał nas i powiedział — „aryjczycy". Wsadzili nas do wspólnej celi. Siedziało tam 60-ciu ludzi, spało się na podłodze, to byli przeważnie złodzieje i bandyci. Zmusili nas ci kryminaliści i wytatuowali nam na dłoniach znaki, mnie marynarza, a Józkowi kotwicę. Był tam jeden staruszek p. W., który siedział za przechowywanie Żydów. On nam wróżył i powiedział: „Za siedem dni wyjdziecie stąd".

Po tygodniu nas wywołali po nazwiskach na dół, znowu na przesłuchanie. Były tam wszystkie dzieci z więzienia, było ich sześcioro, jedna dziewczynka między nimi. Ona była Żydówką, miała dziewięć lat. Nie chciała się przyznać, to jej ten gestapowiec powiedział, że jak się przyzna, to jej nic nie zrobią, a jak nie — to będą bić. I tak słodko do niej przemawiał, żeby się nie bała, że nic jej nie zrobią, że jej będzie dobrze i ona głupia uwierzyła i powiedziała, że tak, że jest Żydówką.

My jeszcze raz musieliśmy zeznawać, potem nas postawiono twarzą do ściany i czekaliśmy, aż wszystkich przesłuchają. Potem gestapowiec powiedział, że będzie telefonował w naszej sprawie. Już myślałem, że to koniec, że zatelefonuje do Drohobycza i dowie się, że to wszystko nieprawda. Ale on zatelefonował do polskiego komitetu, żeby przyjechali i zabrali dwóch chłopców. I napisał na maszynie takie zaświadczenie, że Jan i Józef Bandrowscy zostają przez *Sicherheitspolizei* oddani pod opiekę polskiego komitetu.

Ja wiedziałem, że taki papier, to jest teraz dla nas najlepszy dokument, lepszy niż lewa metryka, bo jest prawdziwy i wydany przez tych zbójów. Przy tych ostatnich zeznaniach byłem już bardzo zdenerwowany, bo się bałem, żeby Józek się nie wsypał, jako młodszy ode mnie i cały czas ja się nim opiekowałem. Ale on dokładnie mówił tylko to, co ja. Przyjechało auto z komitetu i zabrali nas do ochronki.

Za kilka tygodni przyszedł jeden gospodarz, który na Nowym Lwowie, na przedmieściu, miał gospodarstwo i szukał zdatnego chłopca do krów. Zaraz ja się zgłosiłem, bo mi było bardzo nudno siedzieć w ochronce i spodobałem się temu gospodarzowi. Potem Józka zabrał inny i tak obaj służyliśmy, ale dość daleko od siebie. Tylko w niedzielę mogliśmy się widzieć. Józkowi nie było tam bardzo dobrze i wyszukałem mu inne miejsce, bliżej mnie. U tego gospodarza było dość roboty i ciężkiej. Paść krowy — to niezła robota, ale nudna. Tam trzeba było jeszcze nawóz ze stajni wyrzucać, kopać jak było pilno i w ogóle robić wszystko, co potrzeba. Raz się tam zeszli goście i mówili dużo o Żydach, wtedy gospodarz zapytał: — „patrzycie na niego, czy on przypadkiem nie Żyd"? — On tak się zapytał wcale nie żartem, bo już przed tym mnie zaczepiał. Wtedy mu powiedziałem, żeby poszedł do Komitetu, tam mu pokażą zaświadczenie. Ale synowa gospodarza, której mąż był w kryminalnej policji, powiedziała: — nie bójcie się, jak on już był na gestapo i badali go, to napewno by go nie puścili.

Wreszcie nam się znudziło tak służyć za pastuchów, bo

nam kazali coraz więcej i ciężej pracować. Chodziliśmy obdarci, żadnych pieniędzy nam nie dawali, tyle co jeść. Poszedłem raz i drugi do wojska niemieckiego, tam zaraz obok stała artyleria przeciwlotnicza. Zaczęliśmy u nich pracować i już do końca, aż uciekli, tam byliśmy. Nikt nas nie podejrzewał. Mieliśmy takie wielkie, konopiaste czupryny, myśleli o nas, że my Ukraińcy.

Lb. 140.

HALINA HOFMAN — 9 LAT

Z polską rodziną

Nie pamiętam, kiedy zabrali tatusia do obozu, wiem, że był chory na nerki i zdaje się umarł, ale mamusia płakała sama, a mnie nie chciała powiedzieć prawdy, żebym się nie martwiła. Ale ja i tak przeczuwałam.

Zabrali nam wszystko: sklep i mieszkanie. Tylko tobołki można było zabrać. Ciotkę zastrzelili w więzieniu; kazali jej wynieść popiół na podwórze i jak się odwróciła, z tyłu do niej strzelili. Tak nam opowiadali ludzie. Ale nie pamiętam daty, kiedy to wszystko było.

Jak zaczęli wszystkich wysiedlać, mamusia schowała się ze mną na strychu, ale tylko na jeden dzień. W nocy zeszłyśmy na dół. Pamiętam, że to było w lecie, świeciły gwiazdy i księżyc. Szłyśmy cichutko i szybko. Mamusia zaprowadziła mnie do jednej znajomej Polki do pani H. i tam mnie zostawiła. Mamusia mówiła, że sama musi zgłosić się do *lagru*, a mnie tam mogą zastrzelić, bo jestem za mała do pracy. Mamusia płakała i prosiła, żebym była grzeczna, żebym słuchała pani H., że wróci do mnie. Ale nie wróciła, ja też płakałam i wolałam iść z mamusią, ale mi nie pozwolono. Mamusia poszła rano nawet się z nią nie pożegnałam, bo spałam i więcej nie widziałam mamusi.

U tej pani byłam osiem miesięcy. Siedziałam ciągle ukryta w nocy w pokoju, w dzień w piwnicy, bo był tylko jeden pokój. Jednego dnia nad ranem przyszła policja niemiecka i za-

brali nas wszystkich. Tę panią, jej męża, córkę 14-letnią Andę, syna 6-letniego Miecia i mnie. Zaraz nas rozdzielili. Dzieci osobno. Ja z Andą i Mietkiem pojechałam do Mysłowic razem z innymi dziećmi. Nikt mnie na szczęście nie znał. W Mysłowicach byliśmy trzy dni w przejściowym *lagrze,* a potem nas posłano do Pogrzebienia. To był obóz i tam było bardzo źle. Było dużo dzieci, nie pamiętam ile. Niektóre dzieci przezywały mnie i wołały na mnie Żydówka, ale Anda krzyczała, że jestem ich kuzynką i nazywałam się tak samo H. jak oni. Byliśmy tam cztery miesiące. Był głód, dawali zupę z pokrzyw i dwie małe kromki chleba.

Jechaliśmy dwa dni i dwie noce pociągiem do Potulic na Pomorzu. W tym obozie było dużo ludzi, mówili, że 7 tysięcy. Dzieci było 250. Starsze chodziły do pracy poza obóz, a my byłyśmy w obozie. Znowu było bardzo źle z jedzeniem, najgorzej. Dawali nam pokrzywę gotowaną i wodę z kapustą i zgniłe karpiele. Do każdego jedzenia wsypywali jakieś proszki. Ludzie, którzy tam mieszkali, nazywali się Kaszubi i bardzo śmiesznie mówili.

Lb. 6.

MENDEL TEICHTAL — 13 LAT

Pamiętnik chłopca z Bergen-Belsen

Do Brzeska przyjeżdżali od czasu do czasu gestapowcy z Tarnowa i strzelali ludzi. Czasem przyjeżdżali z listą, a czasem tak sobie strzelali, potem szli do fizyka i upijali się. Nazywali się: Beck, Romelmann i Lapsch. To byli ci najgorsi. Naprzeciwko nas mieszkała kobieta z mężem i synem. Raz przyjechali i zabili syna, a gdy mąż prosił, aby żony nie zastrzelono, zastrzelili jego, a ją zostawili. Ja to widziałem, bo byłem schowany w pokoju i patrzyłem przez ganek, a to było naprzeciwko.

Mówiono, że będzie akcja. Mamusia wysłała mnie do Krakowa z jedną Polką. Był wielki cud, że dojechałem, bo ja wyglądam bardzo na Żyda i ludzie w wagonie mówili „Żyd". Musiałem siedzieć w klozecie, kilka razy przesiedliśmy się do

innego wagonu. Wysiadłem. Na stacji było niebezpiecznie, bo było dużo „czarnych", ale jakoś wyszedłem i podeszliśmy do ghetta.

Byłem w Krakowie tydzień albo dwa, aż dowiedzieliśmy się, że w Brzesku akcja ustała.

Gdy wróciłem, obraz był okropny. Krew wszędzie na ulicy zasypywano popiołem i ziemią. Ludzi nie było na ulicach i mieszkaniach, siedzieli jeszcze w bunkrach. Potem był straszny płacz, bo każdemu kogoś zabito.

Spotkałem kolegę strasznie zapłakanego, powiedział, że w rynku, gdzieśmy mieszkali, nikogo nie ma. On sam stał już pod ścianą, ale gdy *SS-mani* odeszli i został tylko on jeden, zdołał uciec.

Poszedłem do cioci za miasto, myślałem, że może mama tam się ukryła i na szczęście mama tam była. Mama mi opowiedziała, jak to było. Przyjechało auto pod kahał. Mama widziała, że jest źle i poszła tylnymi uliczkami do cioci na wieś, aby się tam ukryć. Ukryła się w polu. W mieście była strzelanina i krzyki. *SS.* przyszli z psami. Moja siostra miała pięć lat i chciała płakać. Mama obwiązała jej usta i głowę chustką. Nagle padł strzał. Zastrzelili chłopca koło mamy, szukali jeszcze parę minut, ale na szczęście nie było na tym polu dużo ludzi, więc poszli, bo gdy gdzieś widzieli, że w polu dużo się chowa, podpalali całe pole i wtedy ludzie wychodzili.

Na drugi dzień kiedy było już cicho, ludzie płakali, bo tego nie było i tamtego nie było...

W tym samym tygodniu zrobiono ghetto i z całego powiatu wszystkich Żydów wysiedlono do ghetta. Byliśmy w ghetcie niedługo, cztery tygodnie. Potem mówiono, że będzie akcja *judenrein,* to znaczy, że zabije się wszystkich Żydów. Wyjechaliśmy dwiema furmankami do Bochni, bo mówiono, że Bochnia się jeszcze utrzyma. Tam było ghetto, okropna drożyzna, trudno się było zameldować, wszyscy musieli pracować, a jak ktoś nie pracował szedł do ghetta B, a dzieci do *Kinderheimu.* Nie każdy mógł pracować, bo dużo kosztowało, żeby się gdzieś dostać do pracy. Ja pracowałem w *Kindergemeinschaft.*

Pracowali tam chłopcy od lat trzynastu, robili zabawki, a że ja byłem dużego wzrostu, to też tam byłem. Miałem dziesięć lat. *Kindergemeinschaft* była w budynku *Z. L.* tzn. *Zwangslager.* Wyrabiano łopatki, przedmioty z dykty, ale *Lagerführer* nie dawał na to żadnych materiałów, tylko my sami zbieraliśmy puszki i blachy ze śmietnika i czyściliśmy *szmirglem,* żeby móc robić co trzeba. Co parę dni kontrolowały komisje z Krakowa, czy są odpowiedni robotnicy, nie za dorośli i nie dzieci. To było najstraszniejsze, bo wtedy przyjeżdżał Goeth z Krakowa i myśmy się strasznie bali. Mnie ciągle ze strachu łamał się w ręce drut, którym krajałem dyktę.

Pewnego razu zawołano mamę na gestapo i spisano całą listę o mamie, o mnie i siostrze, ale specjalnie pytali o tatusia. Potem powiedzieli, że przyszły papiery z Palestyny i kazali mamie przyprowadzić mnie i siostrę, powiedzieli, że internują nas na parę dni i pojedziemy do Palestyny. Tymczasem trzymali nas cztery tygodnie w zamkniętej celi.

Przyprowadzili tam jedną panią złapaną na „aryjskich papierach". Ona się usprawiedliwiała, a wtedy ten „czarny", który ją przyprowadził, kopnął ją w zadek i ona się porobiła. Całą noc płakała i krzyczała, nie mogłem z nią mówić, było paskudnie z nią być, robiła miny, krzyczała, szalała. Na drugi dzień mieli ją wziąć na komendanturę, a jak kogoś czeka takie jutro rano, to...

Pewnego dnia przywieziono jednego niemca. Był pijany, w nocy krzyczał. Klucznik kazał mu być cicho i zatelefonował po policję. Gdy policja przyszła, on wyciągnął nóż i dźgnął policjanta, wybiegł i schował się w stajni. Potem przyszło sześciu policjantów z dwoma psami i reflektorami i te psy go wywąchały. Zbili go strasznie i na łańcuchach przywlekli do celi. Tej samej nocy zerwał łańcuchy i powiesił się na pasku.

Raz przyprowadzili jednego Żyda. Złapali go w polskiej dzielnicy. Pytał, czy nie ma jakich obcęg. Myśmy nie mieli obcęg. W nocy rozerwał pierwszą kratę. Były tam dwie. Pierwsza cienka i druga gruba. Rano przyszło dwóch policjantów,

rozbili mu głowę, podbili oko i związali ręce. Potem wywieziono go na Montelupich.

To były specjalne trzy wypadki, ale przyprowadzano i bito ludzi codziennie.

Po czterech tygodniach pojechaliśmy towarowymi pociągami do Krakowa. W Krakowie zabrało nas auto na Montelupich. Było tam pełno budynków, jeden piękny dla *SS* i pełno budek z *SS-sowcami*. *SS-mani* otoczyli nas i zaprowadzili do celi z siennikami. Dostawaliśmy 25 dkg chleba, zupę, w niedzielę podwójną porcję chleba i trochę margaryny. Jedzenie roznosili więźniowie. Nic tu nie widziałem, bo nie wolno było wychodzić, ale słychać było. Na dole był pagórek, na którym strzelano, a na drugim podwórzu szubienica. Słyszałem jak strzelano, jak niemcy krzyczeli.

Po siedmiu dniach wyjechaliśmy autobusem na dworzec. Dano nam wagony drugiej klasy. Podróż była bardzo dobra. Po drodze mogliśmy kupić jedzenie i tak przyjechaliśmy do Bergen-Belsen.

Komendantem obozu był *Sturmbannführer* Haas, taki gruby. Zaprowadzono nas pod eskortą do lasu, tam przyjechał Haas i żołnierze i objęli nas i zaprowadzili do obozu. Obóz był otoczony podwójnym drutem. Wtedy obóz był jeszcze mały (lipiec 1943), nikogo jeszcze nie było, tylko *KL*-owcy tj. koncentracyjni z Sachsenhausen budowali. Co kilka baraków były otoczone drutem i to nazywało się blokiem. Myśmy mieli tylko małą część obozu. W baraku mieszkało 200 osób. Naprzód były sienniki, potem prycze na dwa piętra. Oddzielono osobno mężczyzn, osobno kobiety i dzieci, ale mężczyźni mogli przychodzić. Matki z dziećmi spały na jednej pryczy, dorośli mieli osobne prycze. Potem dwóch do trzech spało na jednej pryczy, był *Waschraum*, dawali raz na miesiąc mały kawałek mydła, a musiało być bardzo czysto i ciągle chodziły kontrole.

Na początku dawano nam dobrze jeść. Zawsze się było głodnym, ale było dobrze. Były różne racje, zależnie od wieku. Ja dostawałem 40 dkg chleba, siostra sześcioletnia 20 dkg, ma-

na 30 dkg. Zupa była z brukwi. Czasem były wieczorne zupy, rano czarna kawa.

Złamałem nogą, bo huśtałem się na belce. Lekarz nie dał gipsu, bo nie było, zawiązali nogę, leżałem cztery tygodnie i zrosło się.

Razem było nas 2.600 osób. Pewnego razu w jesieni 1943 wywieszono listę. 2.100 osób miało wyjechać, nie wiadomo dokąd. Myśmy też byli na liście. Mówiono, że jadą na gorsze. Mama bardzo się martwiła, ja nie zdawałem sobie sprawy, myślałem, że tu jest już tak źle, że nie może być gorzej. Tymczasem mówią, że tamci już nie żyją. W tym dniu, w którym miał być wyjazd, przyszedł rozkaz, że wszyscy palestyńczycy mają zostać. Wyjechało 1.000 osób.

Przeprowadzono nas na inny teren do kamiennych baraków. Tu zaczęły się „tamte" historie. Zaczęło się od tego, że p. S., palestynka miała rodzić dziecko i pojechała do Zelle. Dano jej kupę listów, które ona wysłała. Na poczcie wpadli na to, Haas rozzłościł się i zaczęło się śledztwo. Nas strzelać nie wolno było, bić także nie. Bito nas wprawdzie czasem, ale nie było wolno. Przyszedł *Scharführer* Kuhn i zaczął bić drągiem od łopaty. Wszczął się popłoch. Potem zaczęli nas ustawiać na apel piątkami. Staliśmy pół dnia. Był mróz, nie wolno było wchodzić do baraków. Takie apele odbywały się od tego czasu.

W największy mróz wypadało im robić „czystość". Musiało się wynosić prycze, szorować podłogi, cały dzień było się na polu. Wieczorem przychodził komendant i robił kontrolę. Potem były apele z naczyniem. Każdy musiał wziąć swoją miskę, wyczyścić, aż błyszczała. Woda była okropnie zimna i ręce nam puchły. Stare kubki nie dały się dobrze czyścić, a komendant przy kontroli, gdy coś było źle, krzyczał i zabierał nam obiad.

Na tym drugim terenie jedzenie się pogorszyło. Teraz wszyscy dostawali równo 25 dkg chleba. Byliśmy wycieńczeni, mężczyźni byli spuchnięci, panował tyfus brzuszny, chorowano na płuca, dzieci na szkarlatynę i odrę. Ja wtedy chorowałem na gruczoły. Na tym terenie byliśmy przez zimę. Warunki mie-

szkaniowe były bardzo złe, posadzki betonowe, od nich bardzo ciągnęło, z dachu się lało, piece były, ale opału nie było, tylko raz na tydzień trochę. Gdy się im mówiło, żeby naprawili, to mówili, że niemcom w okopach się też leje na głowę. Ludzie ziębili się i chorowali.

W lecie 1944 wyjechały dwa transporty. Był apel, przyszli *Scharführerzy* i odstawili ludzi, którzy mieli jechać i kazali się im zapakować. Rzeczy ich zostały w magazynie. Dokąd oni pojechali, nie wiemy. W parę dni później wyjechał drugi transport. Razem było zdaje się 600 ludzi. Na wyjazd do Ameryki to nie wyglądało. Rzeczy im zabrano. Ludzie chodzili po obozie i zastanawiali się, czy to dobrze, czy nie. U niemców nic nie można było wiedzieć, ale zmienić nikt nie mógł nic.

Ludzie byli coraz smutniejsi. Coraz mniej było takich, którzy mogli przynosić kotły z zupą, chociaż praca ta pociągała, bo dostawało się dodatkowo pół zupy. Śmiertelność się zwiększała. Mój wujek chorował na tyfus. Leżał w łazience koło klozetu. Do baraku nie można go było wziąć, żeby choroba się nie rozszerzyła, a zgłosić bano się, bo kto szedł do szpitala, nie wracał.

Było paru chłopców. Biliśmy się o skrobanie kotłów, bo przy tym zostawało parę łyżek jedzenia. Przy podziałach były kłótnie. Gdy przychodziły ziemniaki, jedni chcieli dzielić na miski, inni na kubki, jeszcze inni na sztuki.

Codziennie były apele. Trwały godzinę. Raz ja zemdlałem i mama chciała mnie zanieść do baraku, wtedy Krzykacz najgorszy niemiec zamachnął się na nią i chciał ją zabić, ale mama mnie wniosła.

Wyjechał komendant obozu Haas i na jego miejsce przyjechał Rüdiger, bandyta. Dobudowano jeszcze jedno krematorium. Raz zbombardowano jedno krematorium, wtedy palili na polu. Krematoria paliły dzień i noc. Śmierdziało strasznie. Ciągle przyjeżdżały transporty z Mauthausen, z Linzu, ze wszystkich stron Niemiec, różne narodowości.

Widziałem jak mordowali. W każdym bloku był *Blokälteste*, w każdej grupie *capo*, także koncentracyjni, ale zasłużeni albo silniejsi. Co dzień w *K. L.* były apele, chorych odsta-

wiano osobno, do osobnego bloku. Ten blok był właściwie drugą połową naszego, a nasze podwórze graniczyło z ich podwórzem i widzieliśmy jak im wydawano jedzenie. Rano sprowadzano ich z apelu, nic im nie dawano, tylko zamykano na bloku. W południe przychodzili *capowie,* otwierali baraki i wszyscy rzucali się na kotły. Wtedy *capowie* lagami okropnie bili i zaganiali do baraku. Na polu zostawały trupy i ciężko pobici. Wlekli ich na bok i kazali ludziom jeszcze raz wyjść, ustawiali w kolejkę i wydawali zupę. Prawie co drugi dostawał bicie. Zupę im wylewano. Po obiedzie zamykano baraki.

W nocy budziły nas krzyki. Przychodzili niemcy i wołali: *Lagerältester!* Ludzie w całym obozie płakali i krzyczeli, bo wiedzieli, co to ma być. Otwierano barak i zabijano ludzi drągami. Krzyki były straszne: *Szema Isruel!* Jezus Maria! Ratujcie! *Antlojf!* Krzyczano we wszystkich językach. Rano, przed apelem, *capowie* i *K. L-owcy* wyrzucali trupy przez okna, rozbierali je (ich ubrania dostawali inni) i układali w piątki. Na apelu je liczono, przyjeżdżały wozy z krematorium i zabierano je.

K. L-owcy mieli czasem gazetę niemiecką. Kupowaliśmy ją i były odczyty, które u nas nazywano *„tramwaj"*. To było zazwyczaj w nocy, bo w dzień mógł ktoś wpaść. Wiedzieliśmy o inwazji we Francji, obliczaliśmy przesunięcia wojsk i liczyliśmy się z ewakuacją obozu.

W obozie był w tym czasie nieład. Nie było dyscypliny. Niemcy byli przygnębieni i bardzo się na nas mścili. Ciągłe pogróżki, bicia. Obiad był czasem zamiast w południe aż o godzinie szóstej, czasem w ogóle nie było go, chleb rzadko i mało. Raz mówili, że piekarnia jest zbombardowana, raz, że był napad na wóz z chlebem i że zresztą chleb jest tylko dla niemców. Był okropny głód.

Nas przeprowadzono do innej części obozu, do małych drewnianych baraków, daleko od szosy. Co się działo w obozie nie mogliśmy już widzieć. Słyszeliśmy tylko krzyki po nocach i widzieliśmy jak dymiły krematoria w dzień i w nocy.

Mężczyźni, którzy chodzili do lagru po zupę, widzieli co

tam się działo. Więźniom dawano zupę do czapki, by poznać, że jest mokra, ażeby nie można było drugi raz brać. Widzieli jak przechodziły transporty, jak wożono trupy i bito. Była mniejsza załoga niemców, bo wysłano ich na front. Więźniowie wykorzystywali to i chodzili kraść do kuchni np. brukiew i ziemniaki, które leżały przed kuchnią. W łazience palono ogień, w puszkach i w miskach gotowano. Brukiew jadło się na surowo. Gdy złapali kogoś, że kradł, bardzo bili, a *K. L-owców* wieszali. W naszym obozie dwóch chłopców tak zbili, że dwa tygodnie nie mogli chodzić. Po kilku tygodniach zaczęła się ewakuacja obozu.

Lb. 192.

U W A G A:

Z rozmysłu nie włączyliśmy do niniejszej książki tekstów dotyczących miejsc z największymi w Polsce skupieniami Żydów (jak np. Łódź i Warszawa), niektórych obozów śmierci (jak np. Treblinka), wreszcie materiałów, które zasługują na ogłoszenie w całości lub w wyjątkach bardziej obszernych, niż pozwalał na to charakter niniejszego wyboru.

Kolegium Redakcyjne

SŁOWNIK

SŁOWNIK

Akcja: masowe spędzenie Żydów na jedno miejsce przed wysiedleniem na śmierć (transporty do komór gazowych w Bełżcu, Majdanku, Treblince).

Anstellen: zbiórka.

Appellplatz: miejsce zbiórki w obozach, gdzie rano i wieczorem obliczano więźniów.

Arbeitsamt: urząd pracy.

Arbeitschef: szef oddziału pracy.

Arbeitsdienst: służba pracy — ewidencja grup, które opuściły obóz celem udania się na miejsce pracy.

Arbeitskommando: grupa pracy.

Askari lub Ascari: pogardliwe określenie niemieckie dla zaciężnych formacyj, złożonych z b. jeńców rosyjskich (określenie używane w koloniach).

Aufnahme: biuro przyjmowania więźniów.

Aufseherka: niemka, która nadzorowała więźniarki.

SS Aufseherin: odpowiednik SS-Mannów.

Auschwitz I.: obóz główny, macierzysty w Oświęcimiu.

Aussenkommando: grupy więźniów przeznaczone do czarnej roboty w Oświęcimiu — normalnie grupy więźniów zatrudnione poza obozem.

Ausweis: legitymacja.

Bahnschutz: właściwie: Bahnschutzpolizei, policja ochrony kolejowej, używana często do pilnowania żydowskich robotników.

Baudients: przymusowa praca Polaków przy budowie dróg.

Betriebsordner: porządkowy, kierownik warsztatu.

Bettenbau: słanie łóżek w barakach obozowych, za najmniejsze niedociągnięcie, znęcano się okrutnie nad więźniami.

Bügler: prasowacz.

Blocksperre: godzina policyjna w barakach.

Brzezinki—Birkenau: Oświęcim II., kompleks obozów męskich i kobiecych, zarazem siedziba głównego krematorium.

„Buna": Zakłady Chemiczne I. G. Farbenindustrie w Monowicach, Oświęcim III. produkcja gumy syntetycznej.

Capo: przodownik grupy więźniów.

Effektenkammer: magazyny z przedmiotami zrabowanymi po zagazowanych, właściwie: magazyn przedmiotów stanowiących własność więźniów w obozach koncentracyjnych.

Einsatz: skierowanie do pracy, przydział pracy, zastosowanie przy pracy.

Entlausung: odwszenie i kąpiel, związane z szczególnym znęcaniem się nad więźniami, z zupełnym ich ograbieniem i stanowiące osobny rozdział martyrologii więźniów.
Frauenlager: obóz kobiecy w obozach koncentracyjnych, odgraniczona część obozu, przeznaczona tylko dla kobiet, albo obóz wyłącznie kobiecy np. FKL.
„Gassenakcja": „łapanka", akcja przeprowadzana na ulicach miast.
Gärtnerei: ogrodnictwo, również grupy więźniów pracujące w ogrodach.
Gemeinschaften: warsztaty rzemieślnicze (Arbeitsgemeinschaft).
Gerätelager: magazyn narzędziowy np. Nachrichten-Gerätelager w formacjach łączności — placówki zatrudniające Żydów.
Gesundheitskammer im GG.: izba zdrowia w b. G. G., przymusowa organizacja przedstawicieli zawodów zdrowia w czasie okupacji niemieckiej.
Häftling: więzień (w obozie koncentracyjnym).
SS Hauptsturmführer: kapitan.
Himmelkommando: wysyłka na tamten świat, lagrowe wyrażenie, jazda w zaświaty.
J. S., S. Jüdische Sociale Selbsthilfe: Żydowska Samopomoc Społeczna w b. G. G.
Judenfrei (Judenrein): oczyszczenie miejscowości z Żydów po krwawej ich likwidacji.
Judenrat: Rada Żydowska w b. G. G. utworzona pod przymusem na podstawie dekretu niemieckich władz okupacyjnych w b. G. G. celem wykonania zarządzeń władz.
Julag: skrót Judenlager, w okolicy Krakowa określenie zbiorowe dla trzech obozów pracy Płaszów (ale nie przy ul. Jerozolimskiej), Prokocim, Bieżanów (pracujących przy budowie kolei).
Kanada: magazyn przedmiotów pozostałych po zagazowanych (określenie oświęcimskie).
Kennkarta: karta rozpoznawcza.
Kindergemeinschaft: warsztat, w którym zatrudnione były dzieci (np. warsztat szczotkarski) w czasie aż do wymordowania ostatecznego dzieci.
Kinderheim: dzieciniec.
K. L.-owcy: K. L. — Konzentrationslager, K. L.-owcy — więźniowie obozu koncentracyjnego.
Krankenbau: inaczej rewir, szpital dla więźniów, oddział sanitarny.
Krankenrewier: szpital dla więźniów.
Krankenstube: izba chorych.
Kreishauptmann: starosta powiatowy w podziale administracyjnym w b. G. G. odpowiada stanowisku starosty. W miastach wydzielonych — Stadthauptmann starosta miejski.
Kryminalka: Kryminalpolizei (Kripo) policja kryminalna.
Lager: obóz (koncentracyjny).
Lagerarzt: lekarz obozowy (niemiec).
Lagerälterster: starszy obozowy, wybrany przez niemców spośród więźniów.
Lagerführer: kierownik obozu niemiec, w obozach pracy przymusowej.
Lagrowiec: więzień przebywający w obozie.
Leistung: wykonanie normy.
Möbelbeschaffungstelle: magazyn zrabowanych przez niemców żydowskich mebli w Krakowie: Wydział niemieckiej administracji Zarządu Miejsk.
Muzułmanin: tak nazywano w obozie ludzi w ostatnim stadium wycieńczenia — kandydatów na śmierć.

Oberführer: ranga SS, bez odpowiednika wojskowego, wyższa od rangi pułkownika a jeszcze nie generalska, dwa listki dębowe, często ranga różnych szefów sztabu itd.

Oberscharführer: ranga podoficerska.

Obersturmführer: porucznik.

Optima: w budynku fabrycznym dawnej fabryki czekolady „Optima" w Krakowie umieszczono warsztaty, głównie branży tekstylno-skórzanej, zatrudniające kilka tysięcy Żydów z ghetta w Krakowie i później z obozu w Płaszowie.

O. D. Ordnungsdienst: policja żydowska zorganizowana przez niemców, J. O. D. Jüdischer Ordnungsdienst — Żydowska Służba Porządkowa.

Organizacja: potajemne zdobywanie żywności, przedmiotów pierwszej potrzeby.

Ostbahn: Generaldirektion der Ostbahn, Kolej Wschodnia, kolej na terenie w b. G. G., zatrudniała na swych budowach znaczną ilość Żydów, skoszarowanych najczęściej w obozach pracy.

Polenlager: obóz dla Polaków.

SS Polizeiführer im Distrikt Krakau: SS und Polizeiführer im... Dowódca SS i policji w okręgu krakowskim.

Posten: posterunek (jako stanowisko i jako osoba).

Rapportführer: w hierarchii obozowej podoficer lub oficer SS, który prowadzi liczebną ewidencję więźniów, zarazem zastępca Schutzhaftlagerführera.

Rassenschande: występek przeciwko ustawom rasowym (splamienie rasy) — przez współżycie z obcoplemienną ludnością (ustawy norymberskie).

Reinigungskommando: kolumna sprzątająca po wysiedleniu pozostawione mienie żydowskie, zagrabione przez niemców.

Rohstoff: surowiec.

Sammelstelle: punkt zborny, na który spędzano Żydów przed wysłaniem transportu na śmierć.

Säuberungskollonne: kolumna więźniów przeznaczonych do sprzątania oraz oczyszczania miejsc po dokonanych mordach oraz sprzątania obozu.

Sauna: łaźnia obozowa (słowo pochodzenia fińskiego).

Scheisskommando: trywialne przezwisko tych, którzy nosili gnój.

Schutzpolizei: skrót Szupo, odpowiednik policji porządkowej (w Niemczech) w b. G. G. Ordnungspolizei obejmowała Schupo i Gendarmerie (żandarmeria).

S. D. Sicherheitsdienst: znak (srebrne litery na lewym rękawie) służba bezpieczeństwa, popularnie Gestapo.

Selekcja: segregowanie ludzi przeznaczonych na śmierć.

Sonderabteilung: grupa więźniów pracująca w krematorium obozu w Oświęcimiu.

Sonderdienst: formacje, złożone z Polaków, Ukraińców, Volksdeutschów, Reichsdeutschów, przydzielone władzom administracyjnym do wykonania zadań specjalnych w b. G. G.

Sonderkommando: grupa przeznaczona do celów specjalnych np. do palenia zwłok w Oświęcimiu.

Stabscharführer: funkcja a nie ranga, odpowiednik „szefa kompanii".

Stadthauptmann: starosta miejski, odpowiednik prezydenta względnie burmistrza miast wydzielonych — w b. G. G. w miastach okręgowych (dystryktowych) — przez pewien czas tytuł: Pełnomocnik Szefa Okręgu na miasto... Der Beauftragte des Distriktschefs für die Stadt.

Stehbunker: cela więzienna, w której więzień mógł przebywać tylko w pozycji stojącej (najczęściej wymierzana kara 24, 36, 48 i 72 godziny).

Strafkommando S. K.: oddział pracy karnej, przy której ostatecznie więźniów wykańczano.

Sturmann SS: stopień wojskowy w SS. żołnierski, a jeszcze nie podoficerski (kolejność: SS-Schütze, SS-Oberschütze, SS-Sturmann, SS-Rottenführer wszystko stopnie żołnierskie).

Sturmanka: właściwie SS-Aufseherin, per analogiam z męskimi nadzorcami więźniów (SS-Sturmann) nazywana Sturmanka.

Sturmbannführer: major.

SS. Schutzstaffel der NSDAP: sztafety ochronne partii, pretorianie Führera grupa utworzona po SA, złożona z elementów bardziej „pewnych" kierowana od początku przez Himmlera, w czasie wojny brała udział w działaniach wojennych jako osobna formacja wojskowa: Waffen SS. czyli oddziały zbrojne SS. Odpowiednio do wzrostu wpływu i znaczenia partii przybrała ostatnio rozmiary apokaliptycznej bestii i była kością niezgody pomiędzy Hitlerem a wojskiem (Wehrmacht).

Szajskarta: przepustka do latryny wydawana w ograniczonej ilości, bez której nie wpuszczano do latryny.

Szema Israel: „Słuchaj Izraelu" początkowe słowa modlitwy, które często były ostatnim okrzykiem przedśmiertnym więźniów.

Tagesheim: ochronka dzieci, z której w czasie wysiedlania na śmierć zabierano wszystkie dzieci wraz z personelem.

Tragi: rodzaj noszów (niemieckie Tragen).

Umschlagplatz: punkt zborny, na który spędzano Żydów, przed wysłaniem transpotru na śmierć (określenie najczęściej stosowane w Warszawie)

Unterführer: określenie zbiorowe: podoficerowie.

Untersturmführer: podporucznik.

Vernichtungslager: obóz zagłady.

Vorarbeiter: wybrany pośród więźniów przez niemców dla dozoru.

Volksdeutsch: osoby, które na terenach przyłączonych do b. Rzeszy Niemieckiej, względnie znajdujących się pod władzą niemiecką, zgłosiły się i wykazały przynależność do narodu niemieckiego.

Volkssturm: oddziały niemieckie organizowane przez Himmlera, w ostatniej fazie wojny — przeważnie ludzie starsi, dotychczas uznani za niezdolnych, ujęto w formy organizacyjne SS. znak na mundurach podobny do znaków swastyki.

Waschbaracke (Waschraum): umywalnia, w niektórych obozach połączona z klozetami, często miejsce wykańczania więźniów.

Werk A. B. C.: 3 obozy w Skarżysku. Werk C karny: tu pracowali więźniowie przy fabrykacji trującej substancji, którą napełniano wyrabiane na Werku A formy. Przy tej morderczej pracy, więźniowie masowo ginęli.

Werksordner: służba porządkowa w przedsiębiorstwach, składająca się najczęściej z żydowskich pracowników.

Zollfandungstelle: urząd ścigania przestępstw skarbowych i dewizowych, Kraków. Sarego 2.

Zulage: przydziały dodatkowe, ponadto w obozach koncentracyjnych minimalne ilości tłuszczu itd. otrzymywane do przydziału chleba.

INDEKS NAZW I NAZWISK

INDEKS NAZW I NAZWISK:

Baranów 144.
Bartenschlager 50, 51.
Berk 200.
Bełżec, 25, 56, 110, 115, 119, 134, 137, 144, 148, 149, 151.
Benewitz 131.
Bergen-Belsen 54, 203.
Bieżanów 18, 20.
Birkenau-Brzezinki 76, 83, 90, 97, 164, 167, 185, 189.
Berndt 36.
Blanke dr. med. 6, 14.
Bochnia 152, 201.
Bolechów 156.
Bone 120, 121.
Borndt 35.
Borysław 150, 151.
Brama śmierci we Lwowie 124, 125.
Brody 153.
Brünlitz 60, 62.
Brygidki 208.
Buchenwald 162.
Buczacz 177, 178.
Budzyń 72.
Bukaczowce 182.

Chrzanów 190.
Czortków 141, 180, 186, 187.

Dachau 36, 76, 77, 81.
Dąbrowiec 38.
Dans 15.
Dębica 140, 144.
Drohobycz 195, 197.
Dniestr 146.

Ehlert 15.
Ehrich Else 14.

Falsche 100.
Feix Reinhold 58, 59, 71, 72, 73, 74, 75.
Fischer 56.
Fuchs SS-mann 30.

Gebauer 33.
Gleicher 128.
Goeth Amon Leopold 3, 4, 5, 6, 9, 11, 13, 17, 34, 111, 115, 119, 163. 165, 194.
Gross-Rosen 32, 59, 61, 67, 184, 185.
Grunow 135.
Grzimek Joseph 37, 38.
Gundelsdorf 55.
Gusen 67.

Haas 203, 204, 205.
Haase Willy 33, 34, 110, 111, 115.
Haase 82.
Hecht 42.
Heinen 29, 30.
Heinrich 111, 138.
Himmler Heinrich 32.
Hujer Albert 119.
Hujowa Górka 184.

Inflind 49.
Irrmann Fritz 58.
Iwanienko 48.

Janowski Obóz 21, 22, 32, 56.
Jasło 38.
John 10, 12.

Kaiser 128.
Kamionka Strumiłowa 145.
Kerner 118.
Kielemann 52.
Kolanko 30.
Kołomyja 186.
Königsberg 101.
Kopyczyńce 180, 181.
Kraków 13, 35, 107, 118, 119, 120, 200, 203.
Książ Wielki 146.
Kuhn 204.
Kulików 148.
Kunde 111, 138.

Lapach 200.
Leipold 20.
Lipsk 16, 103.
Lublin 69, 71, 161, 172.
Lwów 25, 27, 32, 33, 56, 81, 122, 183, 187, 196.
Lanent 142.

Łąckiego ulica, więzienie we Lwowie 128.
Łódź 81.

Mai 14.
Majdanek 14, 67, 69, 70, 88, 89, 115, 161, 162.
Malhof 15.
Maków Podhalański 165, 166, 167
Malik 56.
Mauthausen 66, 205.
Melchior 213.
Dr. Mengele 78, 80.
Mertens 29.
Montelupich, więzienie 89, 110, 118, 120, 203.
Müller 18, 78, 128.

Nowy Sącz 144.

Opelmann 136.
Orłowska Alicja 14.
Oświęcim 15, 67, 71, 81, 91, 94, 97, 99, 118, 164, 167, 185, 187, 188, 191, 195.
Otto 73.

Parschnitz 53
Piaski 128, 213.
Pilarzik Horst 119.
Pies 4, 10, 14, 129.
Płaszów 3, 10, 13, 14, 15, 16, 21, 66, 110, 112, 119, 162, 164, 184, 185.
Poznań 77.
Podgórze 117.
Poniatów 69, 161.
Przemyśl 21, 24, 26, 28, 19, 131.
Przemyślany 153.
Pustków 144, 188.

Rabka 140.
Radomsko 149.
Radomyśl 143.
Radziechów 145.
Rawa Ruska 143, 152.
Reisner 131.
Ritschek 19, 116.
Roerisch 212.
Rokita 22, 23, 24, 25, 27, 32, 33.
Rommelmann 133, 134, 135, 200.
Rosenbaum 140.
Rüdiger 205.
Ruff 188.
Rzepiennik 141.
Rzeszów 119, 142, 144, 188.

Sabuda 65, 66.
Sachsenhausen 67, 203.
San 143.
San Willy 55, 56.
Sasów 149, 174.
Sawczenko 48.
Scheidt 31, 34, 35, 36.
Scherner 9, 33, 34, 110.
Schneider 58.
Schmidt 58.
Schwammberger 28.
Schönbach 30.
Schuman 95.
Schwarz 58.
Skarżysko-Kamienna 39, 42, 49, 51, 52, 162.
Skawina 138.
Słomniki 146.
Sobibór 63, 64, 65, 66, 119.
Stanisławów 145, 147.
Stegemann 131.
Strojewski (Zdrojewski 12, 17.
Szebnie 33, 34, 38, 187.

Tarnobrzeg 143, 144.
Tarnopol 147.
Tarnów 119, 132, 133, 200.
Taube 82, 93.
Tłuste 86, 187, 191, 192.
Trawniki 69.
Treblinka 119, 149.
Tyniec 139.

Ulmer 128.
Umschlagplatz 160.
Unterhuber 35.
Ustrzyki Dolne 63.

Warszawa 76, 154, 160.
Warzog 31.
Wieliczka 20, 137, 152, 165.
Willhaus 23, 24, 25, 26, 29, 32.
Willy 9, 10, 15, 16, 17.
Wiśnicz 152.

Zamarstynowskie więzienie 127.
Zbylitowska Góra 134.
Zugsberger 116.

TREŚĆ

I. Od Redakcji . . . . . VII.
II. Wstęp . . . . . IX.
III. W obozach 1
IV. Po miastach i miasteczkach 105
V. Dzieci opowiadają 157
VI. Słownik 209
VII. Indeks nazw i nazwisk 215



W serji książek Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie, ukażą się z kolei:

Gusta Dränger: „Pamiętnik Justyny", pisany w więzieniu przez współorganizatorkę Żydowskiej Organizacji Bojowej w Krakowie.

Michał M. Borwicz: „Uniwersytet Zbirów". Rzecz o obozie „Janowskim" we Lwowie.

Rudolf Reder: „Bełżec". Rzecz o grobie milionów Żydów, jedynego ocalonego z komory gazowej w Bełzcu.

M. Gebirtig: Pieśni ghetta.

Janka H.: W ghetcie i obozie (Pamiętnik dwunastoletniej dziewczyny).

Michał M. Borwicz: Literatura w obozie.

Róża Bauminger: Skarżysko-Kamienna (obóz).

Laura Eichhorn: Szebnie (obóz).

Jakub Stendig: Płaszów (obóz).

W przygotowaniu:

Monografia o Żydach w Krakowie pod okupacją (Praca zbiorowa).

Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej
949/2
12-000949-000-0